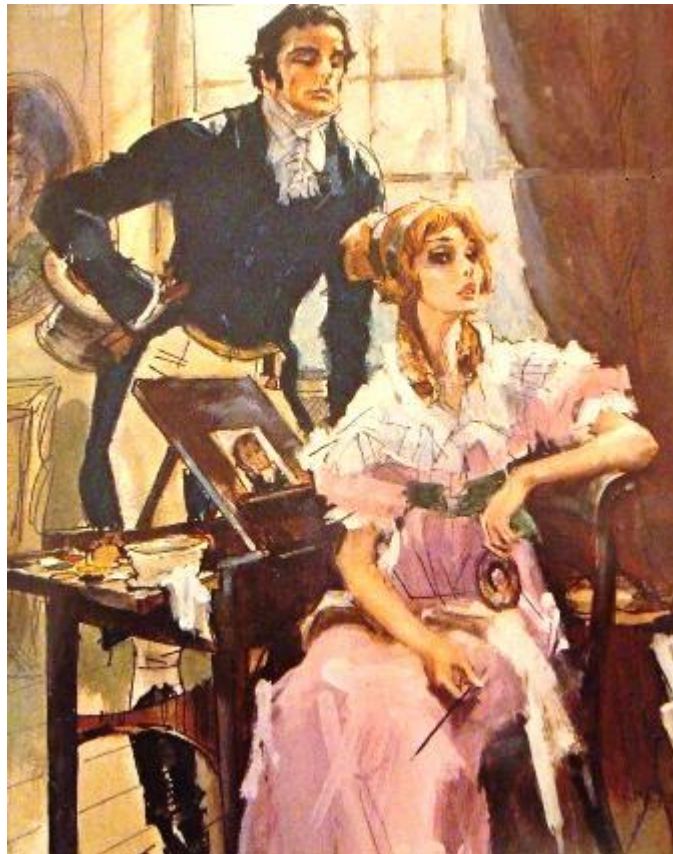


Barbara Cartland

Ramy snów

A frame of dreams



Rozdział 1

1804

Markiz Ruckford pozwolił lokajowi, by pomógł mu zdjąć znakomicie dopasowany, elegancki frak, szyty u Westona. Ubranie było nieco luźniejsze niż frak księcia Walii, ponieważ markiz nie lubił strojów zbyt obcisłych.

Sypialnia, którą wynajął - najlepsza w zajeździe „Posting Inn” - była obszerna i, pomimo że pokój wydawał się niski, wyjątkowo wygodna.

Chociaż był początek maja, w kominku palił się ogień i jego lordowska mość z zadowoleniem popatrzył na duże, wygodne łoże z kolumnami i leżący na nim, zapewne miękki, gruby materac.

Gdy usłyszał odległy zgiełk głosów i śmiechów, po jego pięknej twarzy przebiegł cień. Dźwięki te towarzyszyły mu przez cały wieczór, a w jego salonie, gdzie jadł kolację, zdawały się nawet głośniejsze.

- Nigdy nie widziałem równie hałaśliwego miejsca - zauważył markiz. - Zapewne lepiej było zatrzymać się w „Lord Lincoln”!

- Na nieszczęście, milordzie, w dniu naszego przyjazdu zorganizowano mecz bokserski. Ludzie mówią, że na miejscowego championa postawiono ponad dwa tysiące gwinei.

- Czy wygrał? - zapytał markiz obojętnie.

Sam będąc wyróżniającym się bokserem - amatorem, uważał, że oglądanie meczów jest nudne - o ile nie brali w nich udziału znani mistrzowie.

Był zdania, że na prowincji organizuje się za dużo przereklamowanych zawodów, co zwykle robili właściciele zajazdów w celu ożywienia koniunktury.

- Jak słyszałem, milordzie, cała walka była niewypałem. Umiejętności przyjezdnego mistrza oceniono na wyrost i

lokalny champion znokautował go po pół godzinie. Odbyło się to tak łatwo, że większość kibiców narzekała, iż na próżno przebyli taki kawał drogi, by obejrzeć mecz.

- Tego się spodziewałem - skomentował lakonicznie markiz. - Jednocześnie do tego zajazdu przybyło, jak na mój gust, zbyt wiele hałaśliwych osób.

- Upijają się tak, że spadają pod stoły, milordzie. Właściciel zajazdu nigdy jeszcze nie miał takiego utargu!

Markiz nie odpowiedział. Nie lubił wdawać się w pogaduszki ze swymi służącymi, a poza tym czuł się zmęczony po trwającej od wczesnego ranka podróży z zamku Huntingdonshire - posiadłości lorda Hargrave.

Gdy lokaj pomógł mu się przebrać, markiz umył się w ciepłej wodzie, do której dodano odrobinę eau de cologne.

Przez chwilę pomyślał o księciu Walii, który powinien być mu wdzięczny za to, że zastąpił go w lej podróży.

W istocie jednak dała ona markizowi okazję do wypróbowania nowych koni, kupionych dwa miesiące wcześniej w Tattersalls. Były to piękne kasztanki, którymi do tej pory jeździł najwyżej na wycieczki do Hyde Parku.

Wyprawa do lorda Hargrave wymagała starannego zaplanowania, gdyż jego zamek leżał nieco na uboczu, a prowadzące do niego pełne meandrów boczne drogi nie należały do najlepszych. W podróży musiał spędzić również dwie noce: jadąc tam i z powrotem - w połowie drogi między Londynem a zamkiem.

Wszystkie te trudy zostały nagrodzone. Nabył ciekawą rzecz - zamierzał pokazać ją księciu Walii, kupił także obraz, który, jak przypuszczał, zachwyci jego książęcą mość.

Goszcząc w zamku, w ciągu zaledwie pół godziny dostrzegł, że lord Hargrave nie ma ochoty wybrać się do Londynu.

Zauważył również, że sugestia, by to właśnie on, markiz Ruckford, przyjechał obejrzeć jego galerię sztuki, wynikała z innych motywów niż te, które wyłożył w gładko napisanym liście do księcia Walii.

Lord Hargrave przedstawił mu swą córkę z miną magika nieoczekiwanie wyciągającego królika z kapelusza.

Markiz, który znał takie sztuczki, z irytacją zauważył, że znowu znalazł się w niezręcznej sytuacji, zmuszającej go do powiedzenia całkiem jasno, iż jest zainteresowany malarstwem, a nie małżeństwem.

Dziewiętnastoletnia panna Emilia miała miłą powierzchowność, i markiz pomyślał, że lord Hargrave nie będzie miał żadnych trudności, aby znaleźć dla niej męża posiadającego odpowiedni majątek i pozycję, które będą pasowały do jej urody.

Jednocześnie nie pozostawił wątpliwości, że w tej chwili nie bierze udziału w małżeńskiej giełdzie.

W głębi ducha nie dziwił się, że lord Hargrave, mając na uwadze dobro swej córki, upatrywał w nim swego przyszłego zięcia.

Od chwili ukończenia Eton markiz był nieustannie nagabywany przez rodziców panien na wydaniu. Był człowiekiem nie tylko bardzo bogatym, posiadaczem jednego z najwspanialszych w całym kraju majątków, lecz również bardzo przystojnym i eleganckim.

Tylko dzięki różnorodnym wybiegom i temu, że w razie konieczności potrafił być przykry, udało mu się uniknąć przydomku „Beau Ruckford”(Piękniś Ruckford). Wyróżniał się też jako sportowiec.

Był kimś wyjątkowym: w równym stopniu podziwiali i lubili go mężczyźni, co i piękne panie, które starały się zwrócić na siebie jego uwagę.

Uwodzicielski i niewątpliwie najbardziej błyskotliwy w klubie Four - in - Hand, wyróżnił się w wielu pojedynkach, walcząc na szpady czy strzelając z pistoletów. Był też jednym z najlepszych jeźdźców, jacy dosiadali zwycięskich koni wyścigowych.

Oprócz tego odgrywał ważną rolę w Izbie Lordów i politycy bardzo cenili jego zdanie i pomoc.

Księżę Walii szczerze nazywał go swym przyjacielem, uważa) go również za autorytet w dziedzinie sztuki.

Umiłowanie, jakie księżę żywił dla malarstwa, stylowych mebli i wszystkiego, co uświetniało Carlton House, dostarczało nic kończących się tematów dla karykaturzystów.

Zaciągnął poważne długi, które rozwścieczyły parlamentarzystów, ale skarby, jakie nabył za te olbrzymie sumy, stanowiły przedmiot zazdrości każdego konesera.

Carlton House to wspaniała rezydencja - co do tego nie było najmniejszych wątpliwości.

Posiadłość tę ofiarował księciu król, jako jego londyńską rezydencję, z zastrzeżeniem, że nie odda żadnej części tych dóbr w inne ręce i przejmie na własne barki „wszelkie naprawy, podatki i utrzymanie ogrodów”.

Pałac zbudowany na początku osiemnastego stulecia, początkowo zamieszkały przez wdowę księżną Walii, babkę obecnego księcia, sam w sobie nie był budowlą okazałą.

Do przebudowy pałacu zatrudniono Hollanda, architekta, który projektował klub Brook. Księżę zamieszkał w Carlton House w 1783 roku, gdy wokół trwały jeszcze prace remontowe. Dekoracja wnętrz i kompletowanie kolekcji starych mebli wkrótce pochłonęły go bez reszty.

Dzieła sztuki malarskiej, zwierciadła, brązy, porcelana z Sevres, gobeliny i inne niezliczone skarby uświetniające ten pałac mogły się równać ze skarbami Wersalu czy pałaców Sankt - Petersburga.

Księżę sam odwiedzał sklepy i salony londyńskich marszandów. Całymi tygodniami kupował przedmioty, które starannie dobierał, by pasowały do komnat Carlton House.

Pomimo różnicy wieku, księżę, starszy o osiem lat, uważał markiza za jednego z najlepszych przyjaciół i twierdził, że jego pomoc i przyjaźń są dla niego źródłem radości.

Stwierdził, że większość otaczających go ludzi nie podziela jego kosztownych zainteresowań albo usiłuje udawać, że docenia wartości, których nie rozumie.

Księżcia i markiza łączyło upodobanie do sztuki, w innych dziedzinach życia stanowili swoje przeciwieństwo.

Obydwaj byli bardzo przystojni, lecz podczas gdy księżę, wskutek braku umiaru, z biegiem lat przybywał na wadze, markiz, szeroki w ramionach, szczupły w biodrach, stawał się jakby chudszy.

Jego krawiec często mawiał, że w całym ciele markiza nie znajdzie się nawet jednej zbędnej uncji.

Miał pociągłą twarz z wydatnymi kośćmi policzkowymi oraz mocno zarysowaną szczękę.

Księżę w młodości był tzw. „ładnym chłopcem”.

Markiz natomiast, mimo mocnej budowy ciała, był ruchliwy i niekiedy sprawiał wrażenie urwisa.

Wiele kobiet uważało, że ma twarz korsarza, a jego zachowanie w stosunku do nich potwierdzało tę opinię.

Podczas gdy księżę płynął przez życie, dając upust wszelkim swym zachciankom, i bywał chwilami zupełnie nieodpowiedzialny, markiz był nie tylko doskonale zorganizowany, lecz miał także sprecyzowane zarówno obecne, jak również przyszłe zamierzenia.

Zwłaszcza w jednej sprawie był zupełnie zdecydowany, a mianowicie nie zamierzał żenić się aż do chwili, gdy okaże się to dla niego dogodne.

Jednocześnie zdawał sobie sprawę, iż będąc dziedzicem historycznego nazwiska, wielkich posiadłości i zajmując tak wysoką pozycję społeczną, że nie miał sobie równych, będzie musiał przedłużyć istnienie swego rodu i postarać się o potomka.

Markiz wybrał już przyszłą narzeczoną, chociaż nikomu o tym nie wspomniał. Była to córka księcia Tealby, którego dobra sąsiadowały z jego posiadłościami.

Lady Adelaide Willmott była typem kobiety, jaki odpowiadał markizowi: spokojna, o nienagannych manierach, chociaż nie należała do piękności, była niewątpliwie ładna. Jej arystokratyczne rysy, prosty kształtny nos i dumnie wzniesiona głowa wskazywały na szlachejne pochodzenie. Wiedział, że słynne klejnoty rodu Ruckford będzie nosiła godnie.

Lady Adelaide była damą dworu królowej, i markiz spodziewał się, że taka funkcja przygotuje ją właściwie do dalszego życia.

To, że przekroczyła dwudziesty czwarty rok życia, nie wydawało mu się niepokojące. Podlotki nudziły go, a - przewidywał - jeśli lady Adelaide pozostanie niezamężna dłużej niż jej rówieśniczki, to fakt ten w przyszłości może ich tylko zbliżyć.

Tymczasem cieszył się życiem. W przeciwieństwie jednak do księcia, w swych miłosnych podbojach był dyskretny, co czyniło go jeszcze atrakcyjniejszym w oczach pań z kręgów towarzyskich.

Szanująca się dama o wielkiej urodzie, żona znanego arystokraty, wdając się w romans, starała się nie ryzykować przy tym utraty swej reputacji.

Trafnie ujęła to lady Melbourne:

- Każdy, kto psuje sobie opinię, prędzej lub później odczuje tego konsekwencje.

Ona sama nie cieszyła się zbyt dobrą sławą. Prawdę mówiąc, miała licznych kochanków, wśród których znaleźli się lord Coleraine, księżę Bedford, a nawet lord Egremont. Nigdy jednak nie chełpiła się tymi podbojami publicznie.

Istniało wiele pogłosek na temat miłostek markizy, ale trudno było znaleźć dla nich potwierdzenie.

Nieustannie plotkowano o nim w klubach i salonach beau monde'u (Elegancki świat, Wyższe sfery, wytworne towarzystwo), lecz były to plotki, których nie dało się sprawdzić.

Niezależnie od przygodnych związków z kobietami z wyższych sfer, markiz, jak było to wówczas w modzie, miał metresę.

Można się było spodziewać, że, jak wszystko, wybrał ją starannie i z namysłem.

Mariabelle Kerrin w roli Polly Peachum z „Opery Żebraczej” odniosła oszałamiający sukces. Markiz, który przedstawienie oglądał, zainteresował się nią i po spektaklu odwiedził jej garderobę; aktorka oczarowała go.

Mariabelle w łóżku okazała się kobietą cudownie doświadczoną, a przy tym miała niezwykle poczucie humoru, co bawiło markiza.

Jak się spodziewał, na początku była w miłości nienasycona i zachłanna, ale ostatecznie jej potrzeby zmalały. Z zakłopotaniem stwierdził, że chyba się nim znudziła.

W chwili gdy kobieta stawała się zaborcza lub się przyzwyczajala, był skrepowany i odczuwał potrzebę zerwania więzów.

Jego romanse zazwyczaj tak się kończyły. Niekiedy zastanawiał się, czy przyjdzie taki dzień, że będzie poszukiwał, a nie będzie poszukiwanym, że stanie się myśliwym, a nie zwierzyną. Wydawało się to mało prawdopodobne.

Gdy się umył, włożył nocną koszulę z chińskiego jedwabiu, szytą na miarę na Bond Street, a na wierzch narzucił sięgający ziemi szlafrok z ciężkiego brokatu.

Opasał szczupłą talię jedwabną szarfą i odprawił lokaja.

- Czy jeszcze pan czegoś potrzebuje, milordzie?

- Nie. Dziękuję, Jarvis. Zbudź mnie o ósmej rano. Chcę dotrzeć do Londynu możliwie wcześnie.

- Jeśli na drogach nie będzie nadmiernego ruchu, to jestem pewien, że wasza lordowska mość pobije nowy rekord szybkości - powiedział lokaj z przekonaniem.

Mówiąc te pochlebstwa, spojrzął na swego pana, któremu służył od chłopięcych lat.

- To by mi sprawiło przyjemność - przyznał markiz. - Lord Derwent od lat chlubi się tym, że pobił rekord tej trasy.

- Jestem pewien, milordzie, że pan będzie lepszy. Jarvis raz jeszcze spojrzął, sprawdzając, czy wszystko w sypialni jest na swoim miejscu. Na łóżku zasłanym wspaniałą pościelą markiza i kocami z jagnięcej wełny piętrzyły się poduszki z gęsiego puchu.

Na podłodze leżał dywanik z wyhaftowanym monogramem. Obok na stoliku stała kryształowa szklanka i butelka wody mineralnej, pochodzącej ze źródeł, które znali jeszcze Rzymianie.

Niosąc na ramieniu ubranie markiza, lokaj z szacunkiem skłonił głowę i wyszedł zamykając drzwi.

Markiz wziął do ręki The Morning Post i ruszył w kierunku fotela stojącego w pobliżu kominka.

Miał właśnie zamiar usiąść, gdy poczuł zimno ciągnące od okna.

Przez cały dzień dmuchał zimny wiatr, a słońce to świeciło, to znów chowało się za chmurami i można było spodziewać się deszczu, choć zazwyczaj silne wiatry nie sprzyjały opadom. Pod wieczór wiatr był jeszcze chłodniejszy.

Markiz odłożył gazetę i podszedł do perkalowych, wzorzystych kotar, zasłaniających okno wychodzące na ogród z tyłu zajazdu.

Odchylił zasłonę i zauważył, że jego część, oszklona szybkami w kształcie rombu, jest szeroko otwarta. Starannie zamykając okno, pomyślał, że przed snem będzie je musiał otworzyć.

Na dworze rozpogodziło się i na niebie ukazały się gwiazdy. Drzewa otaczające zajazd gięły się pod naporem wiatru; wyglądało na to, że następny dzień będzie również wietrzny. Zwolni to zapewne tempo jego podróży do Londynu.

Niżej, na parterze, nie zasłonięte okna złocistym światłem rozjaśniały ogród. Sylwetki bawiących się wewnątrz ludzi rzucały na ogród cienie. Słysząc było również odgłosy hałaśliwej zabawy.

Mając nadzieję, że hałas nie zakłóci mu snu zasunął zasłony, po czym podszedł do kominka.

Nagle spostrzegł, że drzwi do jego pokoju otwarły się i wsunęła się przez nie drobna postać w bieli.

To była kobieta!

Podczas gdy patrzył na nią w osłupieniu, zamknęła za sobą drzwi i szybko przekręciła klucz.

Kobietą przystanąła, z niepokojem spoglądając to na drzwi, to na niego, i zdawało się, że czegoś nasłuchuje. Zdecydowanie ruszył naprzód.

- Mam wrażenie, droga pani - rzekł chłodno - że pomyliła pani pokoje.

Drgnęła nerwowo i ze zdławionym okrzykiem odwróciła się ku niemu. Spostrzegł, że była bardzo młoda i bardzo ładna.

Miała owalną twarz i duże szarozielone oczy. Długie, złociste, o rudym odcieniu włosy spływały w dół i sięgały poniżej ramion.

Patrząc na zbliżającego się markiza, z trudem, urywanym głosem powiedziała:

- Przepraszam... Zajrzałam tu... i pomyślałam... że pokój jest pusty.

Miał właśnie odpowiedzieć, gdy na korytarzu dały się słyszeć kroki, po czym ktoś mocno zastukał do drzwi.

Dziewczyna poruszyła się niespokojnie i wyciągnęła ku niemu rękę. Dostrzegł w jej twarzy strach.

- Proszę... proszę... - mówiła ledwie słyszalnym szeptem.
- Niech mnie pan ukryje! Wszystko wyjaśnię, lecz proszę... mnie ukryć!

Markiz zawahał się.

Nie miał zamiaru wdawać się w żadne romantyczne przygody, a zauważył, że dziewczyna miała na sobie tylko nocną koszulę i biały szal.

Już miał zamiar oznajmić, iż bardzo żałuje, ale nie będzie się mieszał w osobiste afery dotyczące jej i człowieka po drugiej stronie drzwi, ale widząc przerażenie na jej twarzy, powstrzymał się.

Dziewczyna była niewątpliwie bardzo młoda, a ponowne głośne stukanie zabrzmiało rozkazująco i prawie impertynencko. Markiz zdecydował się.

Wskazał ręką na zasłony, a ona szybko i bezszelestnie przebiegła przez pokój i zniknęła za nimi.

Powoli i bez pośpiechu przekręcił klucz w zamku.

W progu stał sir Julius Stone, którego markiz nigdy nie darzył sympatią.

Przez chwilę obaj mężczyźni patrzyli na siebie w milczeniu.

- Ruckford! - wykrzyknął sir Julius. - Nie spodziewałem się pana tu spotkać!

- Właśnie kładę się spać - lodowato odpowiedział markiz.

Sir Julius uważnym spojrzeniem obrzucił pokój.

Zbliżał się do czterdziestki, nie cieszył się zbyt dobrą reputacją i z pewnością był jednym z najbardziej niesympatycznych bywalców pałacu Buckingham, jacy odwiedzali kluby hazardowe w St. James.

Jego arystokratyczne pochodzenie było bez skazy. Natomiast swoimi czynami doprowadził do tego, że jego nazwisko stało się synonimem rozpusty i awanturnictwa, co było wówczas zjawiskiem dość powszechnym wśród dobrze urodzonych.

Na temat sir Juliusa krążyło wiele niesmacznych historii, które nie interesowały markiza: Było mu obojętne, czy postępowanie barona było moralne czy skandaliczne.

Nie chciał mieć nic wspólnego z tego rodzaju człowiekiem i gdy zdarzało się, że natknęli się na siebie w Carlton House lub w którymś z licznych klubów, ograniczali się tylko do zdawkowej wymiany ukłonów.

Nastąpiła chwila kłopotliwej ciszy, po której sir Julius, starannie dobierając słowa, powiedział.

- Widziałem, jak przed chwilą do pana pokoju weszła kobieta!

Markiz uniósł brwi.

- Jestem przekonany, że wydawało się panu, korytarz jest słabo oświetlony. Myślę, że widział pan mojego służącego. Dobranoc, Stone!

Miał zamiar zatrzęsnąć drzwiami, lecz sir Julius przytrzymał je ramieniem.

- Chwileczkę, Ruckford! Nie mam zwyczaju nie dowierzać własnym oczom. Widziałem, jak tu wchodziła kobieta, a ona należy do mnie!

- Czy pan podważa prawdziwość moich słów?

Markiz nie podniósł głosu, ale w jego tonie zabrzmiała groźna nuta, której towarzyszył błysk oczu. To skłoniło barona, by cofnąć się o krok.

- Byłem tego pewien... zupełnie pewien - wymamrotał.

- Dobranoc, Stone! - powiedział markiz ponownie, po czym zamknął drzwi i przekręcił klucz.

Stał bez ruchu jakiś czas. Po chwili zza zasłony wyszła ukrywająca się tam dziewczyna i zbliżyła się do niego.

Spojrzał na nią i nakazujące położył palec na ustach.

Znieruchomiała na środku pokoju.

Minęła dłuższa chwila, aż w końcu usłyszeli oddalające się kroki sir Juliusa Stone'a.

- Czy on... poszedł? - spytała cicho.

- Tak myślę - odrzekł - lecz może jeszcze wrócić. Lepiej niech pani będzie ostrożna.

- Dziękuję... Dziękuję panu... nawet nie potrafię wyrazić jak bardzo - powiedziała stłumionym szeptem.

- Proszę podejść do kominka. Jeśli nie chce pani ponownie spotkać swego natrętnego adoratora, to proponuję trochę poczekać przed powrotem do swego pokoju.

- Ja nie mogę... tego... zrobić - przeraziła się.

Ponownie zauważył na twarzy dziewczyny lęk.

Gestem wskazał jej fotel. Przysiadła na brzegu, nerwowo otulając szalem piersi, jakby nagle zdała sobie sprawę, jak skąpo jest ubrana.

Wyglądała na bardzo młodą i bezbronną. Nieśmiało podniosła na niego oczy, a on uśmiechnął się w sposób który wiele kobiet uznałoby za uwodzicielski i cicho zapytał:

- Czy zechce mi pani opowiedzieć, w jaki sposób znalazła się w takich tarapatach?

- Sama... bym chciała... to wiedzieć. Usiadł naprzeciw niej w oczekiwaniu na relację o tym, co zaszło. Wreszcie dziewczyna zaczęła opowiadać:

- Przyjechałam dzisiaj dyliżanssem razem z moją pokojówką. Pasażerowie mieli spędzić tu noc i w głównej jadalni podano nam wspólną kolację.

Wiedział, że działo się tak zawsze, gdy pasażerowie zatrzymywali się na noc. Właściwie nie interesowało go to, co mówiła dziewczyna, ale z przyjemnością wsłuchiwał się w jej miękki, melodyjny głos.

Spoglądając na nią, uświadomił sobie, że była jeszcze ładniejsza, niż sądził na pierwszy rzut oka.

W świetle ognia jej włosy nabrały koloru, który widział kiedyś na obrazach malarzy wczesnego Renesansu. Nigdy nie spotkał kobiety o tak dużych oczach i twarzy o tak regularnych rysach.

Dziewczyna miała mały, prosty nosek, a jej pięknie zarysowane usta były koloru rozkwitającej pąsowej róży.

- Jak się pani nazywa? - spytał nagle, przerywając opowiadanie.

- Vanessa Lens - odrzekła.

- Jestem markiz Ruckford. Teraz się już poznaliśmy!

Miał wrażenie, że jej oczy otwarły się ze zdumienia nieco szerzej, więc dodał:

- Wydaje mi się, że pani o mnie słyszała?

- Tak... Słyszałam, że jest pan właścicielem niektórych wspaniałych... obrazów.

Ta odpowiedź zdumiała go.

- Interesuje panią malarstwo?

- Mój ojciec jest miniaturzystą - wyjaśniła.

Markiz pomyślał przez chwilę.

- Słyszałem o Bernardzie Lensie. Ale on żył tak dawno temu, że nie mógł być pani ojcem.

- Bernard Lens był moim pradziadkiem.

- To bardzo ciekawe! - wykrzyknął. - Myślę, że się nie pomylę, gdy powiem, że był pierwszym angielskim artystą, który malował na kości słoniowej.

Twarz Vanessy nabrała rumieńców.

- Tak się cieszę, że pan o nim słyszał. Mój ojciec maluje miniatury podobne do jego prac.

- Mam nadzieję, że będę miał przyjemność obejrzenia ich.

- Ja też tak sędzę - odrzekła Vanessa.

Nagle dziewczyna uświadomiła sobie niezręczność sytuacji, w jakiej się znalazła, gdyż zapytała z niepokojem w głosie:

- Czy uważa pan... że mogę już... bezpiecznie wracać?

- Zrozumiałem, że nie może pani powrócić do swego pokoju.

- Nie do pokoju, w którym przebywałam, lecz na górę do pokoju Dorcas, mojej pokojówki. Będę z nią bezpieczna do rana... przynajmniej tak mi się wydaje.

Wątpliwość brzmiąca w głosie dziewczyny skłoniła markiza do zatrzymania jej.

- Nie skończyła pani jeszcze swojej opowieści. Czy może pani mówić dalej?

- Tak... naturalnie. Wtedy pan zrozumie... co się wydarzyło.

Ciaśniej owijając się szalem, westchnęła i opowiadała: - Gdy nasza kolacja dobiegała już końca, zauważyłam, jak dżentelmen, którego pan nazwał Stone'em, wszedł do jadalni. Był wściekły, gdyż nie otrzymał w zajeździe salonu. W końcu zasiadł w jadalni ogólnej i gburowato zamówił coś do jedzenia. Stół, przy którym siedział, stał naprzeciw mojego.

Oczy jej pociemniały, gdy ciągnęła dalej swym cichym głosem.

- Zaczął wpatrywać się we mnie. Było to bardzo... krepujące. Po chwili zobaczyłam, jak woła kelnera.

Urwała, lecz markiz ponaglił:

- I co się stało?

- Kelner podszedł do mnie i spytał, czy nie napiję się wina. Odmówiłam, po czym razem z Dorcas wstałyśmy od stołu, by udać się do naszych pokoi.

Jej głos lekko zadrżał.

- Gdy przechodziłyśmy przez jadalnię, ten dżentelmen wstał i zagroził nam drogę.

- Wydaje mi się, że kiedyś już się spotkaliśmy - powiedział - i będę się czuł bardzo urażony, jeśli odrzuci pani moje zaproszenie.

- Jestem zmęczona i chcę udać się na spoczynek, sir - odparłam.

- Jak pani może być tak niewdzięczna? - nalegał. - Wypijemy tylko trochę wina. Poza tym mam pani wiele do powiedzenia.

- Proszę mnie przepuścić - odparłam oburzona. - Już panu odpowiedziałam.

- Jest pani zbyt ładna i nie może być tak surowa i nieprzystępna - zaprotestował. Ponieważ zagradzał mi drogę, nie wiedziałam, co robić, ale w tym momencie współpasażerowie z dyliżansu zaczęli wychodzić z jadalni i to zmusiło go do ustąpienia na bok.

- Udało się więc pani go uniknąć.

- Poszłyśmy na górę. Na poddaszu zajazdu, gdzie miałyśmy przydzielone dwa pokoiki, zakwaterowano wszystkie osoby z dyliżansu.

- Obawiam się, że jest to normalny bieg rzeczy - uśmiechnął się markiz. - Szczególnie gdy zajazd jest przepełniony.

- Uważałam, że właściciel zajazdu niewiele nam pomoże, mając takie tłumy gości.

- Proszę mówić! Co stało się później?

- Dorcas nie czuła się zbyt dobrze, więc zanim poszłam do mojego pokoju, pomogłam jej położyć się do łóżka. Nie

jest już młoda i nie bardzo chciała towarzyszyć mi w podróży, ale nikt nie mógł jej zastąpić, a jechać samotnie przecież nie mogłam.

- Oczywiście, że nie - zgodził się markiz. Pomyślał, że w świetle padającym od ognia dziewczyna wygląda bardzo wdzięcznie i przestał się dziwić, że jej widok prowokował takich ludzi jak Stone.

- Poszłam do mego pokoju i zamknęłam drzwi na klucz. Gdy już miałam się rozbierać, usłyszałam pukanie. Ku memu zdziwieniu na pytanie kto tam, odpowiedział właściciel zajazdu.

Markiz zmarszczył brwi.

- Spytałam, o co chodzi, a on zaczął mnie bardzo przepraszać i powiedział, że mój pokój został przez kogoś zarezerwowany na długo przed przybyciem dyliżansu. Myślał, że rezerwujący nie przyjedzie, lecz on właśnie się zjawił i będę musiała przenieść się do innego pokoju.

Vanessa z zakłopotaniem popatrzyła na markiza.

- W tej chwili... to wygląda na moją naiwność, lecz wtedy nie wiedziałam, co zrobić ani co powiedzieć! Gdy się wahałam, właściciel zabrał mój bagaż i rozpakowane ubrania i zaczął znosić na dół. Nie przyszło mi do głowy nic lepszego niż... pójść za nim.

- I gdzie panią zaprowadził?

- Do pokoju na tym piętrze - odrzekła Vanessa. - To był ładnie umeblowany pokój i znacznie lepszy niż ten, który właśnie opuściłam. Położył tam moje rzeczy, i gdy nadal zastanawiałam się, co się dzieje, powiedział:

- Nie płaci pani nic dodatkowo, a ten pokój na pewno jest lepszy niż poprzedni.

- Oczywiście w chwilę po jego wyjściu pomyślałam, że powinnam zapytać, dlaczego w tym pokoju nie mógł umieścić przybysza, lecz wcześniej nie przyszło mi to do głowy.

- Nie dziwię się pani - zauważył markiz.

- W nowym pokoju był kominek i duże łóże - ciągnęła Vanessa. - Nie mogłam zrozumieć, dlaczego musiałam się tu przeprowadzić.

- Co pani zrobiła?

- Zamknęłam drzwi i rozebrałam się. Gdy już miałam położyć się do łóżka, spostrzegłam, że w pokoju są drugie drzwi. Nie zauważyłam ich wcześniej i gdy podeszłam, by sprawdzić, czy są zamknięte... usłyszałam po drugiej stronie głos.

Urwała, a markiz spostrzegł, że jej palce podtrzymujące szal drżą.

- Usłyszałam, jak ktoś mówi: „Dziękuję panu bardzo, mój drogi!”, i wiedziałam, kto mówi te słowa.

- Był to bez wątpienia sir Julius Stone! - wtrącił markiz.

- Tak - przyznała Vanessa. - Byłam przekonana, że to on maczał palce w zamianie... mojego pokoju!

Jakby przypominając sobie swe przerażenie, głęboko wciągnęła powietrze.

- Stałam, zastanawiając się, co zrobić. Spojrzałam na drzwi dzielące pokoje i zauważyłam, że po mojej stronie nie ma klucza! Niespodziewanie po drugiej stronie drzwi usłyszałam... zgrzyt otwieranego zamka!

Gdy to mówiła, dostrzegł w jej oczach strach.

- Uświadomiłam sobie, co się dzieje, i szybko pobiegłam do drzwi wychodzących na korytarz. Wiedziałam... że on biegnie... tuż za mną! Zobaczyłam człowieka wychodzącego z pańskiego pokoju i pomyślałam, że nie ma tu nikogo. Otworłam więc drzwi i zajrzałam do środka... Nie widząc nikogo... przypuszczałam, że mogę się tu... zamknąć. Skończyła swe opowiadanie głosem bez tchu.

- Uważam, że postąpiła pani rozsądnie - cicho powiedział markiz. - Tylko ktoś taki jak Stone mógł wobec dziewczyny

podróżującej w towarzystwie starszej kobiety zachować się tak podle.

Vanessa milczała, a markiz dodał po chwili: - Można być zupełnie bezpiecznym w dziewięciu przypadkach, lecz zawsze jeszcze istnieje ten dziesiąty! Czy pani podróż była aż tak ważna, i nikt bardziej odpowiedzialny nie mógł pani towarzyszyć?

- Nie... nikt - odrzekła. - Lord Derwent poprosił mego ojca o dostarczenie sześciu miniatur, które nam oddał ostatnio do odrestaurowania. Jego lordowska mość powiedział też, że ma kilka innych, co do których chciałby zasięgnąć opinii ojca.

- Czy ojciec pani nie mógł spełnić prośby lorda?

- To niemożliwe - zaprzeczyła, robiąc nieokreślony gest ręką. - Ojciec był bardzo... bardzo chory! Pomyślałam, że mogę sama dostarczyć miniatury i stwierdzić, które z dzieł w kolekcji lorda wymagają konserwacji.

- Czy pani jest ekspertem? - spytał markiz z powątpiewaniem.

- Od dawna już pomagam ojcu - z godnością odparła Vanessa.

- Przepraszam za sugestię niekompetencji, lecz pani sama wygląda jak żywa miniatura. Trudno sobie wyobrazić, by pracowała pani jako malarka. Chociaż tu mogę się mylić. Taka praca może w naturalny sposób pani odpowiadać.

- Nie mam pretensji do tego, aby być artystką - miniaturzystką - odparła urażona - lecz jestem wystarczająco doświadczona, by wiedzieć, co zrobić z miniaturą, która wypłowiała bądź została uszkodzona przez niewłaściwe przechowywanie.

Markiz milczał, a ona, jakby kwestionując jego wiedzę w tej dziedzinie, dodała po chwili:

- W malowaniu na kości słoniowej cała trudność polega na tym, że podłoże może się wypaczyć lub pokryć pleśnią, a to prowadzi do zniszczenia wizerunku.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odrzekł. - A więc mogła pani służyć lordowi Derwent skuteczną radą?

- Uznałam, że cztery miniatury wymagają renowacji.

- Mam nadzieję, iż lord był pani wdzięczny, że dostarczyła mu pani pozostałe miniatury, ryzykując tak wiele.

- Nie wydaje mi się, by się nad tym zastanawiał. Jednak gdy właściciel osobiście odbiera wykonane zamówienie, zazwyczaj płaci rachunek na miejscu.

Uśmiechnęła się lekko do markiza i dodała:

- Niestety ludzie, którzy sami nie muszą zarabiać na swoje utrzymanie, zbyt często o tym zapominają.

- To prawda - przyznał markiz i pomyślał o olbrzymich długach zaciągniętych przez księcia Walii. Większość pieniędzy był winien artystom i pośrednikom.

Po chwili ciszy Vanessa spytała:

- Czy myśli pan... że mogę teraz pójść bezpiecznie na górę?

Przyglądał się jej drobnej, wrażliwej twarzy i na myśl, że dziewczyna może znaleźć się w pobliżu człowieka tak zdeprawowanego jak sir Julius Stone, poczuł irytację.

Dlaczego ta świnia nie ogranicza się w swej rozpuście i deprawowaniu młodych, bezbronnych kobiet do Londynu? - pytał w duchu sam siebie.

Tej niedoświadczonej dziewczynie nie dopisało szczęście. Spotkać kogoś takiego jak on...

Markiz domyślił się, że powodem obecności sir Juliusa w zajeździe musiał być mecz bokserski.

- Gdy podróżuję - rzekł powoli - ponieważ nie znoszę hałasu, zawsze rezerwuję nie tylko pokój, w którym mieszkam, lecz również pokoje przylegające doń po obu

stronach. Jestem wtedy pewny, że z sąsiednich pokoi nie obudzi mnie chrapanie czy kłótnia! Ściany są przeważnie zadziwiająco cienkie.

- To nie lada luksus - stwierdziła z uśmiechem.

- Wierzę, że komfort jest dobrem, za które warto płacić - odpowiedział. - Proponuję, panno Lens, by spała pani w przyległym pokoju. To uchroni panią przed natręctwem sir Juliusa. Jeśli wyjedzie pani wczesnym rankiem, będzie już pani daleko, gdy on się obudzi.

- Czy naprawdę mogę spać tu obok?

- Uważam to za rozsądne rozwiązanie.

Mówiąc to, wstał ze swego fotela przy kominku i przeszedł przez pokój.

Drzwi prowadzące do sąsiedniego pokoju znajdowały się pomiędzy dwiema szafami na ubrania, a klucz tkwił w zamku od wewnątrz. Wziąwszy ze stołu lichtarz z zapaloną świecą, markiz wszedł do środka.

Pokój był dużo mniejszy niż sypialnia i z pewnością był przewidziany jako garderoba lub pokój dziecienny.

W rogu stało wąskie łóżko, a na podłodze leżał dywan. Była też szafa i komoda; wszystko dobrej jakości.

- Myślę, że spędzę tu spokojną noc. Taka jestem panu wdzięczna! - wykrzyknęła Vanessa. - Rano pójdę po Dorcas, a ona przeniesie moje ubrania z tamtego pokoju. Markiz umieścił lichtarz na nocnym stoliku.

- Proponuję, by przełożyła pani klucz na swoją stronę.

Mówiąc to, spojrzał na nią.

- Wierzę panu - rzekła cicho. - Jest pan zupełnie inny niż... tamten przerażający człowiek.

- Mam taką nadzieję! - odpowiedział oschle.

- Ojciec mówił mi, że... istnieją tacy ludzie jak on, a książę Walii toleruje ich towarzystwo - mówiła jakby do siebie. - Nie myślałam jednak... że takiego człowieka spotkam.

- A teraz, gdy to się zdarzyło, powinna być pani ostrożna - ostrzegł ją markiz. - Jest pani czarująca, Vanesso, a piękne kobiety całkiem bezwiednie prowokują niebezpieczeństwo.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Czy naprawdę pan tak myśli?

- Oczywiście! Powinna pani częściej przeglądać się w lustrze.

Uśmiechnęła się do niego, a jej policzki lekko poróżzowały.

- Moja matka była bardzo piękna, a ja nigdy nie sądziłam, że mogę wyróżniać się urodą... ponad przeciętność.

- Waśnie w tej sprawie wielu mężczyzn będzie chciało dowieść, że się pani myli.

- Zatem mam szczęście, że nie widuję wielu. Ponownie uśmiechnęła się do niego, a on popatrzył na nią uważnie.

W świetle świec wyglądała krucho i prawie niematerialnie.

Z aureolą pięknych włosów okalających twarzyczkę i połyskujących w panującym w pokoju półmroku, sprawiała wrażenie dziecka.

- Skoro ojciec pani jest chory i nie może się panią zająć, powinna pani pozostać w domu, Vanesso - napomniął ją markiz. - Niech pani nigdy nie wyjeżdża w podróż taką jak ta bez należytej opieki.

- Wiem, że pan... ma rację - odpowiedziała powoli. - Lecz jest to... trudne... bardzo trudne.

W jej głosie zabrzmiała nuta troski. Markizowi wydało się to nieco patetyczne.

- Proszę iść spać - rzekł po chwili. - Tej nocy nie musi się pani niczego obawiać. Niech pani pozamyka wszystkie drzwi na klucz, a jeśli się pani będzie bała, proszę krzyknąć. Usłyszę panią.

- Jestem pewna, że teraz będę bezpieczna... dziękuję, milordzie - powiedziała cicho. - Jestem panu wdzięczna... nawet nie potrafię wyrazić jak bardzo.

- Nie musi mi pani dziękować. Jest mi przykro z powodu całego zdarzenia. Może następnym razem będzie pani bardziej ostrożna.

- Następnym razem... może pana nie być.

Ich oczy spotkały się i przez chwilę obydwójce znieruchomieli, jakby ich coś poraziło. Gdy tak stała, patrząc w jego twarz swymi dużymi szarzielonymi oczami, w których malowały się oszołomienie i ufność, jej usta rozchyliły się lekko i wyglądała nierealnie, jak wytwór wyobraźni.

- Dobranoc! - powiedział markiz, lecz to nie zmieniło nastroju tej chwili.

Wtedy, jakby wiedziony tajemniczą siłą, ujął Vanesę za podbródek, schylił głowę i pocałował ją.

Był to łagodny, czuły pocałunek; taki, jakim się obdarza dziecko. Jednak spotkanie ich ust trwało całą wieczność.

Markiz podniósł głowę.

- Dobranoc, Vanesso! - powtórzył.

Tym razem jego głos zabrzmiał głośno i zdecydowanie i markiz bez oglądania się za siebie poszedł do swego pokoju.

Za plecami słyszał, jak Vanessa zamyka drzwi i przekręca w zamku klucz.

Powoli podszedł do stojącego przy kominku fotela, usiadł w nim i w zamyśleniu zapatrzył się w płomienie.

Rozdział 2

Wchodząc do Carlton House, markiz Ruckford jak zwykle podziwiał koryncki portyk dostojnej fasady pałacu.

Podczas odwiedzin u księcia Walii zawsze zachwycał się nie tylko zewnętrznym wyglądem pałacu, zmienionym nie do poznania przez Hollanda, lecz również architekturą wnętrza.

Służba książęca odziana w ciemnoniebieskie liberie, misternie obszyte złotymi lamówkami, prowadziła go przez wspaniałe hall ozdobiony jońskimi kolumnami z sieneńskiego brązowego marmuru, z którego wspaniałe, podwójne schody prowadziły na górę, do apartamentu przyjęć.

Markiz przeszedł przez salon muzyczny i salon z chińskimi meblami i kotarami. Od 1750 roku moda na chińszczyznę miała wielu zwolenników w Anglii.

Markiz, krocząc powoli i dostojnie przez komnaty, wyglądał nad wyraz elegancko. Jego doskonale skrojone ubranie leżało bez zarzutu i, w przeciwieństwie do ubiorów wielu elegantów i dandysów, nie było w najmniejszym stopniu ekstrawaganckie.

Prawdą było, że markiz przyjął zasady dyktowane przez Beau Brummela, który uważał, że dżentelmen powinien być tak doskonale ubrany, by w istocie pozostał nie zauważony.

Markiza jednak nie sposób było nie zauważyć. Miał w sobie coś, co przyciągało wzrok. Nawet służba pałacowa, która widziała już tak wielu znakomitych gości, patrzyła na niego z podziwem.

Lokaje z zazdrością spoglądali na jego szerokie ramiona, wiedząc, że markiz może, jeśli zechce, zwyciężyć nawet zawodowego pięściarza, i że korzystał już wiele razy z tych umiejętności.

Nie zdając sobie sprawy, że budzi takie zainteresowanie, oglądał obrazy i meble. Dostrzegł kilka rzeczy, których

dotychczas nie widział. Przypomnił sobie stwierdzenie lady Sarah Spencer:

- Księżę tak często zmienia meble, że trudno zauważyć, które z nich są najnowsze, nim ustąpią miejsca następnym.

Wspaniałe dzieła van Dycka, które ostatnio nabył, były markizowi dobrze znane. Podobnie jak holenderskie krajobrazy, które jego księżęca mość kupił, pomimo że holenderscy malarze nie byli obecnie w modzie.

Meble zdobiące pałac markiz uważał za bezcenne. Po rewolucji księżę zebrał skarby, które zostały bezmyślnie wyrzucone z Wersalu i z wielkich domów Francji.

Prawdę mówiąc, księżę zgromadził niewątpliwie większą kolekcję francuskich dzieł sztuki niż którykolwiek z angielskich monarchów.

Gdy weszli do Salonu Chińskiego, służący zaanonsował go, nie pytając o nazwisko. Markiz był w Carlton House postacią dobrze znaną.

- Markiz Ruckford, wasza księżęca mość - obwieścił niczym arcybiskup.

Księżę, samotnie oglądający szkice królewskiego pałacu w Brighton, wstał.

- Ruckford! Nie miałem pojęcia, że pan już powrócił do Londynu! Jak się cieszę, że cię widzę, mój drogi. Jakie są wyniki podróży?

- Właśnie to chciałem panu zrelacjonować, sir.

- Siadaj więc! Siadaj! I napijmy się.

Jak spod ziemi pojawił się kamerdyner w towarzystwie dwóch lokai. Wnieśli dużą srebrną tacę z ciężkimi kryształowymi karafkami i puchary ozdobione królewskimi herbami.

Markiz wziął kielich wina; księżę wybrał brandy.

- Czy kupił mi pan Tycjana? - spytał księżę, gdy służba wyszła.

Pytał z niecierpliwością, jak młody chłopiec, któremu obiecano nagrodę i który nie może się doczekać chwili, gdy usłyszy, że na nią zasłużył.

Markiz potrząsnął głową.

- Przykro mi, ale nie, sir. Lord Hargrave był nieco zmartwiony, gdy mu powiedziałem, że ten obraz to kopia.

Książę zaśmiał się.

- Jestem pewien, że Hargrave był wściekły. Opowiadał mi o tym obrazie używając górnolotnych określeń, przekonany, że zechcę go nabyć.

- Chciałem to właśnie panu odradzić, sir.

- Wie pan przecież równie dobrze jak ja, że posłucham pańskiej rady. Hm, kopia!

Ponownie wybuchnął śmiechem.

- Chciałbym widzieć jego minę, gdy to usłyszał.

- Lord udobruchał się nieco, sir, gdy znalazłem u niego piękny obraz pędzla Jana van Goyena, wiszący w korytarzu i zapomniany od lat.

- Van Goyen! Oczy księcia rozbłysły.

- Kupił pan dla mnie ten obraz?

- Tak, sir. Będzie dobrze pasował do kolekcji obrazów holenderskich.

- Jak wygląda? Niech pan go opisz? - rozkazał książę.

- Jest to szczególnie malowniczy widok holenderskiego krajobrazu. Znakomicie oddana panująca w powietrzu wilgoć, a wyłaniające się w tle szare niebo odbija się w wodach kanału. Wszystko w stylu tego niepowtarzalnego mistrza.

- Nie mogę doczekać się chwili, kiedy go zobaczę! - z westchnieniem zadowolenia powiedział książę. - Czy przywiózł pan obraz ze sobą?

- Jest u mnie u Ruckford House, sir. Zanim go przekażę, jeśli pan pozwoli, chciałbym dać go do odnowienia i oprawie w nową ramę.

- To bardzo ładnie z pańskiej strony - pochwalił księżę. - Czy w kolekcji lorda Hargrave jest jeszcze coś, co mogłoby mnie interesować?

- Był jeszcze Rubens, sir, ale kupiłem go dla siebie.

- Co pan zrobił?! - wykrzyknął księżę.

- Kupiłem ten obraz do Ruckford Park. Właśnie czegoś takiego potrzebowałem do mojej sali bankietowej.

Księżę zmarszczył brwi.

- Wydawało mi się, że skoro do Hargrave Castle posłałem pana w moim imieniu, a pan znajduje tam skarby, to obraz powinien być mój.

Księżę przypominał w tej chwili zachłanne dziecko i markiz uśmiechnął się, nim odrzekł:

- Uważam, sir, że pana najemnik zasługuje na nagrodę. Ten obraz w swym stylu, rozmiarze i kolorze jest dokładnie taki, jakiego poszukiwałem już od dawna.

Księżę patrzył na niego gniewnie, po czym niespodziewanie rozpogodził się i uśmiechnął.

- Do diabła z panem, Ruckford, pozostajesz zawsze taki sam. Jeśli zobaczysz to, czego potrzebujesz, to po prostu zabierasz. Jesteś piratem, przyjacielu!

- Mój przodek, pierwszy z rodu, gdy otrzymał tytuł rycerski z rąk królowej Elżbiety, miał reputację rabusia, sir.

- Lecz on rabował Hiszpanów! - zauważył księżę.

- Ale był piratem - zawsze piratem, sir - odparował markiz. - Niech pan pamięta, księżę, że chciał pan kupić Tycjana, nie Rubensa.

- Dzieli pan włos na czworo - sarknął księżę. - Jednocześnie zdaję sobie sprawę z faktu, że wobec pańskiego oszustwa jestem bezradny.

- To mocne słowo, sir - zaprotestował markiz. - Być może powinienem wcześniej powiedzieć, że lord Hargrave nalegał, by mu zapłacić, nim obraz opuści jego pałac.

Zaległa cisza.

- Czy to oznacza, że nie mogę mieć van Goyena? - innym już głosem spytał księżę.

- Jak już mówiłem, przywiozłem to płótno. Sam za nie zapłaciłem. Teraz należy do pana, sir!

- Ja panu zwrócę ten dług, Ruckford. Ale pan wie, w tej chwili nie dysponuję żadnymi pieniędzmi.

- Dlatego też, sir, byłem pewien, że nie będzie mi pan miał za złe, iż Rubensa, za którego lord Hargrave zażądał wysokiej sumy, kupiłem dla siebie.

Markiz doskonale wiedział, że jego książęca mość był winien wiele pieniędzy różnym artystom. Wdowa Gainsborough, gdy zmarł jej mąż, otrzymała zwrot zaledwie niewielkiej części długu.

Księżę był zadłużony u Coswaya na prawie dwa tysiące funtów, a u Stubba na ponad tysiąc. Istniało też wielu innych, jak Hoppner i George Rommey, u których księżę permanentnie zaciągał długi.

Te sumy stanowiły jednak drobiazg w porównaniu z innymi zaległościami. Rachunek księcia, u Leedersów - wytwórców powozów - opiewał na 32 tysiące funtów, a licznym krawcom - Westonowi, Schwetzerowi, Bazalgette'owi i Winterowi - był winien 31 tysięcy 191 funtów.

Zapożyczył się także u swych przyjaciół: ponad 15 tysięcy funtów był dłużny hrabiemu Morre'owi, a służba książęcego dworu nie otrzymywała zapłaty już od kilku miesięcy.

Jakby wyczuwając, że markiz myśli o tych samych sprawach co on, księżę nagle zmienił temat.

- Chcę panu pokazać kilka nowych rzeczy - rzekł żywo. - Mogę o panu powiedzieć jedno, Ruckford. Nie istnieje nikt inny prócz pana, kto potrafiłby docenić moje nabytki.

- Dziękuję, sir - odrzekł markiz. - Prawdą jest, że mamy podobny gust. Dla przykładu: obydwaj lubimy francuskie

meble i flamandzkie malarstwo. Wasza książęca wysokość ma bystre oko, o czym się wszyscy wiele razy przekonali, a ośmielam się sądzić, że ja też rzadko daję się zwieść, gdy oceniam autentyzm dzieła.

- Istotnie, jest pan koneserem - wspaniałomyślnie zgodził się książę.

Widać było, że komplement przyjaciela sprawił mu przyjemność.

- Jest pewna rzecz, o którą chciałbym pana zapytać, sir - rzekł markiz. - Czy słyszał pan o mi maturzyście o nazwisku Lens? Nie mam tu na myśli Bernarda Lensa, który nie żyje od lat.

- Czy Lens, o którego pan pyta, jest jego krewnym?

- Jest jego wnukiem.

- Zatem chodzi o Corneliusa Lensa - powiedział książę. - Mam jedną z jego miniatur, a dwa lub trzy lata temu odnawiał mojego Hilliarda, który wyblakł od słońca.

- Czy dużo wykonuje prac renowacyjnych?

- Został mi polecony, ponieważ Cosway poczuł się zbyt wielki, gdy idzie o odnawianie miniatur, których sam nie malował.

- Czy pana zdaniem Lens jest dobry? - pytał nadal markiz.

- Nadzwyczajny! Jeśli to pana interesuje, to mogę pokazać, co dla mnie zrobił.

- Ciekawi mnie to.

Książę poprowadził go przez Salon Złoty i Różowosatynowy do Błękitnego Salonu Aksamitnego.

Ściany po obu stronach misternie rzeźbionego kominka ozdobione były wieloma miniaturami.

Dawniej markiz widział je ułożone nieco inaczej. Na błękitnych i blad różowych ścianach prezentowały się wyjątkowo dekoracyjnie. Książę wskazał na wspaniałą miniaturę pędzla Hansa Holbeina, z małym sznurem pereł

wokół ramy, oraz na dwa , znakomite dziełka Nicolasa Hilliarda: jedno ukazujące królową Elżbietę, a drugie sir Waltera Raleigha.

Obrazki malowane na welinie pokazywały cały rozmach i blask czasów elżbietańskich z ich strojami pełnymi złotych haftów i pięknych koronkowych krez, których namalowanie wymagało wyjątkowego talentu artysty.

- Czy pan wie - z uśmiechem powiedział książę - że rada Hilliarda dla malarzy brzmiała: nie irytować się i nie dopuszczać żadnych ciekawskich podczas pracy.

- Jest to coś, czego wszyscy pragniemy, sir - odrzekł markiz z uśmiechem.

- Nawet Cosway nie osiąga kunsztu wczesnych miniaturzystów - stwierdził książę.

Mówiąc to, ujął miniaturę pani Fitzherbert wiszącą pośród innych.

Gdy Richard Cosway pod koniec zeszłego stulecia został mianowany miniaturzystą królewskim, książę zakupił ponad trzydzieści jego miniatur.

Z czasem stał się wielkim przyjacielem księcia, ale markiz nigdy nie darzył go sympatią. Był to zarozumiały, próżny, mały człowieczek, noszący wymyślne stroje, niczym dandys.

Doprowadził swój styl do takiej przesady, że karykaturzyści mówili o nim „Marconi, malarz miniatur” i to imię do niego przyłgnęło.

Samozwańcza grupa „Marconi”, która wyłoniła się spośród młodszych członków klubu Almanack, była znana z absurdalnych, ekstrawaganckich pomysłów.

Ubiory modnisią Coswaya, a szczególnie jego zwyczaj noszenia białej broni przy wszystkich okazjach sprawiały, że stał się celem drwin.

Chociaż krążyło o nim wiele niepochlebnych historii, niewątpliwie był doskonałym i płodnym malarzem.

Zanim księżę dostał się pod zbawienny wpływ Marii Fitzherbert, spędzał czas z Johnem Philipem Turnbullem, bratem aktorki Sarah Siddons, o którym mówiono, że może pić wino wiadrami. Człowiek ten wraz z Richardem Coswayem „zmienił pałac księcia w pospolity burdel” - dały się słyszeć tu i ówdzie oburzone głosy.

Nie tylko oni byli przyjmowani przez księcia. Wielu im podobnych skłaniało go do opilstwa, marnotrawienia pieniędzy i zaciągania jeszcze większych długów.

Maria Fitzherbert miała na szczęście zbawienny wpływ na księcia i powstrzymywała go od tego rodzaju czynów. Markiz przypomniał sobie, jak jego księżęca mość podarował jej duży diament, Pani Fitzherbert kazała przeciąć go na pół. Cosway namalował zaś dwie miniatury: jej i księcia, które zostały oprawione w dwa małe medaliony. Każdy z nich był zamykany połową tego diamentu, wokół zaś ułożono szereg małych diamencików.

Księżę i pani Fitzherbert przysięgali, że zawsze będą nosić te klejnoty, a markiz wiele razy słyszał, jak księżę mawiał, że po jego śmierci jej portret ma być pochowany wraz z nim.

Markiz nie lubił Coswaya, bez względu na to, jak dobrym był malarzem, i nie darzył szczególną sympatią ludzi z kręgów artystycznych.

- O! Właśnie tego szukałem! - wykrzyknął nagle księżę. .

Zdjął jedną z miniaturek ze ściany i wręczył markizowi.

- Tę namalował Cornelius Lens. Kupiłem ją kilka lat temu.

Markiz wziął do ręki miniaturę i natychmiast rozpoznał portret Vanessy.

Zauważył, że był wykonany nie tylko nadzwyczaj misternie, ale i z uczuciem.

Lens doskonale oddał owal jej twarzy i wyraz dużych zielonych oczu. Wyraził również uduchowanie, jakiego markiz nigdy nie dostrzegł w żadnej innej miniaturze.

Przypuszczał, że Vanessa mogła mieć wtedy około szesnastu lat.

Wyglądała jednak bardziej dojrzałe niż wtedy, gdy ją uratował od natrętnych zalotów sir Juliusa Stone'a i pocałował na dobranoc na chwilę przedtem, nim zamknęła drzwi łączące ich pokoje.

Osobliwe piękno jej włosów połyskujących złotem było doskonale oddane, zupełnie jak na miniaturze pędzla Hansa Memlinga, którą książę również posiadał.

Zdając sobie sprawę, że książę oczekuje jego komentarzy, rzekł:

- Podoba mi się ta miniatura, sir. Chciałbym się skontaktować z artystą, który ją namalował.

- Jeśli zamierza pan odwiedzić Corneliusa Lensa - powiedział książę - to może by pan wziął ze sobą tę miniaturę Jakuba I, pędzla Izaaka Oliviera. Jak pan widzi, wymaga odnowienia i prawdę mówiąc, zamierzałem ją posłać do Lensa.

- Zabiorę to ze sobą, sir.

Doskonale wiedział, że książę zawsze znajdzie zadanie, dla swych przyjaciół, i z ledwie widocznym uśmiechem zdjął ze ściany kunsztownie oprawiony portret przedstawiający Jakuba I w stroju z koronkową krezą.

- Niech go pan poprosi, by się pośpieszył - napominał książę - chociaż mam jeszcze inną miniaturę, którą mogę wypełnić to puste miejsce na ścianie.

Markiz był o tym przekonany, wiedząc, jak wiele dzieł książę ukrył. Większość z nich schowano, gdyż brakowało miejsca, gdzie można by je powiesić.

- Gdzie mogę znaleźć adres Corneliusa Lensa? - zapytał.

- Zna go John McMahon - odrzekł książę niedbale.

John McMahon został właśnie skarbnikiem królewskim, i markiz uśmiechając się kwaśno pomyślał, że zapewne pierwszym jego zajęciem było sporządzenie listy książęcych długów.

Markiz był ciekaw, czy Cornelius Lens otrzymał zapłatę za swoje usługi. W każdym razie wiedział już to, co chciał wiedzieć.

Na zaproszenie księcia pozostał w Carlton House na obiedzie, na którym była obecna nie tylko pani Fitzherbert, lecz również uroczą księżną Devonshire. Postanowił, że następnego dnia odwiedzi ojca Vanessy.

W Ruckford House, leżącym przy Berkeley Square, miał wiele miniatur przedstawiających jego przodków. Przez wiele lat właściciele tej posiadłości byli mecenasami sztuki i zamawiali swoje portrety u najlepszych artystów epoki, w której żyli.

Markiz odkrył, że podobnie jak książę, ma kilka dzieł pędzla Izaaka Oliviera, a także wiele obrazów Samuela Coopera, który portretował renesansowe piękności za czasów Karola II.

Cooper uwiecznił również pierwszą z hrabianek Ruckford, wielką piękność tamtych czasów. Mówiono o niej, że była jedną z niewielu cnotliwych dam, które odrzuciły umizgi króla.

Jej portret niewątpliwie wymagał renowacji. Po starannym zapakowaniu wszystkich dzieł markiz wyruszył swoim faetonem (Mały, lekki powóz) w kierunku Islington.

John McMahon podał mu adres Corneliusa Lensa. - Przynajmniej mam nadzieję, że nadal tam mieszka, milordzie. Pan sam wie, jacy są ci artyści. Przenoszą się z miejsca na miejsce, a często zapominają zostawić nowy adres. Miałem

kiedyś duże trudności w odnalezieniu witrażysty, którego jego wysokość pilnie potrzebował.

Markiz nie zwracał szczególnej uwagi na narzekania skarbnika. Miał tylko nadzieję, że pan Lens nie wyprowadził się i myślał z niecierpliwością, kiedy znowu ujrzy Vanesę.

Chciał się jeszcze raz przekonać, że naprawdę jest tak piękna, jak mu się wtedy wydawało. Chciał wiedzieć, czy wrażenie oryginalności jej urody nie było tylko iluzją wywołaną słabym, migotliwym światłem świec.

Tamtego wieczoru udawał się na spoczynek z nadzieją, że ujrzy ją następnego ranka. Gdy jednak obudził go służący, dowiedział się, iż dyliżans odjechał z zajazdu zaraz po szóstej rano, a w nim Vanessa wraz ze swą pokojówką.

Był pewien, że w takim razie przed swym wyjazdem nie napotkała sir Juliusa!

Gdy po zjedzeniu śniadania wychodził ze swego saloniku, zauważył sir Juliusa i z satysfakcją stwierdził, że baron jest najwyraźniej sfrustrowany.

To spostrzeżenie poprawiło jeszcze i tak dobry humor markiza. Kazał przygotować swój zaprzęg i w drodze powrotnej do domu pobił rekord tej trasy należący do lorda Derwent, wzbudzając tym radość swojej służby.

- Dawno nie mieliśmy tak dobrego zaprzęgu, Higham - powiedział markiz do swego stangreta, gdy przybyli na Berkeley Square.

- Tak właśnie myślałem - odparł Higham. - Ale to zależy też, kto powoził!

- Schlebiasz mi! - zaśmiał się markiz, po czym poszedł w kierunku domu.

Ruckford House był usytuowany przy Berkeley Square, otaczały go należące do posiadłości ogrody. Wielka, imponująca rezydencja mieściła w swym wnętrzu skarby dorównujące skarbowi pałacu książęcego na Pall Mall.

Było to nie tylko zasługą jej obecnego właściciela, lecz wielu pokoleń rodu Ruckford. Wszyscy lubili kolekcjonować dzieła sztuki, a książkę zwał ich - „piratami”.

Markiz często powtarzał rodzinne, łacińskie motto które brzmiało: „To, co mam, utrzymam”.

Rodzina Ruckford z całą pewnością przestrzegła tego hasła.

Przetrwali wojnę domową i spustoszenia siane przez armię Cromwella, a kryzysy, które zniszczyły wiele innych bogatych rodzin, nie naruszyły ich dóbr. Dzięki swej zręczności zawsze znajdowali się w otoczeniu kolejnego monarchy.

Olbrzymie posiadłości markiza w Oxfordshire nie miały sobie równych. To, co zgromadzono w Ruckford House przy Berkeley Square, było marzeniem kolekcjonerów, choć stanowiło jedynie część fortuny. Natomiast niezliczone skarby znajdowały się w pięknej wiejskiej posiadłości - Ruckford Park.

Zbliżając się do Islington, markiz rozmyślał, ileż szczęścia daje odkrycie dzieła sztuki.

Mam intuicję w tych sprawach - myślał o sobie.

Szczególnie cieszył go zakupiony obraz Rubensa.

Nie był to typowy Rubens przedstawiający tłuste piękności, które malarz podziwiał, ani alegorie ukazujące orgie bogów.

Był to nastrojowy, liryczny pejzaż: jakby wyjęty z bajki, wyłaniający się z wód jeziora zamek.

Nikt nie spodziewał się czegoś takiego po Rubensie, a dla markiza obraz ten miał swoisty, niepowtarzalny urok.

Pomyślał, że pejzaż ten, tak jak Vanessa, ma w sobie jakiś tajemniczy czar.

Odkrycie jej było jak znalezienie pierwszego wiosennego fiołka, kryjącego się pod grubą warstwą liści, lub jak

zobaczenie pierwszej kropli wody, która rzucała walecznie wyzwanie panującej wokół doskonałej bieli śniegów.

Pewnie znowu doznam rozczarowania - pomyślał.

Często się już zdarzało, że widział na balu kobietę lub oglądał na scenie aktorkę i uważał, że spotkał zjawisko nadzwyczajne, godne uwagi.

Nie potrafił dokładnie opisać swych odczuć. Podobne emocje były jego udziałem, gdy oglądał obraz, co do którego miał niemal pewność, że musi być dziełem mistrza, ukrytym pod warstwą kurzu, lub gdy nagle, w podróży, zajęty własnymi myślami zobaczył niespodziewanie czarujący widok.

Chwilami czuł ukłucie w sercu i brakło mu tchu, jakby stał na progu tajemniczego sanktuarium.

Było to coś wyjątkowego i silnego, jak narastające nieugaszone pragnienie. Lecz szybko okazywało się, że znów się pomylił i pozostawał mu tylko cierpki smak rozczarowania.

Zawsze wówczas markiz śmiał się sam z siebie.

Właściwie dlaczego miał oczekiwać, że tym razem będzie inaczej? Dlaczego zawsze wydawało mu się, że doskonałość stanie się jego udziałem, podczas gdy inni poświęcali całe swe życie poszukiwaniom ideału i ponosili sromotną klęskę? .

Jednocześnie czuł, że nie potrafi z tego zrezygnować, gdyż zawsze istniał cień nadziei, że pewnego dnia znajdzie to, czego tak długo szuka.

A tymczasem, uśmiechając się ironicznie, prowadził po mistrzowsku swój powozik przez ulice zatłoczone dwukółkami, połączanymi powozami arystokratów, stadami bydła, wozami z węglem powożonymi przez bluźniących woźniców. Wjechał do dzielnicy Islington.

Drzewa okryły się już pierwszymi liśćmi, a przed domami w ogrodach złociły się żonkile.

Dom, którego szukał, stał samotnie w głębi ulicy i był niewiele większy od wiejskiej chaty.

Otoczony płotem, sprawiał wrażenie dziecinnej zabawki. Wyglądał jak domek dla lalek, do którego nie powinni wstępować dorośli.

Po bliższym przyjrzeniu się markiz nabrał pewności, że dom ten zbudowano specjalnie dla artysty. Fasada była skierowana na południe, a z tyłu niewątpliwie znajdowała się pracownia, oświetlona północnym światłem.

Towarzyszący mu lokaj wszedł przez małą żelazną furtkę i zastukał do zielonych drzwi kołatką połyskującą w promieniach słońca.

Minęła dłuższa chwila, nim drzwi otworzyły się i na progu stanęła starsza kobieta.

Markiz domyślił się, że była to Dorcas, towarzysząca Vanessie w podróży do zamku lorda Derwent. Wyglądała na dobrze ułożoną, porządną kobietę, dokładnie taką, jaką Vanessa powinna zatrudnić.

Służący powrócił do powozu i markiz wysiadł.

- Dzień dobry! - powiedział do Dorcas. - Chciałbym rozmawiać z panem Corneliusem Lensem.

Kobieta przyjrzała mu się badawczo w sposób, który w innych okolicznościach markiz uważałby za niegrzeczny, lecz teraz odnosząc wrażenie, iż może bierze go za sir Juliusa Stone'a, szybko powiedział:

- Jestem markizem Ruckford i przyjechałem porozmawiać z panem Lensem o interesach.

Był niemal pewien, że starsza kobieta nagle pozbyła się swej nieufności. W każdym razie otworzyła szerzej drzwi, mówiąc:

- Proszę wejść, milordzie. Powiem panie Vanessie, że pan przyjechał.

Hall, w którym się znalazł, był tak mały, iż markiz . poczuł się tu jak olbrzym, Położył swój kapelusz na wąskiej dębowej półce i poszedł za pokojówką, która wprowadziła go do saloniku.

Przez okno widział, jak jego służący odjeżdża, by nie pozostawiać koni w bezruchu.

Rozejrzał się po małym pokoju i stwierdził, że chociaż meble nie były drogie, to dobrano je ze smakiem. Nad kominkiem dostrzegł wspaniały portret, przedstawiający wyjątkowo piękną kobietę. Jej podobieństwo do Vanessy było uderzające i markiz domyślił się, że to jej matka.

Była to niewątpliwie kobieta dobrze urodzona, co w jakiś sposób emanowało z jej wizerunku. Nagle markiz ujrzał Vanesę. Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego pomyślał, lub raczej odczuł, że jest inna niż wszystkie kobiety, które dotąd spotkał. Z całą pewnością istniała wielka różnica pomiędzy nią a znanymi mu ludźmi z kręgów artystycznych.

Dotyczyło to nie tylko Richarda Coswaya, który napawał go wstrętem, szczególnie gdy pomyślał, jak ten przez całe lata nakłaniał księcia do pijackich, trwających wiele dni uczt, po których książę musiał leżeć w łóżku i leczyć się.

Często też książę upijał się w towarzystwie Richarda Brinsleya Sheridana, który osiągnął międzynarodową sławę dzięki swym sztukom: „Rywale”, „Szkoła skandalu” i „Krytyk”. Ten młody człowiek nie mógł wpływać dodatnio na kogokolwiek.

Pozostali przyjaciele księcia, chociaż nie byli głupcami, a nawet trafiało się wśród nich wielu bardzo błyskotliwych ludzi, również nie przyczynili się do poprawy wizerunku księcia w oczach poddanych.

Książę miał jednak także bardziej zrównoważonych przyjaciół, takich jak markiz, i niezmiernie cenił ich towarzystwo.

W rozmowie bardzo błyskotliwy, był obdarzony, jak powiedział diuk Wellington, „nadzwyczajnym talentem naśladowania zwyczajów, gestów, a nawet głosów innych ludzi”.

George Brummel uważał, że "zdolności mimiczne księcia są tak niespotykane, że jeśli jego los ułożyłby się inaczej, to byłby najlepszym komikiem Europy”.

Księżę miał dużo wdzięku i słynął z ciętego dowcipu. Był także doskonałym krytykiem muzycznym.

Markiz widział na własne oczy, jak księżę, mimo tylu uzdolnień i zalet, psuł sobie opinię wśród poddanych przebywaniem w niewłaściwym towarzystwie i marnował swe talenty. Dlatego markiz bywał szczególnie ostrożny, gdy w rachubę wchodziła jego własna reputacja.

Nie miał zamiaru dopuszczać do tego, by stał się pośmiewiskiem w klubach i salonach Mayfair.

Był dumny ze swej przeszłości i zbyt zrównoważony, by postępować tak, aby ludzie wzięli go na języki, lub żeby zaszkodzić swemu zdrowiu.

Prowadził wystawne życie, lecz gdy był jeszcze młodzieńcem, postanowił, że nigdy nie pofolguje sobie w nadmiarze i tej zasadzie pozostał wierny przez następne lata.

Wpatrywał się w obraz nad kominkiem, gdy za jego plecami otwarły się drzwi. Odwrócił się i ujrzał Vanesę.

Patrzył na nią, a gdy ich oczy spotkały się, zauważył, że lekki rumieniec wykwita na jej twarzy.

Był delikatny jak brzask poranka rozświetlający niebo o świcie i markiz wiedział, że w tej chwili dziewczyna jest jeszcze piękniejsza niż wizerunek, który zachował w pamięci.

Jej drobna twarz była dokładnie taka jak na miniaturze, którą widział u księcia. Znów, jak wówczas, ogarnął go zachwyty, uczucie, które pamiętał, pomimo że jeszcze przed chwilą nie potrafiłby nawet opisać rysów jej twarzy.

Miała mały prosty nosek, doskonale zarysowane usta, a tak dużych wyrazistych oczu nie widział jeszcze nigdy dotąd.

Vanessa skłoniła się, a on zdał sobie sprawę, że przez chwilę, gdy zaskoczona patrzyła na niego, zapomniała o dobrych manierach,

- Dzień dobry, Vanesso! - powiedział głębokim głosem. - Czy pani jest zaskoczona?

- Tak... - odparła cichym szeptem. - Nie mogłam... uwierzyć... że to prawda... gdy Dorcas powiedziała... że pan tu jest.

- Nie miałem trudności w odszukaniu pani - pochwalił się markiz. - Wystarczyło, że zapytałem księcia Walii o adres. Książę kupił miniaturę pędzla pani ojca. To jest wspaniały portret.

- Mój ojciec nie podał... kto to był.. Zatyłował obraz „Portret nieznannej dziewczyny”.

- Lecz pani chyba nie przypuszcza, że ja nie rozpoznałem pani podobizny?

Od chwili gdy weszła do pokoju, nie patrzyła na niego, i markiz domyślił się, że jest onieśmielona.

Jakby z wysiłkiem Vanessa podeszła do niego i zapraszająco skinęła ręką.

- Czy nie zechce pan usiąść, milordzie?

Zauważył, że miała długie, szczupłe palce, i przypomniał sobie, jak poprawiała nimi białe szal kryjący jej piersi, gdy siedziała w jego pokoju na krawędzi fotela.

- Pomyślałem, że spotkam się z pani ojcem. Mam dla niego wiadomość od księcia.

Gdy nie odpowiedziała, po chwili dodał:

- Proszę się nie krepować, jeśli w pracowni panuje bałagan. Jestem przyzwyczajony do artystów i wiem, że nie lubią sobie sprawiać kłopotu porządkami, by podejmować gości.

- Obawiam się że... nie może pan teraz rozmawiać z ojcem, milordzie - powiedziała cicho. - On jest chory... bardzo chory... jak już panu mówiłam.

Na chwilę przerwała:

- Lekarz zabronił mu przyjmować gości... lecz oczywiście... przekażę mu wiadomość.

Markiz usiadł na małej sofie i wyjął dwie miniatury, które przywiózł ze sobą.

- Mam tutaj zlecenie od jego książęcej mości. Prosi . on pani ojca o możliwie szybkie odnowienie miniatury Jakuba I, malowanej przez Izaaka Oliviera. Jak pani widzi, cała wyblakła.

Wyjął miniaturę ze skórzanego opakowania i wręczył Vanessie. Dziewczyna zaśmiała się.

- Jak ludzie mogą być tak nierozsądni i pozostawiać miniaturę w świetle słonecznym? - spytała. - Jest ono za silne dla tak delikatnych obrazków.

- Obawiam się, że sam popełniłem podobne przestępstwo - przyznał markiz. - Przywiozłem także miniaturę mojej praprababki Mary, hrabiny Ruckford, malowaną przez Coopera, która również wyblakła.

- Jakaż ona piękna! - wykrzyknęła Vanessa. - To będzie szalenie ciekawe zobaczyć ją w świeżych barwach. Czy widzi pan, jak zszarzał błękit jej sukni? Zblakły także oczy,

- Jestem przekonany, że mogę spokojnie pozostawić tę miniaturę w doświadczonych rękach pani ojca. A teraz proszę mi opowiedzieć o sobie.

Wydawało mu się, że Vanessa spojrzała na niego z niepokojem.

- Co wasza lordowska mość chciałby wiedzieć?

- Istnieje wiele rzeczy, których jestem ciekaw - odrzekł markiz. - Z jakiego rodu się pani wywodzi? Domyślam się, że obraz nad kominkiem przedstawia pani matkę?

- Mama zmarła trzy lata temu - odrzekła Vanessa. - Mgły i chłody okazały się dla niej zbyt surowe. Lekarz mówił, że powinna jechać do cieplejszego kraju, lecz... nie było nas na to stać.

- Jesteście ubodzy?

- Żyjemy tylko z tego... co ojciec zarobi.

- Lecz pani pradziadek musiał być zamożnym człowiekiem. Przypomniałem sobie o nim pewne szczegóły. Był rozchwytywany jako nauczyciel i miał wielu słynnych uczniów, wśród których znaleźli się Jerzy I i Jerzy II.

- Tak, wiem - odrzekła. - Lecz artyści zarabiają mnóstwo pieniędzy w jednym roku, po czym wydają je w następnym, a poza tym pradziadek miał dwóch synów. Jednym z nich był mój dziadek Peter Paul Lens.

- Czym się zajmował?

- Był również miniaturzystą, lecz niezbyt sławnym. Jego prace spotyka się bardzo rzadko.

Po krótkiej przerwie dodała:

- Mój dziadek był jednym z filarów klubu Hellfire w 1737 roku w Dublinie. Wszyscy jego przyjaciele byli ludźmi rozpustnymi, zwano ich „Diabłami”, a on sam nie ukrywał, że był uczniem diabła i publicznie wznosił za swego mistrza toasty.

- Postępował jak niegodziwiec - przyznał markiz.

- Prowadził się tak źle - ciągnęła Vanessa - że został napiętnowany przez Irlandzką Izbę Lordów i musiał opuścić Irlandię. Przybył więc do Anglii.

- Czy nadal malował miniatury?

- Przez jakiś czas. Później się ożenił i urodził się mój ojciec. Dziadek zmarł w wieku trzydziestu sześciu lat.

- Wygląda na to, że jego życie było też w pewnym sensie miniaturą! - zauważył markiz.

- To oznaczało, że ojciec musiał się sam przebijać przez życie. Szczęśliwie potrafił nauczać, jak jego dziadek, a malował tak dobrze, że łatwo sprzedawał swe miniatury.

Vanessa zamilkła.

- Niech pani mówi - ponaglił markiz.

- Miał wiele zamówień na malowanie całych rodzin. W mojej matce zakochał się właśnie wtedy, gdy malował jej portret.

Markiz spojrział na obraz znajdujący się nad kominkiem.

- Doskonale to rozumiem - powiedział. - Musiała być nadzwyczaj piękna, a pani jest bardzo do niej podobna, Vanesso.

- Jak już mówiłam, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, nie dorównuję urodą mamie. Poza tym miała żywe usposobienie, była wesoła i bardzo kochała ojca, a tego nie odda żaden obraz.

- Rozumiem pani uczucia - rzekł markiz. Przyglądał się Vanessie, która zapatrzyła się w obraz matki. Wpatrywał się w zarys jej wysmukłej szyi i w mały, zaokrąglony podbródek.

- Proszę mówić dalej - poprosił.

- Mama była zaręczona z bogatym człowiekiem. Jej ojciec nie uznawał artystów, szczególnie nie lubił mego ojca, który był od niej znacznie starszy. Gdy mama powiedziała dziadkowi, że zamierza wyjść za mąż za miniaturzystę, wpadł we wściekłość i wyrzucił mego ojca z domu.

- Domyślam się tego - uśmiechnął się.

- Mama uciekła z domu, a rodzina wyrzekła się jej. Myśl o tym była dla ojca zawsze przykra, dlatego nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat.

- Ale byli ze sobą szczęśliwi?

- Byli bardzo... bardzo szczęśliwi. Dom bez mamy wydaje się pusty, a biedny ojciec jest tak zagubiony...

Zrobiła ręką wymowny gest.

Zapadła cisza. Po chwili markiz zapytał:

- Czy nigdy nie chodzi pani na przyjęcia?

- W Londynie mieliśmy kilku przyjaciół - odrzekła. - Mama nie przepadała za... światem artystycznym.

- Doskonale to rozumiem - powiedział myśląc o Richardzie Coswayu. - Lecz teraz, gdy matka pani nie żyje, a ojciec jest chory, pewnie czuje się pani bardzo samotna.

- Pozostała mi Dorcas - odrzekła, po chwili dodając - i oczywiście, ponieważ ojciec jest chory, ja... pomagam mu w pracy.

Markiz zawahał się.

- Jestem ciekaw, czy ojciec pozwoliłby pani na przejażdżkę ze mną któregoś popołudnia? Jestem przekonany, że pani ceni dobre konie, a moje kasztanki wczoraj w drodze powrotnej pobiły rekord.

- Wspaniale! - wykrzyknęła. - Uwielbiam konie. Jeździłam konno, gdy mieszkaliśmy poza miastem.

Po krótkiej przerwie dodała:

- Gdy nie mieszkaliśmy w Londynie, ojciec nie miał dużo zamówień. Dlatego musieliśmy przenieść się tutaj.

- Pożyczę pani konia, skoro lubi pani jeździć. W jej oczach zabłyśły ogniki.

- Nie sądzę, by przyjęcie tego, co mi pan zaofiarował, było... właściwe, milordzie. Prawda?

Zabrzmiało to jak pytanie dziecka proszącego o radę i markiz wahał się, nim odpowiedział:

- W istniejących okolicznościach może pani to zrobić. A poza tym, kto będzie o tym wiedział?

- Muszę... przemyśleć pańską uprzejmą propozycję. Dziękuję, że pań o tym..., pomyślał.

Markiz, czując, że Vanessa zapewne odmówi, gdy tylko zastanowi się nad tym, począł nalegać:

- Czy pozwoli pani zabrać się na przejażdżkę? W końcu nawet najsurowiej wychowywane panny odbywają wycieczki do Hyde Parku.

- Dziękuję, z przyjemnością!

- Przyjadę jutro około drugiej. Czy będzie pani gotowa?

- Tak. Lecz czy pan jest zupełnie pewien, milordzie, że nie nadużywam pańskiej uprzejmości i nie będę pana... nudzić?

- Zapewniam panią, że nigdy się nie nudzę. I mam wrażenie, Vanesso, że mamy wiele tematów do rozmowy.

- Nie potrafię odgadnąć jakie, oczywiście poza malarstwem. Znam się trochę na sztuce, lecz moja wiedza w tej dziedzinie zapewne nawet w połowie nie dorównuje pańskiej.

- Opowiem pani, jakie mam obrazy w Londynie i w domu na wsi - obiecał markiz.

- Chciałabym też usłyszeć o kolekcji księcia Walii. Czy naprawdę jest tak oszałamiająco piękna?

- Jestem pewien, że byłaby pani zachwycona.

- Chciałabym zobaczyć Greuze'a. Myślę, że prześciga innych malarzy lekkością pędzla i wyrazistością, z jaką oddaje oczy.

- Powinien był panią namalować - odrzekł markiz. - Pani oczy, Vanesso, są niezwykle. Ktoś mówił, iż oczy odzwierciedlają duszę. A pani oczy nie kłamią.

Vanessa zarumieniła się i powiedziała:

- Czuję się nieswojo... gdy myślę, że ludzie mogą poznać moje sekrety... patrząc mi w oczy.

- Czy nie uważa pani, że tak można powiedzieć o każdym? Jeśli popatrzeć w oczy mężczyzny, to można powiedzieć, czy jest uczciwy, a...

Zamierzał dodać: - A jeśli popatrzysz w oczy kobiety, będziesz wiedział, czy jest zakochana. - Pomyślał jednak, że nie jest to uwaga stosowna dla Vanessy.

Zamiast tego rzekł:

- Mówiono mi, że lew czy tygrys, któremu patrzy się prosto w oczy; nigdy nie atakuje.

- Nie chciałabym tego próbować! - wykrzyknęła, i oboje wybuchnęli śmiechem.

Ociągając się wstał.

- Zostawiam panią do jutra. Do tego czasu odświeżę moje wiadomości z historii i malarstwa. Nie chcę, by mnie pani na czymś złapała, Vanesso!

- Jestem przekonana, że nigdy tego nie zdołam dokonać - odparła swym łagodnym głosem. - Będę jednak próbować, gdyż byłby to dla mnie wielki sukces.

W jej oczach rozblęły wesołe ogniki, których nigdy dotąd nie widział.

W małym saloniku znów poczuł się jak olbrzym.

Vanessa również wstała i przez chwilę stali naprzeciwko siebie. Ujął wyciągniętą na pożegnanie rękę i uniósł ją do ust.

- Do jutra, Vanesso - powiedział cicho, po czym odwrócił się i wyszedł.

Vanessa, wiedząc, że Dorcas czeka w hallu, by pożegnać markiza, nie odprowadziła go do wyjścia.

Wsparta o kominek, obserwowała, jak jej gość zbliża się do żelaznej furtki.

Faeton już czekał. Widziała, jak markiz wszedł do powozu i ujął lejce.

Służący wskoczył z tyłu, a markiz ponaglił konie strzałem z bicia.

Vanessa na tle drzew ujrzała jego wysoki cylinder, a gdy przejeżdżał tuż obok domu, wyraźnie zarysowany profil.

- On jest wspaniały! - powiedziała sama do siebie i poczuła, jak rytm jej serca przyśpiesza.

Nigdy nie przypuszczała, że ujrzy go ponownie.

Skąd mogła wiedzieć, że będzie się trudził i szukał adresu jej ojca u księcia Walii, a potem zjawi się sam, pod pretekstem odnowienia miniatur?

W głębi duszy była przekonana, że to nie miniatury uprowadziły go do Islington, lecz - choć brzmiało to niewiarygodnie - chęć zobaczenia jej.

Wydawało się jej to snem, gdy Dorcas powiedziała, że przybył markiz. Przez chwilę pomyślała, że nie może się z nim zobaczyć i musi znaleźć wymówkę, by go nie spotkać.

Nie potrafiła sobie wyjaśnić, jak mogła dopuścić, aby obcy mężczyzna całował ją.

Nawet gdy uwzględnić, że markiz był nadzwyczaj uprzejmy i uchronił ją przed przerażającymi zamiarami sir Juliusa Stone'a, to nie usprawiedliwiało jej niewytłumaczalnego zachowania. Nie oponowała, nawet nie odsunęła się, lecz pozwoliła, by ich usta się spotkały.

Ponieważ wcześniej nie знаła pocałunków, była ich ciekawa. Przypuszczała, że jest w nich delikatność i łagodność, lecz odczuła zupełnie coś innego.

Była jak zahipnotyzowana, zupełnie straciła panowanie nad sobą i swoją wolą.

Gdy usta markiza dotknęły jej ust, poczuła się tak, jakby do niego należała.

Nie potrafiła wyjaśnić doznanych wrażeń. Wiedziała tylko, że ten pocałunek zmienił wszystko.

Kiedy markiz wyszedł i rozdzieliły ich drzwi, przez długi czas siedziała na krawędzi niewielkiego łóżka, czując się bezbronna i słaba.

Nawet teraz nie rozumiała, jak się to wszystko mogło zdarzyć. Pamiętała tylko, że gdy zajął jej w oczy i

przyciągnął ku sobie, stało się z nią coś dziwnego i nie mogła już jasno myśleć. Prawdę mówiąc, wszystko to zaszło bez udziału jej woli.

Pamiętała sposób pochylenia jego głowy, dotyk palców na podbródku, muśnięcie jego ust, które oszołomiło ją tak, że nie mogła oddychać, a jej serce trzepotało jak ptak zamknięty w klatce.

Pomyślała desperacko, że gdyby nawet nie obejmował jej, nie byłaby w stanie się oprzeć.

Gdy usłyszała, że przyjechał, przejście do saloniku wymagało od niej nadludzkiego wysiłku.

Prawdopodobnie - pomyślała - jest inny. W tym domu będzie wyglądał inaczej.

O ile w zajeździe markiz w szlafroku prezentował się doskonale, to tysiąc razy lepiej wyglądał w szarym płaszczu w prążki, obcisłych spodniach i wysokich butach, które lśniły tak, że zdawał się w nich odbijać cały pokój.

Starannie zawiązany na szyi, nieskazitelnie biały fular uwydatniał zarys jego kwadratowego podbródka. Patrzył bardziej przenikliwie niż wtedy przy świetle świec, w zajeździe.

Nigdy nie widziała nikogo tak eleganckiego i tak męskiego jak markiz. Czowała się przy nim mała i niepozorna.

- Boję się! - szepnęła.

Nie był to jednak ten rodzaj strachu, który odczuwała przed sir Juliusem Stone'em. Ten strach pobudzał ją i był prawie przyjemny. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego tak się dzieje.

Długo potem jak markiz odjechał, stała nieruchomo, wpatrując się w okno.

Zobaczy go jutro, i to się tylko liczy.

Pojechać z nim na przejażdżkę, tego pragnęła bardziej niż czegokolwiek w swym dotychczasowym życiu.

Usiadła na krześle i zaczęła rozmyślać, co na siebie włoży.

Garderoba jej była bardzo skromna. Pomyślała, że wszystkie suknie, które sobie uszyła, będą się wydawały markizowi tandetne i niemodne.

Na zakup czegoś nowego nie miała pieniędzy i nerwowo zaczęła się zastanawiać, czy uda się jej zmienić fason noszonego od kilku lat kapelusza.

Jak mogła go upodobnić do tych, które widziała w sklepach na Bond Street lub na głowach elegantek jeżdżących powozami po parkach?

Myślała gorączkowo, że nie ma materiału na takie ulepszenia, gdy niespodziewanie usłyszała kołatanie do frontowych drzwi.

Skoczyła na równe nogi.

Czyżby markiz powrócił? - pomyślała patrząc przez okno, lecz nie dostrzegła powozu. Nie dało się też zobaczyć, kto stoi przed drzwiami.

Usłyszała dobiegający z hallu głos Dorcas.

Nie rozróżniała dokładnie słów, lecz miała wrażenie, że usiłuje kogoś odesłać.

W tym momencie otwarły się drzwi.

- Signor Barcellos, panno Vanesso - oznajmiła Dorcas - chce się zobaczyć z mistrzem. Nalega, że sprawa jest bardzo pilna!

Rozdział 3

Wracając do Londynu faetonem, który teraz przebijał się przez uliczny tłok, Vanessa myślała, że nigdy nie spędziła piękniejszego dnia.

Okolica, do której zabrał ją markiz, była pełna kwiatów i słońca. Zdawało się, że cały świat ogarnia nie znany dotąd Vanessie blask.

Już trzeci z kolei dzień markiz zabierał ją na przejażdżkę. Tym razem wybrali się na dalszą wycieczkę. Wyrwali się z zatłoczonych miejskich ulic i pojechali wąskimi, rzadziej uczęszczanymi drogami, które dla Vanessy miały urok znacznie większy niż najwspanialsze sklepy.

- Czy naprawdę chce pani jechać za miasto? - spytał markiz.

- Dlaczego to pana dziwi?

- Gdyż wszystkie panie, którym dotąd miałem, zaszczyt towarzyszyć, zawsze chciały pokazać się swoim przyjaciołom i znajomym, lub pojechać na Bond Street i oglądać cuda w oknach sklepowych.

Vanessa zaśmiała się.

- Po pierwsze, nie mam przyjaciół i znajomych, którzy byliby zazdrośni o przejażdżkę eleganckim faetonem, ciągniętym przez wspaniałe konie.

Spojrzała na markiza figlarnie i dodała:

- Co do pokazania się, to mam wrażenie, że pańscy przyjaciele dziwiliby się, widząc, że jego pasażerka jest tak nieelegancka i z pewnością nie należy do beau monde'u.

- Pani mnie znów nie docenia, Vanesso.

- Myślę, że jestem realistką. Oboje doskonale wiemy, że nigdy nie należy słabego obrazu kreować na dzieło sztuki.

Uśmiechnął się kpiąco.

- Gdybym pani nie znał, to mógłbym pomyśleć, że dopomina się pani komplementów.

- Koneser zawsze powinien mówić prawdę - powiedziała surowo.

- Zawsze to robiłem w stosunku do pani. A teraz, chcę powiedzieć, że z dumą zabiorę panią wszędzie, gdzie tylko pani zapragnie. Skoro o tym mowa, to pojedziemy na Rotten Row czy za miasto?

- Za miasto! - odpowiedziała bez wahania.

- Ja też tak wolę, lecz chciałbym sprawić pani przyjemność.

- Czy pan sądzi, że sama jazda tym pięknym zaprzęgiem i obserwowanie, jak zręcznie pan powozi, nie sprawią mi przyjemności?

Słyszając podniecenie w jej głosie, uśmiechnął się, a Vanessa odniosła wrażenie, iż słońce piękniejszym blaskiem zalewa świat, a podmiejska okolica wygląda wspanialej niż zwykle.

Kwitły żywopłoty z dzikich róż. W powietrzu unosił się zapach kapryfolium, a wśród traw widać było bladozłociste wiesiołki. Na łąkach pełno było czerwonych maków, białych rumianków i bladoniebieskich kwiatów rzeżuchy.

Gdy po dłuższej jeździe markiz zawrócił konie, Vanessa głęboko westchnęła.

- Czy musimy już wracać? Mogłabym tak jechać wiecznie, aż do Horyzontu, gdzie niebo styka się z ziemią - westchnęła.

- Gdy się tam znajdziemy, zobaczymy następny horyzont. To zwodnicze wrażenie! Nigdy nie można osiągnąć celu; zawsze pozostaje przed nami.

- Pewnie dlatego życie jest takie ciekawe - stwierdziła. - Gdyby udało się osiągnąć cel, gdybyśmy posiadli to, czego pragniemy, nie zostałoby już nic, o co warto by zabiegać.

- Jesteśmy szczęśliwi, gdy mamy marzenia.

- Czy naprawdę pragnie pan więcej, niż pan ma? Nim odrzekł, przez chwilę zastanawiał się nad jej pytaniem.

- Pani mówi o dobrach materialnych. Czy one są najważniejsze?

- Nie powinny - przyznała - lecz ułatwiają życie. Trudno oddać się pięknym marzeniom, gdy nieustannie nękają nas problemy, jak związać koniec z końcem, czym zapłacić za chleb czy świece.

Niepokój brzmiący w jej głosie skłonił go do pytania:

- Czy pani ma jakieś trudności?

- Ojciec od dawna jest chory - odrzekła. - Bardzo się niepokoiłam, ale zamówił pan u nas odnowienie miniatur. Przynajmniej na razie pozwoli to odpędzić widmo głodu.

Uśmiechnęła się, lecz zauważył, że nie przyszło jej to łatwo.

Wiedział, że księżę niewątpliwie będzie zalegał z zapłatą. Postanowił osobiście dopilnować, by ojciec Vanessy z chwilą wykonania pracy otrzymał należność.

- Nie chcę dziś mówić o moich kłopotach - rzekła. - Myślę, że ostatnie dwa dni były bardzo szczęśliwe, a dzisiejszy jest jeszcze bardziej udany.

- Czy naprawdę tak pani myśli?

- Oczywiście! Pan był tak miły... tak bardzo miły! Ciągle mi się zdaje, że to sen, z którego się obudzę i stwierdzę, że nigdy nie był rzeczywistością.

- To rzeczywistość, Vanesso. Ja też czuję się szczęśliwy.

Szczególna nuta w jego głosie skłoniła ją do odwrócenia głowy i patrzenia przed siebie, na drogę. Po chwili milczenia marki? powiedział:

- Wkrótce musimy porozmawiać o pani przyszłości, Vanesso. Nie chcę, aby się pani samotnie borykała z trudnościami, mając jeszcze pod opieką chorego ojca, i nie chce, by się pani martwiła o coś tak marnego jak pieniądze.

Zaśmiała się.

- Być może są marne, ale są niezbędne.

- Właśnie o tym chciałem z panią rozmawiać. Spojrzała na niego ze zdumieniem i markiz zrozumiał, że w swej niewinności nie miała najmniejszego pojęcia, iż on gotów jest zaspokoić wszelkie jej potrzeby.

Wiedział, że jest inna niż wszystkie kobiety, które znał dotąd, i że musi postępować z nią zupełnie odmiennie.

Tak jak przewidywał, stanowczo odmówiła pożyczania od niego koni.

- Chciałam przyjąć pana propozycję, milordzie - odpowiedziała, gdy nalegał. - Lecz po dokładnym przemyśleniu jestem pewna, że mama uznałaby to za niewłaściwe. Nie mogę nadużywać łaskawości obcego człowieka.

- Nie jestem obcy, Vanesso - zaprotestował. - Z każdym dniem poznajemy się lepiej. A poza tym, niech się pani zastanowi, kto o tym będzie wiedział? A jeśli nikt nie będzie wiedział, to kto zwróci na to uwagę?

- Lecz ja wiem, że to byłoby nie na miejscu - powiedziała z nutą dezaprobaty w głosie.

Taki argument był nie do odparcia, więc markiz zamilkł.

W czasie wycieczek towarzyszył im służący, przycupnięty na małym siedzeniu z tyłu powozu. Nie mógł słyszeć ich słów, gdyż rozmawiali cicho, lecz markiz wiedział, że Vanessa, cały czas wyczuwając jego obecność, zachowywała się mniej swobodnie, co bardzo utrudniało mu mówienie tego, co chciał powiedzieć.

Zawsze gdy do niej przyjeżdżał, drzwi otwierała Dorcas i prowadziła go do małego saloniku, gdzie czekał na Vanessę.

Nigdy się nie spóźniała i był przekonany, że była gotowa na długo przed jego przybyciem. Trzymała się zasady, by do salonu wprowadzała ją pokojówka.

Błyszczące w jej oczach podniecenie i radość rozpoznałby człowiek znacznie mniej doświadczony niż markiz.

Wchodząc składała mu w progu sztywny ukłon, choć wiedział, że pragnie do niego podbiec i niecierpliwie spytać, gdzie dziś ją zabierze.

- Czy któregoś wieczoru zje pani ze mną kolację?
Zwróciła ku niemu twarz.

- Kolację? - powtórzyła.

- Chcę pani pokazać Ruckford House. Opowiadałem już pani o moich obrazach, Vanesso, lecz to nie to samo, co je zobaczyć. Chciałbym usłyszeć pani opinię na ich temat.

- Będę onieśmielona w obecności pańskich przyjaciół. Oni muszą być znacznie bardziej wykształceni niż ja.

- Nie mówiłem, że zaproszę przyjaciół. Myślałem o pokazaniu pani mego domu, i kolacji we dwoje.

- To wspaniałe - - odrzekła szybko. - Lecz... czy to będzie przyzwoite, jeśli przyjadę... samotnie i zjem z panem kolację?

- Nie rozumiem, dlaczego mnoży pani trudności - zirytował się. - Powiedziała pani, że mi ufa. Jeśli mogę zabierać panią na przejażdżki, w rzeczywistości we dwoje, to co może być złego w zjedzeniu kolacji w moim domu, pełnym służby?

Vanessa odwróciła głowę.

- Chcę pojechać... pan o tym wie - wyszeptała. - Nie mam tylko nikogo, kto mógłby mi doradzić, co powinnam, a czego nie powinnam robić.

- Czy nie chce pani zawierzyć intuicji albo sercu?

- Właśnie tego bym chciała.

- Niech więc pani to zrobi! - nalegał. - Dzisiaj zaprosić pani nie mogę, gdyż jem kolację w Carlton House z księciem Walii. Natomiast jutro będzie przyjęcie specjalne, złożone z dań, które pani lubi, a po kolacji zwiedzimy moją posiadłość.

Vanessa milczała.

- Jest wiele rzeczy, których chciałbym panią nauczyć. Jedną z nich jest sztuka rozkoszowania się dobrodziejstwami stołu. Przygotowanie wykwintnych dań wymaga równie artystycznego wysiłku, jak malowanie obrazu. Wielu Anglików zupełnie zapomina o tym fakcie.

- Ojciec opowiadał mi o wspaniałościach kuchni francuskiej.

- I miał rację - przyznał markiz. - Kiedyś, gdy wojna się skończy, musi pani pojechać do Francji. Ich potrawy powinna poznać każda kobieta.

- Ja sama nieźle gotuję - pochwaliła się. - Lecz nie cieszy mnie to, gdyż nie mam dla kogo gotować.

- Przypuszczam, że pani Ojciec jest zbyt chory, by zwracać uwagę na smak potraw - zauważył markiz - a co do Dorcas...

Nuta brzmiąca w jego głosie spowodowała, że Vanessa roześmiała się.

- Skąd pan to wiedział? Dorcas jest pewnie bardziej wybredna i wymagająca niż księżę Walii.

- Wszyscy, służący są podobni - zauważył markiz. - Kiedyś słyszałem opinię mego lokaja na temat obiadu, którym delectowałem się w czyimś domu. Uważał, że był on poniżej wszelkiej krytyki!

- Dorcas nie lubi wołowiny, a sera nawet nie tknie. Nie znosi jajek, o ile nie są ugotowane na twardo, i zawsze podejrzewa, że ryba jest nieświeża! - opowiadała ze śmiechem.

- Jadam wszystkie te rzeczy i gdyby zechciała je pani dla mnie przygotować, przypuszczam, że byłyby smakowite.

- Zatem muszę wydać dla pana przyjęcie, gdyż nie sądzę, by pański kucharz wpuścił mnie do swej kuchni.

- Tego może być pani zupełnie pewna! - potwierdził markiz. - Jediną osobą spośród moich domowników, której nie można niepokoić, jest Alfonse.

- Francuz? - zdziwiła się. - Jak w czasach wojny może pan zatrudniać wroga?

- Alfonse służył jeszcze u mego ojca, piętnaście lat przed moim urodzeniem. Jeśli nadejdzie taki dzień, że porzuci u mnie służbę, przepłynę kanał szmuglerską łodzią i przywiozę następnego francuskiego kucharza!

Rozbawiona Vanessa wybuchnęła śmiechem.

Lubiła słuchać markiza, gdy mówił poważnie. Lecz gdy żartował i był wesoły, stwierdzała, że staje się jeszcze bardziej pociągający.

Przebywając długi czas z ludźmi starszymi: z ojcem, matką czy Dorcas, zapomniała, że można się śmiać i być wesołą.

Gdy markiz mówił głupstwa lub jej dokuczał, powodował radość, jakiej nigdy dotąd nie odczuwała.

Słuchając tego, co mówił w drodze powrotnej do Londynu, często wybuchwała radosnym śmiechem.

Gdy dojeżdżali do Islington Square, markiz oznajmił:

- Proszę nie zapomnieć, przyjadę po panią jutro o pół do ósmej wieczorem. Jadam kolację o ósmej, inaczej niż książkę, który zaczyna o siódmej. By ochronić pani fryzurę, pojedziemy krytym powozem. Proszę włożyć najładniejszą suknię. Chcę, by w moim domu zaprezentowała się pani jak najlepiej.

- Lecz ona nie jest... zbyt okazała - powiedziała Vanessa cicho.

- Pani jako kobieta nie zrozumie, gdy powiem, że pani nie potrzebuje wspaniałych sukien. To jest prawda, Vanesso. Obydwoje wiemy, że nie rama się liczy, lecz obraz.

- Ale ja lubię kunsztowne ramy zdobione perłami lub diamentami, a nawet pokryte ładną emalią, jak to robili miniaturzyści w czasach Tudorów.

- Nadejdzie dzień, że będzie je pani miała! - powiedział łagodnie.

Spojrzała na niego zdziwiona, myśląc, że jego słowa brzmią niczym proroctwo. Mogła jedynie mieć nadzieję, że się spełni.

Już teraz niewesoło rozmyślała nad tym, jak będzie wyglądała w Ruckford House. Miała tylko jedną wieczorową suknię.

Gdy skręcali na Islington Square, obawiała się, by niefortunnym zbiegiem okoliczności nie pojawił się pan Barcellos.

Nie wspomniała o nim markizowi. Nie potrafiłaby wyjaśnić, dlaczego udzieliła mu gościny.

Nie był kłopotliwy, to pewne, ale sama jego obecność w domu krępowała Vanesę.

Już wielokrotnie powtarzała sobie, że powinna być stanowcza i odprawić go, ale nie mogła się na to zdobyć. Od pierwszej chwili, gdy Dorcas wprowadziła go do salonu, ten człowiek nie wzbudził jej sympatii i stale wprawiał w zakłopotanie.

Był to trzydziestopięcioletni mężczyzna o ostrych rysach twarzy i ciemnych oczach. Sprawiał wrażenie cudzoziemca, a spoglądał na nią w sposób, który w głębi duszy uważała za impertynencki.

Jego ubiór z pewnością nie pochodził z Anglii. Nosił się jak petit bourgeois (Drobnomieszczanin) i pomyślała, że może to wyższy rangą urzędnik.

Uklonił się jej przesadnie, na co odpowiedziała zdawkowym dygnięciem.

- Panna Lens? - zapytał. - Chciałbym rozmawiać z pani ojcem.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Zapewne pokojówka już panu mówiła, że mój ojciec jest ciężko chory i lekarze zabronili mu przyjmowania gości.

- Muszę z nim rozmawiać.

Mówił gwałtownie, z obcym akcentem i dla Vanessy jego słowa zabrzmiały jak groźba.

- Już panu mówiłam - odrzekła - że nikt nie może zakłócać spokoju mego ojca. Może pan mnie powiedzieć, w jakiej sprawie pan przybył.

Przez chwilę wyglądał na zakłopotanego, jakby napotkał nieoczekiwaną przeszkodę, po czym wycedził powoli:

- Poznałem pani ojca wiele lat temu, gdy był przed wojną we Francji. Powiedział mi, że gdy znajdę się w Anglii, pomoże mi we wszystkim, o co poproszę.

- Pan spotkał ojca we Francji? Ale pan nie jest Francuzem, sir?

- Nie. Jak mogła się pani domyślić z nazwiska, jestem Portugalczykiem, ale ojca pani poznałem we Francji.

Vanessa wiedziała, że przed wybuchem wojny francusko - angielskiej, zaraz po Rewolucji Francuskiej, ojciec był w Paryżu.

Przypomniała sobie, że jego pobyt był krótki: Odbierał wtedy obrazy pozostawione do sprzedaży, które szczęśliwym zbiegiem okoliczności ocalały od zagłady.

- Ojciec jest chory.. Może będę mogła panu pomóc, jeśli powie pan, o czym pan chce z nim rozmawiać. Ojciec nie ma przede mną tajemnic.

Pan Barcellos patrzył na nią z namysłem, zastanawiając się, czy może jej zaufać.

Była ciekawa, co łączyło go z ojcem.

Wiedziała, że ojciec i matka przez wiele lat nie utrzymywali żadnych kontaktów z Francją.

- W tej chwili potrzebuję - powiedział po długiej chwili przybysz - miejsca, gdzie mógłbym się zatrzymać. Chciałbym tu pozostać przez kilka dni.

- Tutaj?! - wykrzyknęła Vanessa.

- Tak. W tym domu. Pani ojciec zawsze mówił, abym go odwiedził, gdy będę w Anglii. Właśnie jestem i nie mam się gdzie podziać. Liczyłem na pani ojca.

- Ależ to niemożliwe! - zaprotestowała.

- Dlaczego?

- Jak już mówiłam, ojciec jest chory. W domu jestem tylko ja i moja stara pokojówka. Obie musimy opiekować się ojcem i zajmować domem. W takiej sytuacji nie możemy przyjmować gości.

- Nie sprawię kłopotu - odparł Barcellos. - Całymi dniami mnie nie będzie, gdyż w Londynie mam sprawy do załatwienia. Potrzebuję tylko miejsca, gdzie mógłbym się przespać.

- Przecież istnieją hotele - doradziła.

- Pani ojciec jest moim przyjacielem. Nie wierzę, by chciał, aby odprawiła mnie pani z jego domu. Może zobaczę się z nim na chwilę. W kilku słowach wyjaśnię wszystko.

- Nie, nie! Niech pan tego nie robi. To może mu zaszkodzić.

Urwała, a pan Barcellos wpatrzył się w jej twarz.

- Dobrze - powiedział po dość długiej chwili ciszy. - Proszę mi pomóc, panno Lens. Wskazanie łóżka nie sprawi pani trudności. To wszystko.

Vanessa znowu odczuła, że przybysz nie tylko nalega, lecz w pewien sposób jej grozi.

Obawiała się, że jeśli nadal będzie odmawiać, sam się rozgości i nie opuści jej domu.

- Mogę jedynie zaoferować panu pokój na poddaszu - powiedziała słabym głosem.

W jego ciemnych oczach pojawił się wyraz tryumfu.

- Wiedziałem, że postąpi pani rozsądnie - stwierdził po chwili. - Tak się składa, że pani ojciec jest mi wiele winien po tym, co dla niego zrobiłem. Jeśli pani powie, że jestem, będzie prosił, bym przyjął jego gościnę.

- Wydaje mi się... że ten pokój jest zbyt skromny... jak na pańskie potrzeby - zasugerowała nieśmiało, podejmując ostatnie wysiłki dla ratowania sytuacji.

- Mam bardzo małe wymagania. Wystarczy mi łóżko i pani obietnica, iż nikt się nie dowie, że tu jestem. Otworzyła szeroko oczy.

- Czy to tajemnica?

- To ważna tajemnica! Niech pani z nikim o mnie nie rozmawia. Czy pani zrozumiała? Nikt nie może się dowiedzieć, że tu goszczę, ani przyjaciele, ani krewni, ani znajomi czy sklepikarze. Nikt!

- Nie ma powodu, by ktoś o tym wiedział.

Pan Barcellos mówił z taką mocą, że instynktownie cofnęła się o krok.

- Zanim postanowi pan tu pozostać, muszę uprzedzić, że ten pokój jest bardzo mały... to prawie poddasze. Dawniej mieszkała w nim moja pokojówka, ale ponieważ to jest na drugim piętrze, wejście po schodach bardzo ją męczyło. Teraz mieszka na parterze i sprzątać w pańskim pokoju nie będzie mogła.

- Do tego pokoju nikt nie powinien wchodzić. Gdy mnie nie będzie, drzwi będą zamknięte na klucz - oznajmił Barcellos.

- Ale dlaczego? - spytała Vanessa odruchowo.

- To już moja sprawa! - odrzekł gwałtownie. - Od pani, panno Lens, oczekuję tylko dachu nad głową. Posiłki będę jadał poza domem.

Przynajmniej to przyniosło jej ulgę, chociaż cały czas odczuwała niepokój.

- Proszę zobaczyć pokój, nim się pan zdecyduje.

- Już się zdecydowałem. Przyjechałem tutaj i zatrzymam się u pani ojca. Ponieważ nie może mnie przyjąć sam, pani, jako jego córka, zachowała się właściwie, w sposób jakiego oczekiwałem. To wszystko, co mogę powiedzieć. Czy klucz do pokoju jest w zamku?

- Tak... myślę, że tak - odpowiedziała słabym głosem.

- Bardzo dobrze. Zaniosę tam moją walizę, po czym wyjdę. Proszę dać mi klucz od drzwi wejściowych. Mogę wrócić bardzo późno i nie chcę, by ktoś na mnie czekał.

Vanessa zawahała się.

Miała niemiłe wrażenie, że jeśli Barcellos będzie mógł wychodzić i przychodzić, kiedy zechce, ten dom nie będzie już jej domem.

Wszystko ją w nim raziło: jego grubiańskie maniery, chropowatość głosu, gdy mówił z obcym akcentem, jego spojrzenie, a nawet sposób ubierania się.

Chciała zaprotestować, powiedzieć, że zmieniła zamiar i go nie przyjmie. Odniosła jednak wrażenie, że on nie myśli się z nią w ogóle liczyć.

Była w nim jakaś siła, która niczym wichur porywała wszystko, co napotkała po drodze.

- Klucz leży na stole w hallu!

Otworzył drzwi salonu i odwracając się, skinął jej głową, uśmiechając się przy tym sardonicznie.

- Dziękuję, panno Lens. Zapewniam, że nie sprawię pani kłopotu. Gdy będzie pani rozmawiać z ojcem proszę powiedzieć, że jego dług został spłacony.

- Jaki... dług? - spytała nerwowo.

Już samo to słowo kojarzyło się jej z pieniędzmi. - Pani ojciec zrozumie - odparł Barcellos.

Wyszedł z pokoju. Słyszała jego kroki, gdy wąskimi schodami wchodził na poddasze.

Chwilę później wyszedł. Mógł tylko zdążyć postawić walizę w pokoju. Gdy była w kuchni, usłyszała, jak przechodzi przez hall i zamyka frontowe drzwi.

- Jak mogła się pani zgodzić, panienko - pytała Dorcas - by on tu pozostał? - To niewłaściwe, gdy w domu są tylko dwie bezbronne kobiety.

- Nie miałam wyboru.

- Trzeba było go zostawić ze mną.

- Wątpię, by cię usłuchał. Ojciec był mu coś winien.

- Pieniądze! Zawsze pieniądze! - wykrzyknęła Dorcas. - Czy powiedział ile?

- Mogę się mylić, ale wydaje mi się, że był to inny rodzaj długu. On zamierzał się tu zatrzymać i cokolwiek bym zrobiła czy powiedziała, nie odniosłoby to żadnego skutku.

- Co za bezczelność! - mruknęła Dorcas.

- Czy uważasz, że powinnam pójść na górę i sprawdzić, czy łóżko jest pościelone? - spytała Vanessa.

- Jest gotowe - oświadczyła Dorcas. - Ciągłe mi się wydaje, że gdy przestanie dokuczać mi reumatyzm, znowu pójdę na górę. Świeżo powleczone pościel miała być dla mnie zachętą do wchodzenia po schodach.

Vanessa zaśmiała się.

- Dopóki cię nic nie bolało, Dorcas, nie miało znaczenia, gdzie sypiasz. Teraz jednak, by nie narażać cię na cierpienie przy wchodzeniu po schodach, wolę umieścić cię w salonie.

Dorcas nic nie odpowiedziała, a Vanessa po chwili dodała:

- Skoro łóżko jest przygotowane, nie widzę potrzeby, by iść do jego pokoju.

- Proszę się trzymać od niego z daleka, panienko Vanesso! - ostrzegła Dorcas zdecydowanie. - Jeśli mu niewygodnie - tym lepiej! Wkrótce powróci do Francji czy dokądkolwiek indziej, skąd przybył!

- Przypuszczam, że jest Portugalczykiem. Trudno, by przyjechał z Francji, z którą toczymy wojnę.

- Tak, to racja! - zgodziła się Dorcas. - Gdyby wylądował na naszym wybrzeżu, zostałby aresztowany jako szpieg i rozstrzelany!

Vanessa zaśmiała się ponownie.

- To prawie pewne, biorąc pod uwagę wszystkich ochotników, których świerzbą ręce, by zastrzelić Francuza. Słyszałam, jak w zeszłym tygodniu mówił ci mleczarz, że sam chętnie oddałby życie, jeśli przedtem zobaczyłby martwego Francuza u swych stóp.

- Oni wszyscy tak mówią - stwierdziła Dorcas lekceważąco. - Ale ja wiem, że każdy z nich uciekłby, gdzie pieprz rośnie, gdyby na to wybrzeże przybył Napoleon!

- To nieprawda! - zaprzeczyła Vanessa prawie z gniewem. - Któregoś dnia czytałam w gazecie, że na każdego Brytyjczyka walczącego przeciw Napoleonowi przypada aż czterech Francuzów, Hiszpanów, Włochów, Holendrów i Duńczyków. Występujemy samotnie przeciw tyranowi i to powinno napawać nas dumą.

A ile przy tym ginie ludzi i ile nieszczęść spada na niewinnych - stwierdziła Dorcas. - Na wojnie nikt się nie bogaci. Gdy panienka będzie starsza, sama się o tym przekona.

- Wiem o tym - . powiedziała cicho - ale jednocześnie jestem dumna. Napoleon podbił prawie cały kontynent, ale nas nie potrafi pokonać..

Uśmiechnęła się z dumą i dodała:

- To dzięki naszej flocie! Bez względu na to, co piszą gazety, nie wierzę, by kiedykolwiek dokonano inwazji. Istnieje przecież burzliwy, zielony kanał pomiędzy Calais i skałami Dover. Wszystkie te płaskodenne statki, które cesarz może zbudować, nie będą w stanie przenieść jego armii na Ziemię Angielską.

- Panienska może mieć rację - przyznała Dorcas. - Nigdy nie wierzyłam, aby ci obcokrajowcy mieli wystarczająco dużo energii. Oni są pełzającą, zdradziecką bandą i nie powinna pani gościć cudzoziemca w swym domu. Możemy zostać zamordowane we własnych łóżkach!

- Nie wydaje mi się, byśmy były tak ważne. Nie będzie zadawał' sobie tyle trudu - uspokajająco powiedziała Vanessa.

Gdy położyła się do łóżka, poczuła jednak niepokój. Pan Barcellos jeszcze nie wrócił, a wiedziała, że gdy będzie szedł na górę, musi przejść obok jej pokoju.

- Gdzie mógł pójść? - zastanawiała się. - Z kim rozmawiał?

Lecz doszła do wniosku, że to nie jej sprawa. Dopóki „trzymał sam z sobą”, jakby ujęła to Dorcas, dopóki niczego od nich nie chciał, jego obecność w domu nie powinna być kłopotliwa.

Następnego ranka pan Barcellos wyszedł, nim Vanessa zdążyła się ubrać.

Słyszała jego kroki, gdy schodził na dół, i zeszywniała, gdy mijał jej drzwi.

Nasłuchiwała, sądząc, że wejdzie do kuchni i zamieni kilka słów z Dorcas, która właśnie robiła śniadanie, ale usłyszała tylko trzaśnięcie frontowych drzwi.

Przeszła przez pokój i spojrzawszy przez okno, zobaczyła, jak pan Barcellos otwiera furtkę i wychodzi.

Na sobie miał to samo co poprzedniego dnia, nieładne ubranie. Jego kapelusz różnił się kształtem od noszonych w

Anglii. Zauważyła, że idąc w kierunku placu, zakłada czarne eleganckie rękawiczki.

- Jestem pewna, że jest nieszkodliwy - mruknęła do siebie. - To nierozsądne, aby się go obawiać.

Jednak było w nim coś, co przyprawiało ją o dreszcze.

Uznała, że nie potrafi wyjaśnić markizowi, w jaki sposób przyjęła pod swój dach człowieka, o którym nic nie wiedziała.

Odczuła ulgę, nie widząc śladu pana Barcellosa. Gdy markiz zatrzymał konie, powiedziała:

- Dziękuję. Bardzo dziękuję. Cieszyłam się każdą chwilą.

- Ja też - odparł markiz. - I z wielką niecierpliwością oczekuję naszej jutrzejszej kolacji, Vanesso.

- Czy jest pan zupełnie pewien... że postępuję właściwie?
- spytała prawie szeptem.

- Jestem przekonany, że oboje będziemy bardzo zawiedzeni, jeśli pani odmówi.

- Będę gotowa - zapewniła.

Służący pomógł jej wysiąść. Markiz pozostał na swym siedzeniu, trzymając lejce w rękach.

Gdy stanęła na ziemi, odwróciła ku niemu głowę. W jej drobnej twarzy oczy wydawały się bardzo duże.

- Jeszcze raz dziękuję - powiedziała. - Był pan bardzo uprzejmy, milordzie.

- Zatem do jutra, Vanesso - odparł - i unosząc kapelusz odjechał.

Vanessa weszła do domu i zaczęła opowiadać Dorcas o swojej wycieczce za miasto.

- Już zapomniałam, jak ładnie bywa na wiosnę. Och, Dorcas, jak bardzo bym chciała, abyśmy mieszkały pod Londynem.

- Moja matka tak mawiała: „gdyby życzenia były końmi, to żebracy jeźdźcami” - rzekła Dorcas. - Niech panienka

dziękuje Bogu, że ma chociaż ten dom. - Mamy szczęście, że nie musimy płacić czynszu - stwierdziła Vanessa.

- Pani ojciec oszczędzał przez pięć lat i klepał biedę, aby spłacić długi - przypomniała Dorcas. - Chcę też powiedzieć, że wiejski domek, na jaki mogliśmy sobie pozwolić, nie byłby dobry na moje nogi. Tutaj chociaż zagląдают wędrowni handlarze. Jeśli chcemy coś kupić, nie musimy kołatać się po całej okolicy.

- Tak, oczywiście. Zdaję sobie z tego sprawę - potwierdziła Vanessa. - A jednocześnie, przecież ten domek jest taki ładny!

- Dopóki nie zacznie padać lub nie zamarznie pompa - gderliwie przypomniała Dorcas.

Vanessa roześmiała się.

Nawykła już do tego, że gdy pozwalała się ponieść fantazji, zdrowy rozsądek Dorcas sprowadzał ją na ziemię.

- Lepiej pójde do pracowni i zajmę się malowaniem. Muszę kończyć miniatury, które przywiózł jego lordowska mość.

- Dobrze, panienko.

Ton jej głosu spowodował, że Vanessa zapytała szybko:

- Czy masz dzisiaj bóle?

- Bola mnie nogi. Jeśli więc panienka niczego ode mnie nie potrzebuje, to trochę się zdrzemnę. Przygotowałam już na kolację paszteciki, a później wstawię je do piecyka.

- Nie ma pośpiechu - odrzekła Vanessa. - Możemy jeść o dowolnej porze. Zdrzemnij się, a ja trochę popracuję. Wstyd powiedzieć, ale w wirze rozrywek ostatnio całkiem zapomniałam o pracy.

Nie czekając na odpowiedź, wbiegła po schodach, by zmienić suknię, w której przyjechała, na starą.

Usiadła w pracowni ojca nad miniaturami Jakuba I i hrabiny Ruckford.

Stół, przy którym pracował Cornelius Lens, w czasach gdy cieszył się dobrym zdrowiem, stał tuż przy oknie, i tak jak przypuszczał markiz, widząc dom po raz pierwszy, był oświetlony północnym światłem.

Pracownia dobudowana przez artystę do istniejącego już budynku była większa, niż wymagały tego potrzeby miniaturzysty.

Ponieważ matka Vanessy często towarzyszyła mężowi podczas pracy, pracownia przypominała bardziej komfortowy salonik niż typową mansardę.

Po jednej stronie kominka stała sofa, a po drugiej fotel. Na ścianach wisiały obrazy, które Vanessa pamiętała od wczesnego dzieciństwa.

Niektóre z nich malował jej ojciec, inne należały jeszcze do dziadka.

Na podłodze leżał dywan. Tylko długi stół z barwną paletą i naczynia wypełnione pędzlami przypominały, że jest to pracownia artysty.

Miniatury były już prawie odnowione.

Vanessa musiała jeszcze odmalować fragmenty, które uważała za najładniejsze.

Trzeba było przywrócić wyraz oczom. W miniaturze przedstawiającej hrabinę Ruckford, chciała jeszcze ożywić barwy naszyjnika z dużych pereł oraz zdobionych perłami kolczyków.

Już od wczesnego dzieciństwa ojciec uczył Vanesę, jak trzymać pędzel i jak pomagać w pracy nad miniaturami.

Podkreślał, że każde pociągnięcie pędzla powinno coś znaczyć, a nadmiar odcieni jest zbyteczny. Zawsze dążył do osiągnięcia perfekcji.

Uczyła się nie tylko od ojca, ale również od innych współczesnych malarzy.

Jedyną w swoim rodzaju metodę powiększania źrenic znał Richard Cosway.

Używał przezroczystych barwników, które sam odkrył. Nałożone na kość słoniową jako podłoże, tworzyły tło obrazu.

Vanessa, stopniowo używając tej techniki, potrafiła odnowić miniatury, które były malowane wadliwie. Właściciele miniatur, oglądając zmiany po renowacji, nie potrafili powstrzymać okrzyków zachwyty.

Pracując teraz nad miniaturą księżnej Ruckford, użyła metody Coswaya, która polegała na długich pociągnięciach pędzla, często akcentowanych licznymi punktami lub krótkimi pociągnięciami poprzecznymi.

Użyła też jasnego błękitu z Antwerpii, który Cosway bardzo lubił i często używał do malowania portretów.

Pracowała długo, aż do zmroku.

Ojciec często mawiał, iż praca przy słabym oświetleniu jest stratą czasu.

Wstała niechętnie i odłożyła miniaturę.

Byłą przekonana, że markiz będzie z tej pracy zadowolony i była to jedyna rzecz, której pragnęła.

Z uczuciem wstydu pomyślała, że musi prosić go o zapłatę.

Ona i Dorcas odczuwały dotkliwy brak pieniędzy, a musiała ich trochę zdobyć, by kupić nowe wstęgi do sukni, którą włoży jutro wieczorem.

Odpędziła jednak myśl o tak niewybaczalnej rozrzutności. Srebrna szarfa do przepasania talii, choć nie najlepszej jakości, zupełnie wystarczy.

Markiz wspomniał coś o ramie, która nie jest ważniejsza od obrazu. Jednak Vanessa, jak każda kobieta, pragnęła sukni równie wspaniałej, jak suknie modnych dam, które bywały na przyjęciach w Ruckford House.

Wiedziała, że należy do kręgu przyjaciół księcia Walii i znała nazwiska wielu piękności, takich jak księżna Devonshire, lady Jersey i oczywiście pani Fitzherbert.

- Jak to możliwe, że on ze mną chce zjeść kolację? - pytała sama siebie.

Lecz była przekonana, że markiz rzeczywiście tego pragnie.

Odczuła potrzebę obejrzenia swojej sukni i sprawdzenia, czy można ją jakoś uświetnić przed jutrzejszym wieczorem.

Wyszła z pracowni i udała się do swej sypialni.

Był to niewielki pokój przylegający do pokoju jej ojca. Po otwarciu szafy niemal z żalem popatrzyła na kilka sukien wiszących wewnątrz.

Wieczorowa suknia, którą uszyła z białego, cienkiego niczym mgiełka jedwabiu, kupionego okazjnie na bazarze Pantheon, miała na szczęście modny fason.

Uszyta była na wzór francuski - z wysoką talią, mówiono, że wprowadziła go cesarzowa Józefina.

Vanessa skopiowała ten model z sukni, którą widziała w sklepie na Bond Street. Była prosta, podobna do greckiej tuniki. Vanessa chciała jeszcze raz zobaczyć, jak w niej wygląda. Zdjęła ubranie, w którym pracowała, i włożyła suknię.

Dotychczas miała ją na sobie tylko raz, ponad rok temu, i wtedy wydawała się jej bardzo ładna i elegancka.

Krytycznie popatrzyła w lustro.

- Co pomyśli markiz?

Na przejażdżkę uczesała się według, jak jej się wydawało, najnowszej mody. Teraz wyjęła z szuflady srebrną szarfę, która służyła do przepasywania sukni, przyglądała swe piękne, rudocłociste włosy i wplotła w nie wstęgę.

Efekt był znakomity, lecz mimo to w jej oczach pojawiła się obawa. Ta suknia została uszyta w domu! Każda kobieta to dostrzeże.

Musiała niestety przyznać, że jeśli ktoś porówna jej skopiowaną suknię z eleganckim wzorem z Bond Street, to prawda wyjdzie na jaw.

Lecz markiz mówił przecież o ramie jako o czymś nieistotnym!

Gdybym tylko miała trochę pieniędzy! - myślała. - Tak aby kupić jedną, jedyną suknię i założyć ją jutro wieczorem!

Nagle zawstydziała się.

Jak mogła być tak samolubna? Nie może przecież wydawać pieniędzy na takie zbytki, gdy ma inne, dużo ważniejsze wydatki.

Odwróciła się od lustra i zaczęła rozpinać z tyłu suknię, gdy dało się słyszeć głośne stukanie do drzwi.

Vanessa czekała.

Jeśli Dorcas usłyszała stukanie, to wyjdzie z kuchni. Nie dosłyszawszy jednak żadnego dźwięku, uświadomiła sobie, że Dorcas na pewno śpi.

Nie było powodu, by jej przeszkadzać. Często przecież nie spała w nocy z powodu nękających bólów nogi.

Szybko zbiegła na dół.

Gdy dochodziła do drzwi wejściowych, ponownie usłyszała dźwięki kołatki.

Otworzyła drzwi i ujrzała chłopca z niewielką paczką w ręku.

- Czy tu mieszka pan Barcellos? - spytał chłopiec, zniekształcając komicznie nazwisko.

- Tak, owszem.

- Przyniosłem to, co zamawiał. Należy się szyling. Podał paczkę Vanessie.

- Wydaje mi się, że go nie ma... - zaczęła Vanessa. Lecz nagle uświadomiła sobie, że właściwie nie wie, czy Barcellos jest w domu. Zajęta pracą, nie słyszała niczego. - Poczekaj chwilę. Sprawdź, czy jest u siebie.

- Szef powiedział: „przyniesz z powrotem szylinga” - rzekł chłopiec - i że „cudzoziemcom nie daje kredytu”.

- Rozumiem. Poczekaj chwilę!

Zamknęła drzwi, zostawiając chłopca na zewnątrz, i wzięwszy paczkę, poszła po schodach na górę.

Musiała unieść z przodu suknię, gdyż schody były strome, szczególnie ostatni odcinek łączący piętro z poddaszem.

W obawie by nie uszkodzić delikatnych koronek sukni, wchodziła ostrożnie. Gdy była już blisko drzwi dawnego pokoju Dorcas, usłyszała głosy.

Więc jest w domu i musiał jeszcze kogoś przyprowadzić - pomyślała.

Ostrożnie przeszła dwa ostatnie stopnie i uniosła rękę, by zapukać.

Z wnętrza dobiegał głos pana Barcellosa. Mówił po francusku.

Znieruchomiała.

- Im szybciej będzie martwy, tym lepiej - mówił Barcellos.

- Czy chciałby pan, aby zrobić to dzisiaj? - spytał ktoś inny, również po francusku.

- Dlaczego nie? - odparł Barcellos. - Znalazłem miejsce na Pall Mall, gdzie mur jest w cieniu. Ma pan dokładnie osiemdziesiąt sekund, nim wartownik odwróci się i zacznie iść z powrotem.

- Co mam zrobić, gdy znajdę się w ogrodzie?

- Od moich informatorów dowiedziałem się, że księżę spaceruje po ogrodzie zaraz po kolacji. Wtedy pan go zastrzeli!

- Czy ma pan pistolet?
- Oto on.
- A gdy nie pojawi się w ogrodzie?
- Wtedy niech pan czeka, aż pogasną światła. Księżę kładzie się wcześniej. Wejdzie pan do wnętrza przez drzwi z ogrodu, które nie są strzeżone. Dam panu klucz. Drzwi zaznaczyłem na tym planie.
- Tak... tak: Widzę dokładnie.
- Pójdzie pan na pierwsze piętro. Pokój księcia ma wykusz. Wewnątrz pałacu nie ma straży, z wyjątkiem nocnej służby, a tych pan usłyszy na długo wcześniej, nim pana zobaczą.
- Rozumiem. Proszę dalej!
- Księżę sypia dobrze. Zwykle gdy kładzie się spać, jest pijany. Zabije go pan sztyletem!
- To moja specjalność!
- Dlatego właśnie wybraliśmy pana! Później niech pan ucieka możliwie jak najszybciej. Istnieje mała szansa, by rzecz wyszła na jaw wcześniej niż rano.
- Gdzie będzie pan na mnie czekał?
- W powozie na Pall Mall. Jeśli użyje pan pistoletu, wartownik pobiegnie do furtki w ogrodzie. Nim się zorientują, pan łatwo prześlizgnie się przez płot. W drugim przypadku, gdy będzie pan już gotowy, niech pan pohukuje jak puszczyk. Gdy wartownik odwróci się i droga będzie wolna, ja zagwiżdżę.
- Mówi pan, osiemdziesiąt sekund? Powinno wystarczyć.
- To bardzo dużo.

Vanessa nagle zrozumiała znaczenie tej rozmowy. Szybko zawróciła spod drzwi i, unosząc suknię, pośpiesznie zbiegła na dół.

Trudno jej było uwierzyć w słowa, które słyszała, ale jednocześnie wiedziała, że o pomyłce nie może być mowy.

Po francusku mówiła doskonale - zadbała o to jej matka - i każde słowo pana Barcellosa i jego współnika wryło się dokładnie w jej pamięć.

Oni chcą zabić księcia Walii!

Pan Barcellos nie był Portugalczykiem, lecz Francuzem! Szpiegiem! Mordercą! Na pewno przysłał go sam Napoleon, by zamordował człowieka, którego Francuzi uważali za prawdziwego władcę Wielkiej Brytanii.

Ponieważ król oszalał, mocarstwem, które było największym wrogiem Francji, w rzeczywistości władał księżę Walii!

Co więcej, pomyślała Vanessa, w zamęcie po zamachu Napoleon mógłby dokonać próby inwazji.

Gdy dobiegła do swej sypialni, czuła, że drży z podniecenia, ale z pełną jasnością wiedziała, co musi zrobić.

Niemal automatycznie wzięła torebkę z krzesła i wyjęła z niej białą satynową sakiewkę.

Z garderoby wyjęła długi, szeroki szal, który zarzuciła na suknię.

Szybko, lecz cicho zeszła po schodach i poszła w głąb domu, gdzie spała Dorcas.

Stara służąca otworzyła oczy, ale nie podniosła się z łóżka.

- Która godzina, panienko? - spytała. - Zdrzemnęłam się właśnie w chwili, gdy pomyślałam, że czas wstawić paszteciki do piecyka.

- Nic się nie dzieje, Dorcas - łagodnie powiedziała Vanessa. - Muszę wyjść na chwilę.

- Wyjść? - wykrzyknęła Dorcas. - Dokąd panienka chce iść?

- To ważna sprawa, o której opowiem ci, gdy wrócę. Bądź spokojna i niczego się nie bój.

- O co tu chodzi, panienko? - zapytała Dorcas ostro, lecz Vanessa pobiegła już do hallu.

Paczkę przyniesioną przez chłopca położyła na wąskim dębowym stole i otworzyła drzwi.

- Pan Barcellos wyszedł - oznajmiła - ale ja zapłacę jego dług. To, co przyniosłeś, to klucz, prawda?

- Tak, proszę pani - odpowiedział chłopiec. - Klucz, który on chciał. Miał być zrobiony według odcisku w wosku. Obie te rzeczy są w paczce.

- Bardzo dziękuję. A oto szyling dla twego szefa. Włożyła chłopcu monetę do ręki. Gdy odwracał się, by odejść, zapytała:

- Czy mógłbyś pójść ze mną na plac i zagwizdać na dorożkę?

- A i pewnie, pani! - odparł i dodał z łobuzerskim uśmiechem: - Pani sama nie może gwizdać, ubrana w takie fidrygałki.

- Nie, nie mogę - przyznała. - Dlatego proszę ciebie, byś był tak uprzejmy i zrobił to za mnie.

- Ja to załatwię, panienko!

Ruszyli naprzód idąc obok siebie. Gdy doszli do placu, Vanessa z ulgą zauważyła wyjeżdżającą zza rogu ulicy wolną dorożkę.

Chłopiec włożył palce do ust i głośno gwizdnał, na co dorożkarz przyśpieszył.

Podjechał do nich, chłopiec otworzył drzwi, a Vanessa spojrzawszy na dorożkarza rzekła wyraźnie:

- Proszę do Carlton House - po czym dostojnie wsiadła do środka.

- O rany! Ale szyk! - impertynencko zauważył chłopiec i zamknął drzwi.

Rozdział 4

Gdy dorożka zbliżała się do centrum Londynu, Vanessa stwierdziła, że wrażenie szoku, jakiego w pierwszej chwili doznała, nieco słabnie.

Nadal trudno jej było uwierzyć, by pan Barcellos był szpiegiem i przybył do Londynu zabić księcia Walii.

Gdy rozmyślała o tym, doszła do wniosku, że była to odpowiedź Francuzów na wszystko, co się dotąd wydarzyło.

W lutym Napoleon, który już ponad rok był władcą Francji, dowiedział się o planowanym zamachu na jego życie.

Korzenie spisku sięgały Anglii. Było ogólnie wiadome, że w Romsey Anglicy utrzymują ośrodek szkoleniowy dla konspiratorów i szpiegów.

Ośrodkiem kierował Georges Cadoudal, barczysty, niezwykle silny rudy bretoński chłop, zwany wśród swych przyjaciół „Goliatem”.

Był to odrażający człowiek, o byczym karku i złamanym nosie, noszący rude bokobrody i mający jedno oko większe;

Nieżonaty, ciałem i duszą był oddany Burbonom. Trzy lata temu próbował wysadzić w powietrze powóz Napoleona, lecz mu się to nie udało.

Osobiście zdecydował się pojechać do Francji, by zabić Napoleona. Później, wraz z niektórymi niezadowolonymi generałami Armii Francuskiej, zamierzał przywrócić na tron Ludwika XVIII.

Informacja o tym spisku dotarła do rządu angielskiego, który przekazał w tajemnicy szczegóły swoim zagranicznym agentom i zaopatrzył Cadoudala w czeki na sumę miliona franków.

Nieostrożność jednego z agentów spowodowała, że Fouche, szef francuskiej policji, wykrył spisek, i Cadoudal został aresztowany.

Niefortunnym zbiegiem okoliczności w spisek, wmieszany był Louis Antoine, książę z rodu Burbonów, i diuk d'Enghien.

Był to młody, trzydziestoletni oficer, mieszkający samotnie w niemieckim mieście Ettelheim. Swój czas dzielił pomiędzy polowanie na słonki a udział w tajnych spotkaniach w Strassburgu.

Diuk d'Enghien był Francuzem i chociaż mieszkał w Niemczech, podlegał prawu francuskiemu.

Pod wpływem swych doradców Napoleon postanowił się z nim rozprawić. W nocy 14 marca, pod wodzą jednego z generałów, posłał po niego, za Ren, trzy brygady żandarmerii i trzystu dragonów.

W zupełnej ciszy okrążyli dom w Ettelheim i pojмали go w czasie snu.

Diuka oskarżono przed sądem wojennym o spisek. W ogniu pytań przyznał, że otrzymywał z Anglii rocznie 4200 gwinei, i został uznany za winnego.

Napoleon nie skorzystał z prawa łaski. Uważał, że śmierć tego oficera zakończy długo trwającą wendetę. Dnia 21 marca diuk d'Enghien zginął w Vincennes od salwy plutonu egzekucyjnego.

To wydarzenie uznane zostało za jedno z najbardziej kontrowersyjnych posunięć Napoleona.

We Francji nie przywiązywano do tego większej wagi, lecz w innych krajach wywołało ono burzę protestów.

Wiele krajów, które do tej pory popierały Napoleona lub były neutralne, zwróciło się przeciw niemu. Dla Anglików było to jedno z wielu działań, którego mogli się spodziewać po barbarzyńcy.

Cornelius Lens był zawsze gorącym zwolennikiem monarchii. Kochał Francję i przed wojną miał w tym kraju wielu bliskich przyjaciół. Korsykański tyran był dla niego

uosobieniem zniszczenia wszystkiego co piękne, wszystkiego, co wiązało się z tradycją i prawdziwą sztuką.

Przez ostatnie pięć lat Vanessa wysłuchiwała tyrad antynapoleońskich, dlatego teraz przerażało ją, że pod swym dachem gości mordercę, wysłanego przez Napoleona.

Mimo to potrafiła zrozumieć pragnienie Napoleona, aby zabić księcia. Był on nie tylko głową wrogiego państwa, lecz również reprezentował wszystko to, co dla Napoleona było nieosiągalne.

Napoleon mógł być obwołany Imperatorem Francji przez senatus consultum (W staroż. Rzymie - uchwała senatu wprowadzająca stan nadzwyczajny i dająca konsulowi władzę nieograniczoną). Mógł, używając swej armii, podporządkować sobie większość Europy i uczynić ją bezbronną pod swymi dyktatorskimi rozkazami.

Lecz przecież nie wywodzi się z królewskiego rodu, jak książę, nigdy też nie będzie „pierwszym dżentelmenem Europy”.

Gdyby księcia Walii zabił Francuz, Napoleon uznałby, że człowiek ów dokonał czynu patriotycznego, a zarazem wyrównał jego osobiste porachunki.

Vanessa, pochłonięta myślami o motywach kierujących panem Barcellosem, nie pomyślała o sobie aż do chwili, gdy dorożka zajęła przed Carlton House.

Ujrzała w oknach jasne światła i służbę z latarniami oczekującą, by oświetlić jej drogę do głównych drzwi.

Po raz pierwszy poczuła niepokój i obawę.

Gdy wybiegła z domu, uświadomiła sobie, że próba zobaczenia się z markizem przed jego przybyciem na Berkeley Square nie ma sensu.

Przecież mówił, że książę jada o siódmej, a wtedy zegar w jej sypialni wskazywał już kilka minut po pół do siódmej.

Było już pewnie koło siódmej, i zaczęła się zastanawiać, czy wiadomość, którą zamierzała przekazać, usprawiedliwi zakłócenie kolacji jego książęcej mości.

Gdy przekroczyła próg, kamerdyner w ciemnoniebieskiej liberii zdobionej złotymi galonami zapytał:

- Czy jest pani zaproszona, madame?

Spojrzał na listę, którą miał w ręku. Vanessa była pewna, że wszyscy zaproszeni goście jego książęcej mości już się zjawili i są na górze.

- Chciałabym natychmiast rozmawiać z markizem Ruckford.

Ton jej głosu nie był tak stanowczy, jak zamierzała. Przez chwilę kamerdyner lustrował jej skromny ubiór, którego nie zdobiły klejnoty.

- Czy markiz spodziewa się pani?

- Nie, lecz proszę powiedzieć jego lordowskiej mości, że jest to sprawa życia i śmierci.

Kamerdyner podjął decyzję.

- Zechce pani wejść, a ja zobaczę, czy mogę poinformować jego lordowską mość, że pani tu czeka.

Poprowadził ją przez rzęsiście oświetlony hall i otworzył drzwi do sali. Prawdopodobnie była to poczekalnia dla mniej ważnych gości czy interesantów, którzy musieli czekać na zaszczyt przyjęcia przez jego książęcą mość.

Vanessa była pewna, że książę nigdy tu nie wchodził, choć komnatę urządzono z przepychem,

- Czy mogę usłyszeć pani nazwisko, madame?

- Proszę powiadomić markiza; że chce z nim rozmawiać panna Vanessa Lens.

Lokaj zamknął drzwi, pozostawiając ją samą.

Myślała, co robi, jeśli markiz odmówi lub nie będzie mógł z nią rozmawiać.

Może przyśle adiutanta lub któregoś z urzędników, by ją wysłuchał? W takim przypadku cała historia może zostać uznana za wymysł rozhisteryzowanej kobiety. Wtedy będzie musiała powrócić do Islington.

Teraz dopiero zdała sobie sprawę, jak nietypowy, a nawet bezprecedensowy jest fakt, że przybyła tu dorożką samotnie, nie mając żadnych dowodów na poparcie swej niewiarygodnej historii.

Żałowała, że nie wzięła ze sobą dorobionego klucza, lecz to mogłoby wzbudzić podejrzenia pana Barcellosa.

Gdyby klucz nie został dostarczony na czas, pan Barcellos na pewno domyśliłby się, że ktoś odkrył jego plany. Zapewne w Carlton House musiał być służący, który udzielił mu pomocy.

Jeśli morderca, z którym rozmawiał, zawiedzie, pozostawał jeszcze wspólnik z pałacu. Vanessie wydało się, że historia jest tak nieprawdopodobna, iż trudno będzie w nią komukolwiek uwierzyć.

Z pewnością żaden służący w Carlton House nie mógł być zatrudniony bez referencji czy dokładnego sprawdzenia przez ludzi nadzorujących służbę.

Nagle zaczęła żałować, że w ogóle tu przybyła.

Pewnie zostanie wyśmiana, a w takim przypadku markiz będzie się jej wstydził i już nigdy się z nią nie spotka.

Przyszło jej do głowy coś jeszcze bardziej przerażającego: markiz może pomyśleć, iż przychodząc z takimi informacjami, próbuje przydać sobie znaczenia lub, co gorsza, chce publicznie połączyć ich nazwiska. W chwili gdy sobie to uświadomiła, uznała, że nie może tu dłużej pozostać,

Usiadła na krawędzi fotela obitego brokatem, takim samym jak mocno marszczone zasłony w oknach.

W jednym z wiszących na ścianach luster, oprawionych w złote ramy, ujrzała swe odbicie. Była rozdygotana i po raz

kolejny doszła do przekonania, że im szybciej opuści to miejsce, tym lepiej.

Ogarnięta paniką wstała, gotowa uciec, gdy drzwi się otworzyły i wszedł markiz.

Wyglądał wspanialej niż kiedykolwiek dotychczas.

Był niezwykle przystojnym mężczyzną, zawsze też ubierał się elegancko, ale w wieczorowym stroju, z wysokim, sięgającym podbródka kołnierzem i nieskazitelnie białym olbrzymim fularem, wydawał się inny, onieśmiał ją.

Przez chwilę Vanessa wpatrywała się w markiza, złożyła rękę, a w jej ogromnych oczach pojawił się strach.

Markiz zamknął drzwi i podszedł do Vanessy.

- Powiedziano mi, że pani ma mi coś ważnego do powiedzenia, Vanesso. Co się stało?

Patrzył na nią pogodnie i Vanessa poczuła ulgę, że przynajmniej go nie rozgniewała.

- Nie chciałam panu... przeszkadzać, milordzie - wyszeptała. - Ale musiałam przyjechać, by powiedzieć panu, że... podsłuchałam...

- Co pani podsłuchiwała? - spytał, dodając łagodnie: - Dlaczego nie usiądziemy?

- Nie mogę pana... zatrzymywać. Być może się mylę... ale słyszałam mężczyzn rozmawiających po... francusku. Mówili o czymś, co muszę... panu powtórzyć.

- Jakich mężczyzn?

- Pana Barcellosa - odrzekła. - Mówił mi, że jest Portugalczykiem, a ja mu uwierzyłam. Teraz jednak myślę, że jest on agentem Napoleona Bonaparte.

- Niech pani usiądzie, Vanesso - powiedział markiz stanowczo.

Wskazał na fotel, z którego właśnie wstała, a sam usiadł w fotelu obok.

- A teraz zaczynajmy od początku. - Kim jest pan Barcellos? - zapytał.

- Przybył do mojego domu przedwczoraj i nalegał, by się u nas zatrzymać. Powiedział, że mój ojciec... ma wobec niego dług... z czasów gdy byli obaj w Paryżu.

- Pytała pani ojca, czy to prawda?

- Nie... nie mogłam tego zrobić. On jest zbyt... chory, aby go... niepokoić.

- A więc pozwoliła pani, by pozostał w jej domu? Vanessa spuściła oczy, a na jej policzkach pojawił rumieniec.

Wiedziała, że markiz tego nie pochwali, a z tonu jego głosu poznała, że było mu przykro.

- T...tak.

- Nie powiedziała mi pani o tym. Dlaczego?

- Pomyślałam, że... pan nie zrozumie... że nie miałam wyboru.

Markiz zamilkł na chwilę, po czym zapytał;

- Pozwoliła więc pani, by pani gościem został człowiek, o którym pani nic nie wie?

- On chciał tylko przenocować. Poza tym wychodził na całe dni.

- I powiedział, że jest Portugalczykiem?

- Tak.

- Skąd pani wie, że nie jest tym, za kogo się podaje?

Niepewnym, wystraszonym głosem Vanessa opisała przebieg wydarzeń. Mówiła o chłopcu, który przyniósł klucz, i o tym, jak poszła na poddasze i podsłuchiwała pana Barcellosa rozmawiającego z kimś po francusku.

Miała dobrą pamięć i opowiedziała wszystko, słowo po słowie.

Relacjonowała po francusku, gdyż uważała, że wtedy nie zniekształci znaczenia słów, które usłyszała.

Opowiedziała, jak wzięła z sypialni sakiewkę i spojrzawszy na zegar, stwierdziła, że markiz będzie już w drodze do Carlton House.

- Właśnie dlatego... tu przyjechałam - zakończyła.

Spojrzała w jego twarz, jakby prosząc, by nie posądzono jej o to, że chciała się narzucać. Zrobiła tylko to, co uważała za słuszne.

- Postąpiła pani bardzo rozsądnie, Vanesso - stwierdził markiz. - A teraz proszę panią ze mną do księcia, któremu opowie pani całą tę historię od początku.

- Nie! Nie! - zaprotestowała. - Tego nie mogę zrobić! Teraz, gdy pan wie, co się zdarzyło, może pan podjąć odpowiednie kroki, by uchronić jego książęcą mość.

- Uważam, że ta historia zabrzmii bardziej przekonująco, jeśli pani sama opowie księciu o tym, co usłyszała - nalegał markiz.

Vanessa zerwała się na równe nogi.

- Jeśli zechce pan... mi wybaczyć, milordzie - powiedziała nieśmiałym, wystraszonym głosem - to raczej pójdę... do domu.

- Zaopiekuję się panią, Vanesso - odrzekł markiz. - Proszę się nie obawiać jego książęcej mości. Ma on wszelkie powody, by być pani wdzięczny.

Markiz wstał, a Vanessa patrzyła nadal prosząco.

Chciała stąd uciec, nie chciała narzucać się księciu ani reszcie gości. Pewnie zaczęli się niecierpliwić z powodu opóźnionej kolacji.

Markiz z uśmiechem podał jej ramię.

- Nigdy pani nie podejrzewałem o brak odwagi, Vanesso! Wiedziała, że chce podrażnić jej ambicję.

- Nie mogę... spotkać się z księciem! Pan wie, że nie mogę! Nie, gdy... jestem tak ubrana!

Zapomniała, że ma na sobie wieczorową suknię.

- Przecież wygląda pani cudownie.

W jego głosie brzmiała szczerłość, a jej policzki ponownie nabrały rumieńców.

Ponieważ markiz nadal czekał, ujęła go lekko pod ramię. Poprowadził ją przez hall i podwójnymi schodami na górę.

W innych okolicznościach podziwiałaby wiszące tu obrazy, wspaniałe gzymsy i piękne balustrady, ale w tej chwili była zbyt zdenerwowana i nie dostrzegała niczego. Nawet gdy markiz wprowadził ją do Salonu Błękitnego, nie zauważyła miniatur znajdujących się po obu stronach kominka.

- Tu muszę panią na chwilę zostawić; Ważne jest, i myślę że się pani z tym zgodzi, by księżę wysłuchał panią na osobności. Przy tej rozmowie powinien być generał Cornwall, który akurat jest tutaj. To dowódca wojsk stacjonujących w Londynie. On również powinien wiedzieć, co się może zdarzyć dzisiejszego wieczoru. Vanessa nie odpowiedziała.

- To bardzo ważne, by to, co pani powie księciu, nie zostało usłyszane przez służbę - dodał markiz. - W pałacu znajduje się zdrajca i nie można mu dać szansy ucieczki.

Vanessa uświadomiła sobie, że markiz doszedł do tych samych wniosków co ona. Nie potrafiła jednak znaleźć słów, by mu o tym powiedzieć. Obawiając się, że może uczynić coś niestosownego, patrzyła jedynie wylęknięta.

Markiz jakby ją rozumiał, uśmiechnął się do niej czarująco.

- Vanesso, postąpiła pani bardzo rozsądnie - pocieszył ją.
- Proszę się niczego nie obawiać.

Po tych słowach wyszedł z pokoju, a ona poczuła, że wraz z nim opuszcza ją resztką odwagi.

Nie potrafiła uwierzyć, że oto znalazła się tutaj, w Carlton House, i oczekuje na księcia Walii. Po chwili uznała, że to, co księżę pomyśli o niej, nie ma żadnego znaczenia.

Najważniejsze, że markiz ją pochwalił i był zadowolony z tego, iż przybyła tu, tylko to się liczyło.

Choć upłynęło zaledwie kilka minut, wydawało się jej, że czeka bardzo długo, gdy drzwi się otwarły i do Salonu Błękitnego wszedł książę, a za nim markiz. Książę był ubrany w piękny wieczorowy strój z niebieskiej satyny, pierś zdobiły mu orderzy. Również generał, o ostrej, szczupłej twarzy, który wszedł tuż za nimi, miał na sobie galowy mundur.

Książę wyglądał dokładnie tak, jak rysowali go karykaturzyści. Był otyły i nawet najbardziej obcisły gorset nie był w stanie ukryć wielkości jego brzucha.

Obfity podbródek zwisał mu nad fularem, a czerwoną twarz pokrywała warstwa kremu i pudru, czym starał się poprawić swą cerę.

Lecz miał czarujący uśmiech, a sposób, w jaki wyciągnął rękę na powitanie, upewnił kłaniającą się Vanesę, że w opowieściach o jego uroku i uprzejmości nie było przesady.

- Mój przyjaciel markiz Ruckford mówi, panno Lens, że ma pani ważne wiadomości dotyczące mojego bezpieczeństwa, którymi chce się pani ze mną podzielić.

- Tak... sir, ale chcę najpierw przeprosić za najście... o tak niedogodnej porze.

- Cóż, sama wojna jest niedogodna - odrzekł książę. - Słyszałem, że pani odkryła nikczemny francuski spisek na moje życie?

- To prawda, sir.

- Niech pani opowie! Niech pani opowie! - rzekł książę. - I usiądźmy.

Usiadł na sofie w stylu Ludwika XIV, a markiz przysunął fotel dla Vanessy.

Ponownie opowiedziała całą historię, a książę i generał słuchali w milczeniu.

Wtedy książę wybuchnął:

- To haniebane! Czy pan słyszał, Cornwall? Dlaczego nie mam lepszej ochrony? Jak to możliwe, żeby Francuzi mogli bez przeszkód wejść do mojego ogrodu? Wejść do mojego domu i zamordować mnie w łóżku?

- Nie mogę w to uwierzyć, sir - odparł generał - żeby napastnik nie został dostrzeżony w chwili forsowania ogrodzenia.

- Czy chce mi pan powiedzieć, że pańscy wartownicy idąc do przodu mają głowy zwrócone w tył? - gniewnie zapytał książę.

Generał nie odpowiedział.

- Dlaczego nikt nie strzeże drzwi do ogrodu? Wprawdzie wartownicy są przed frontowymi drzwiami domu, ale inne drzwi powinny być również strzeżone.

- Dotychczas nie było takiej potrzeby, sir - przepraszającym tonem tłumaczył się generał.

- Zaniedbanie, które omal nie doprowadziła do tragedii - skwitował książę.

Poczerwieniał na twarzy jeszcze mocniej. Wtedy markiz odezwał się cicho:

- Proponuję, sir, nie odstraszać zamachowców. Przygotujemy wszystko, by ich schwytać. Napastnik z bronią może być złapany w chwili, gdy znajdzie się w ogrodzie. Pozwoli to zaarrestować osobnika o nazwisku Barcellos, czy jakkolwiek się on nazywa, gdy będzie oczekiwał w powozie na Pall Mall.

- Tak, tak, naturalnie - zgodził się książę.

- Pozostanie tylko sprawdzić, kto dostarczył woskowego odcisku klucza od drzwi do ogrodu, a to będzie należało do zarządcy służby. Markiz przerwał na chwilę.

- Ponieważ pułkownik Gardner nie bierze udziału w dzisiejszej kolacji, czy mógłbym zaproponować, sir, by przesłać mu uprzejme zaproszenie do spotkania się z panem

po kolacji? W ten sposób nie wzbudzimy czujności służby i zdrajca nie ucieknie, dopóki nie dowiemy się, kim jest.

Markiz wiedział, że to zadanie nie będzie łatwe. W Carlton House zatrudniano ponad czterdzieści osób służby.

- To rozsądne! Bardzo rozsądne! - pochwalił księżę. Po chwili ciszy zapytał:

- Czy mamy jeszcze jakiś powód, by nadal opóźniać przyjęcie?

- Nie, sir. Oczywiście, że nie - odrzekł markiz.

- A pani, panno Lens, musi naturalnie zjeść kolację z nami - powiedział księżę, zwracając się do Vanessy. - Brak mi słów, by wyrazić podziękowania za pani odwagę i szybkie przybycie. Myślę, że powinna pani tutaj pozostać aż do chwili udaremnienia spisku i aresztowania jego uczestników.

- Dziękuję, sir. Ale...

Chciała powiedzieć, że zamierzała wracać do domu, gdy generał Cornwall zwrócił się do księcia:

- Sir, jest wiele kroków, które muszę natychmiast podjąć. Dlatego proszę o zwolnienie z uczestnictwa w dzisiejszym przyjęciu.

- Tak, naturalnie - zgodził się księżę. - Panna Lens zajmie pańskie miejsce i nie trzeba będzie niczego zmieniać przy stole.

Wstał i podał ramię Vanessie.

- Proszę ze mną, droga pani. Chcę panią przedstawić moim przyjaciółom.

- Proszę, niech pan nie mówi niczego przy służbie, sir - przypomniał markiz. - W tym domu nawet ściany mają uszy!

- Będziemy bardzo ostrożni - zapewnił księżę i uśmiechnął się do Vanessy. - To pozostanie naszą tajemnicą, panno Lens. Tylko nas dwojga, na kilka godzin.

- Czy jest pan pewien, sir... że nie będzie lepiej, jeśli wrócę do Islington?

- Jestem zupełnie pewien - odparł ksiązę - że pragnę niezwłocznie zasiąść do kolacji i rozmawiać z panią, panną Lens, o miniaturach. Z przykrością usłyszałem, że ojciec pani zaniemógł. Jest wielkim artystą i musi być bardzo zajęty malowaniem miniatur, z których słynie.

Książę był tak miły i bezpośredni, że nie umiała mu odmówić.

Gdy weszli do Salonu Chińskiego, Vanessa, widząc zgromadzone tam trzydzieści osób, poczuła się nieco speszona. Spostrzegła, że damy, wystrojone we wspaniałe suknie zdobione klejnotami, patrzyły z nie ukrywaną ciekawością na osóbkę wspartą na ramieniu księcia.

Pełna wdzięku pani Fitzherbert była dużo starsza, niż Vanessa przypuszczała. Książę wyjaśnił jej półgłosem:

- Pani, to panna Lens, która wyświadczyła mi wielką przysługę.

Następnie przedstawiał ją kolejno swym gościom, gdy nagle Vanessa ujrzała sir Juliusa Stone'a!

Nie zauważyła go, aż do chwili gdy przedstawiano ją stojącej obok niego damie. Nagle ujrzała pożerające ją ciemne, rozpustne oczy sir Juliusa. Ze strachu poczuła, jak serce w niej zamiera, lecz uspokajała się, tłumacząc sobie, że nie ma powodu do obaw. W pobliżu był markiz i sir Stone nie mógł zrobić jej krzywdy.

- Sir Julius Stone - oznajmił ksiązę. - Panna Vanessa Lens.

- My się już znamy - zauważył sir Julius z niemiłą nutą w głosie.

Vanessa nie odpowiedziała na zaczepkę. Skłoniła się tylko chłodno i więcej na niego nie spojrzała. Książę przedstawiał ją dalej, najpierw jednemu ze swych adiutantów, a później politykowi, o którym nigdy nie słyszała.

- A teraz zaczynamy wieczerzę! - wykrzyknął książę i podał ramię pani Fitzherbert.

Pomimo niewątpliwego zainteresowania wywołanego zniknięciem księcia i markiza i ich powrotem z Vanessą, lecz bez generała, nikt nie miał możliwości zadawania pytań, gdyż zaczęło się długie, wystawne przyjęcie.

Sala biesiadna była jeszcze wspanialsza, niż Vanessa mogła sobie wyobrazić. Srebrne ściany i sufit wsparty na kolumnach z czerwonego i żółtego granitu sprawiały wrażenie jakby żywcem przeniesionych z „Baśni tysiąca i jednej nocy”.

Na złotej i srebrnej zastawie podawano jedno danie za drugim i nim uczta dobiegła połowy, Vanessa była już - najedzona.

Nie przypuszczała, że rozmowy przy stole będą tak ożywione i zajmujące.

Zawsze wydawało jej się, że rodzina królewska jada z wielkim namaszczeniem, a wszyscy mówią przyciszonymi głosami, zwracając się tylko do swych najbliższych sąsiadów.

Książę rozmawiał ze wszystkimi biesiadnikami, włączając się do jednych dyskusji, inicjując inne. Wszyscy zachowywali się podobnie, rozprawiając swobodnie na różne tematy, a Vanessa zdumiewała się, że potrafią być tak dowcipni i zabawni.

Książę, który miał zwyczaj w czasie rozmowy cytować klasyków, nigdy nie był nudny i niewątpliwie ożywił konwersację.

Tego wieczoru był najwyraźniej w doskonałej formie. Nie pił zbyt wiele i ogromnie się starał, co bardzo cieszyło markiza, by sprawić na wszystkich wrażenie człowieka zadowolonego, aby każdy mógł później powiedzieć:

- Nawet przez chwilę nie można było podejrzewać, iż jego książęca mość wiedział, że jego życiu zagraża niebezpieczeństwo!

Tego wieczoru mówiono niemal o wszystkim: o polityce, literaturze greckiej, muzyce, książkach i oczywiście także o malarstwie.

Jednak inspiracja wydawała się zawsze pochodzić od księcia, który zręczną uwagą lub prowokacyjną opinią potrafił wywołać żywą reakcję rozmówców.

Była już prawie jedenasta, gdy panie zaczęły wychodzić.

- Przykro mi słyszeć, że pani ojciec jest chory, panno Lens - powiedziała pani Fitzherbert, gdy przeszły do Salonu Chińskiego. - Proszę przekazać mu moje serdeczne życzenia szybkiego powrotu do zdrowia.

- Dziękuję pani, zrobię to - odparła Vanessa.

- Książę często wspominał, że zamierza poprosić pani ojca o wykonanie mojej miniatury, lecz jakoś ten pomysł nie doszedł do skutku. Gdy pani ojciec wyzdrowieje, musimy do tego powrócić.

- To na pewno sprawi, że mój ojciec szybciej powróci do zdrowia.

- Czy pani też maluje, panno Lens?

- Pomagam ojcu w odnawianiu miniatur - odrzekła Vanessa - i czasami...

Urwała.

Pani Fitzherbert poruszyła ręką i Vanessa spostrzegła na jej palcu pierścień, o którym tak wiele słyszała. Pani Fitzherbert zauważyła jej spojrzenie.

- Patrzy pani na oko jego książęcej mości, które namalował dla mnie Richard Cosway - powiedziała z uśmiechem.

Mówiąc to, zdjęła pierścień z palca i wręczyła go Vanessie.

- Zawsze chciałam to zobaczyć. Jest piękny, madame. - To był ciekawy pomysł, prawda? - powiedziała pani

Fitzherbert. - Wydaje mi się, iż w 1785 roku pan Cosway zaproponował jego książęcej mości, że wykona taki pierścień.

Vanessa oglądała pierścień. Zamiast klejnotu, w środku była miniatura przedstawiająca oko księcia Walii, otoczona osadzonymi w złocie diamentami.

Wizerunek w niepowtarzalnym coswayowskim stylu: świetnie namalowany i uderzająco podobny do pierwowzoru.

- Wykonano dwa takie pierścienie - mówiła pani Fitzherbert. - Książę często nosi drugi, w którym jest miniatura przedstawiająca moje oko.

Postanowiłam ten klejnot założyć na dzisiejszy wieczór. Już dawno go nie nosiłam.

- Pani dyktuje modę, madame - uśmiechnęła się Vanessa.
- Słyszałam, jak ojciec mówił, że gdy wiadomość o tych pierścieniach się rozeszła, artyści zostali zasypani zamówieniami od ludzi, chcących posiadać wizerunek oka bliskich im osób.

Uśmiechnęła się ponownie i dodała:

- Mojego ojca proszono nawet o namalowanie oka ulubionego konia!

Pani Fitzherbert zaśmiała się.

Vanessa oddała jej pierścień.

- Dziękuję za pozwolenie obejrzenia go, madame. Jest to najpiękniej namalowane oko, jakie widziałam.

- Pan Cosway jest na swój sposób geniuszem - zauważyła pani Fitzherbert.

W głosie jej brzmiała nuta niechęci i Vanessa wyczuła, że ona nie pochwała jego stylu życia.

Chwilę później do pań dołączyli panowie. Księżciu z trudem udało się dotrzeć do pani Fitzherbert, w chwili gdy wszedł generał Cornwall.

Złożył księżciu ukłon i oznajmił:

- Panie, obydwaj francuscy zamachowcy zostali aresztowani i osadzeni w twierdzy Tower!

- Zamachowcy? O co chodzi?! - wykrzyknęła pani Fitzherbert, nim ktokolwiek się odezwał.

- Pułkownik Gardner prosił mnie, bym powiedział waszej wysokości - ciągnął generał - że aresztowano też chłopca kuchennego, który został ostatnio przyjęty do służby, podejrzanego o pomoc aresztowanym.

Książę wydał westchnienie ulgi, które wstrząsnęło jego tłustym ciałem.

- Wydaje się więc, generale, że dzisiaj będziemy spali spokojnie. Mam jednocześnie nadzieję, że wzmocnił pan środki bezpieczeństwa w Carlton House.

- Zrobiłem to, sir. W przyszłości z pewnością nic podobnego się nie powtórzy.

- Mam nadzieję! Mam nadzieję! - skwitował książę.

- Czy zechce mi ktoś w końcu powiedzieć, o co tu chodzi? - spytała pani Fitzherbert.

Markiz zaczął wyjaśniać, co się stało, a wszyscy, w napięciu, słuchali jego opowiadania.

Gdy skończył, pani Fitzherbert oznajmiła drżącym ze wzruszenia głosem:

- Panno Lens, jak my się pani odwdzięczymy? Gdyby ten nikczemny spisek doszedł do skutku, byłoby to jak pchnięcie sztyletem w samo serce Anglii. Jestem pewna, że osłabiłoby to morale naszej armii.

- Z pewnością - włączył się markiz. - I wszyscy mamy wobec panny Lens dług wdzięczności.

Rozejrzał się wokół po wszystkich obecnych, dodając:

- Jednocześnie myślę, że jego książęca mość nie chciałby, aby ta historia wyszła poza mury jego domu. To by mocno dotknęło ludzi odpowiedzialnych za bezpieczeństwo królewskiej rodziny. Również byłaby to zachęta dla

następnych zdrajców. Być może trochę przesadzam, lecz uważam, że w tej sprawie ważna jest dyskrecja.

- Pan ma rację! Oczywiście, że pan ma rację, Ruckford! - wykrzyknął książę. - Jednocześnie chciałbym, by ci przekłęci Francuzi wiedzieli, że się ich nie boimy, że przy całym ich planowaniu i spiskowaniu są wyjątkowo nieudolni, gdy chcą zrealizować swe nikczemne zamierzenia!

- Zgadzam się, sir - powiedział markiz - lecz tym razem mam wrażenie, że będzie lepiej, jeśli będą się zastanawiać, co się stało. Będą zdziwieni, gdy w gazetach nie ukaże się żadna wzmianka.

- Sądzi pan, że lepiej utrzymać ich w niepewności? - spytał książę. - Cóż, to niezły plan! A więc, jak radzi markiz, nabierzmy wody w usta. Jest to trudne, gdy w grę wchodzi pięknie rzeźbione usta!

Mówiąc to, spojrzął na lady Bessborough, którą znano z upodobania do plotek.

Zrobiła kapryśną minkę i odrzekła:

- Proszę mi zaufać, sir. Pańskie bezpieczeństwo jest dla mnie ważniejsze niż opowiadanie historii, których nikt nie zna.

Książę zawsze lubił jej żywy styl bycia, uśmiechnął się więc, lecz pani Fitzherbert zauważyła cierpko:

- Jestem pewna, sir, że może pan zaufać wszystkim tu obecnym. Na pewno będą posłuszni pańskim rozkazom.

- Ależ oczywiście! - zapewniła księżna Devonshire swym miękkim głosem. - Wszyscy obiecujemy posłuszeństwo, nie dlatego, że wasza wysokość tak rozkazał, lecz dlatego, że go kochamy.

Dał się słyszeć ogólny szmer aprobaty. Markiz podszedł do Vanessy i zapytał zniżonym głosem:

- Czy odwieźć panią do domu?

- Nie chcę pana wyrywać z towarzystwa przyjaciół. Powrócę bezpiecznie sama.

- Czy pani naprawdę sądzi, że na to pozwolę? Wyraz jego oczu nieco ją onieśmielał.

- Obawiam się, że Dorcas będzie się niepokoić, co się ze mną stało.

- Poproszę księcia, by mnie zwolnił i odwiozę panią. - Gdy podszedł do księcia i Vanessa pozostała sama, zaczęła szukać wzrokiem sir Juliusa Stone'a, Bała się, by ten nie zechciał z nią rozmawiać.

Z ulgą stwierdziła, że jest pochłonięty rozmową z innym gościem. Markiz powrócił.

- Księżę pozwolił nam wyjść - rzekł z uśmiechem. Jeszcze raz księżę i pani Fitzherbert gorąco podziękowali Vanessie.

- Proszę powiedzieć ojcu, by zaraz jak wróci do zdrowia, przyszedł do Carlton House. Mam dla mego wiele poważnych zleceń - powiedział księżę, gdy składała mu pożegnalny ukłon.

Vanessa była zadowolona, że nie musi się żegnać z resztą gości. W ten sposób uniknęła rozmowy z sir Juliusem. Chociaż podczas przyjęcia siedziała przy drugim końcu stołu, czuła na sobie jego spojrzenie.

Gdy wraz z markizem schodziła po schodach, mogła już rozejrzeć się i dostrzec na ścianach wspaniałe obrazy van Dycka i piękne rzeźby w hallu.

Chwilę później wsiedli do powozu.

Pojazd był wygodny, z miękkimi poduszkami wewnątrz. Lokaj nakrył ich kolana lekkim pledem i ruszyli.

Po chwili Vanessa z uśmiechem odwróciła się do markiza.

- Nie było tak strasznie, jak sobie wyobrażałam. - Nie musiała się pani niczego obawiać. - Początkowo się bałam, lecz Carlton House okazał się jeszcze bardziej zadziwiający,

niż słyszałam, a znani, ludzie, przyjaciele pańscy i księcia, są niezwykle zajmujący.

- Są takimi samymi ludźmi jak pani czy ja, Vanesso. Jedzą, śpią, śmieją się, płaczą, rodzą i umierają. Przekona. się pani o tym, gdy ich pozna bliżej.

Zaśmiała się.

- To zręczny argument. Jednak pan doskonale wie, że oni mogą być tacy jak pan, lecz z pewnością nie tacy jak... ja!

- Dlaczego nie?

- Gdyż żyjemy w dwóch różnych światach.

- Istnieją rzeczy, które są pomostem pomiędzy wszystkimi światami, bez względu na to, jak bardzo się różnią
- stwierdził markiz.

- Na przykład jakie? - spytała zaciekawiona.

- Po pierwsze piękno, a pani jest piękna, Vanesso, a po drugie, miłość!

W jego głosie zabrzmiała nuta, która spowodowała, że Vanessa zadrżała. Czując jego ramię tuż przy swoim, odwróciła głowę.

Patrzyła przez okno, chociaż niewiele było widać. Czasami blask światła pochodni w ręku służącego lub światła mijanego powozu.

- Nie chcę dzisiaj zaczynać rozmowy - powiedział markiz po chwili - ale jest wiele rzeczy, o których musimy pomówić, Vanesso.

- Jakiego... rodzaju? - spytała.

- Dotyczących pani i mnie.

Choć nie odwróciła głowy, domyślił się, że była zdumiona, dodał więc po chwili:

- Myślę, że w ostatnich dniach byliśmy razem bardzo szczęśliwi. Przynajmniej ja byłem.

- To były wspaniałe dni! Naprawdę wspaniałe! - wyznała impulsywnie.

Odwróciła się do niego i zaskoczona stwierdziła, że jego twarz jest bliżej, niż mogła się tego spodziewać.

Ujrzawszy wyraz jego oczu, znieruchomiała.

Pomimo światła powozowej lampy przenikającego do wnętrza, oboje wydawali się jedynie tajemniczymi cieniami. Zaczęło narastać w niej dziwne podniecenie.

Oddychała z trudem, czując niewidoczną obręcz ściskającą jej gardło.

Jednocześnie ogarniała ją fala ciepła i zachwyt, jakby znalazła się z markizem na scenie i właśnie podnoszono by kurtynę.

- To los zrządził, że się spotkaliśmy - powiedział markiz głębokim głosem.

- Los?

- Los zrządził, że weszła pani do mego pokoju w zajeździe. Los zrządził, że chciałem panią znowu zobaczyć, i to, że tak wiele znaczyliśmy dla siebie w ciągu ostatnich dni, i to, że ocaliła pani życie księcia.

Po chwili przerwy zapytał:

- Czy przez moment pomyślała pani, by prosić o pomoc kogoś innego niż mnie?

- Nie. Oczywiście, że nie.

- Czy zadała pani sobie pytanie dlaczego?

Przez chwilę milczała, po czym nieco nieporadnie odrzekła:

- To... musiał być pan... Pan mówił, że będzie... u księcia na kolacji.

- A jeśli by mnie tam nie było, czy przyszłaby pani do mnie?

- Tak.

- Właśnie to chciałem wiedzieć. Chciałem się upewnić, że cokolwiek by się zdarzyło, zwróci się pani do mnie,, Vanesso.

Musi pani wiedzieć, że będę pani pomagał i ułatwiał życie.
Czy pani rozumie?

- Myślę... że tak.

- Jesteśmy sobie nawzajem potrzebni - mówił markiz. -
Jestem pani potrzebny i ja także potrzebuję pani.

Vanessa nie mogła się poruszyć ani oddychać.

Zdawało się, że za chwilę markiz weźmie ją w ramiona i przyciągnie do siebie, lecz on nagle jakby zmienił zamiar. Ujął tylko jej rękę i podniósł do ust.

- Jutro o tym porozmawiamy - szepnął.

Na delikatnej skórze dłoni poczuła ciepło jego ust. W tym momencie wstrząsnął nią gwałtowny dreszcz, jakby rażenie pioruna. Uświadomiła sobie, że go kocha! Kochała go tak mocno, iż miała wrażenie, że tworzą jedność.

Rozdział 5

Pozostawiwszy Vanesę w Islington, markiz powrócił do Carlton House, by upewnić się, czy książę jest zadowolony z podjętych środków ostrożności.

Chciał również, choć nie przyznawał się do tego nawet przed sobą, dowiedzieć się, co książę i pani Fitzherbert myślą o Vanessie.

Z zadowoleniem stwierdził, że sir Julius Stone wyszedł już wraz z innymi gośćmi.

Rozumiał, że dla Vanessy spotkanie tu człowieka, który ją napastował, musiało być szokiem.

Jednocześnie miał nadzieję, że ponieważ przeżywała emocje związane z osobą księcia, nie przywiązywała do tego spotkania nadmiernej wagi.

Im szybciej o nim zapomni, tym lepiej! - pomyślał markiz i zaczął się zastanawiać, czego się dowiedziano od uwięzionych Francuzów.

Jak się spodziewał, książę otrzymał już raport z przekazania ich do Tower oraz ze wstępnego przesłuchania, któremu zostali poddani.

- Cieszę się, że pan wrócił, Ruckford - powiedział książę, gdy markiz wszedł do Salonu Chińskiego. - Generał Cornwall mówi, że komendant Tower jest przekonany, iż ci dwaj działali na osobiste zlecenie Napoleona!

- Obawiałem się, że odkąd dowiedział się on o kontaktach Anglików z diukiem d'Enghien, wasza książęca mość stał się celem zemsty.

- Pan tego oczekiwał?! - wykrzyknął książę zaskoczony.

- Nie do tego stopnia, by sprawdzić, jak jest pan strzeżony, sir - odrzekł markiz. - W tej chwili widzę, że zaniedbałem sprawę, nie rozmawiając o tym z generałem Cornwallem.

Z uśmiechem dodał:

- Pan dobrze wie, sir, jak wojsko nie lubi, gdy do ich spraw miesza się ktoś z zewnątrz.

- Tak, oczywiście - rzekł książę z goryczą.

Już wiele razy brał udział w różnych dyskusjach dotyczących armii, ale jego propozycje jakichkolwiek zmian budziły wśród wojskowych głęboki sprzeciw.

- Jednocześnie - dodał - skuteczny zamach na moje życie byłby nie lada osiągnięciem dla Francuzów, i nie możemy tego faktu nie doceniać.

- Jak powiedziała dzisiaj pani Fitzherbert - odrzekł markiz - pańska śmierć byłaby nie tylko tragedią dla naszego kraju, lecz również silnym ciosem osłabiającym morale naszej armii.

Pani Fitzherbert uśmiechnęła się słysząc te słowa, a markiz zauważył, że wygląda na zmęczoną.

Miała czterdzieści cztery lata i była sześć lat starsza od księcia. Jej uśmiech, tak czarujący w latach młodości, był już teraz mniej uroczy, gdyż miała źle dopasowane sztuczne zęby.

Gdy nieudane małżeństwo księcia rozpadło się, powróciła do niego. Oboje byli bardzo szczęśliwi. Kiedyś powiedziała trafnie do lorda Stourtona:

- Jesteśmy wyjątkowo biedni, lecz beztroscy jak świerszcze.

Markiz w to nie wątpił, lecz znając księcia nie dowierzał słowom pani Fitzherbert, że żyli razem jak brat i siostra.

Od lady Anne Lindley markiz dowiedział się o poufnych zwierzeniach pani Fitzherbert:

- Nie chcę się wiązać z księciem ani jako żona, ani jako kochanka.

Bez względu na ich wzajemne stosunki, pani Fitzherbert wywierała niewątpliwie dodatni wpływ na następcę tronu.

Patrząc na grubego, lecz doskonale odzianego księcia otoczonego licznymi skarbami, markiz po raz kolejny

pomyślał, że pod wieloma względami jest on oryginałem i trudno porównywać go do innych ludzi.

Był człowiekiem do pewnego stopnia zepsutym, lecz miał doskonały gust. Będąc wybitną osobistością, przyciągał do siebie wiele równie wybitnych osób.

Markiz wierzył, że książę stworzy genre (Franc. - styl, tryb życia), który będzie pamiętany jeszcze długo potem, jak jego rządy przeminą.

Miasta projektowane przez jego architektów, domy, które przebudowali, ogrody i posiadłości jego przyjaciół: będą to elementy stylu podziwianego i naśladowanego przez pokolenia.

- O czym pan myśli? - spytał książę nieoczekiwanie.

- Myślę o panu, sir - odrzekł markiz.

- Czy może pan to bliżej wyjaśnić? - zainteresował się książę.

- Rozmyślałem, że ma pan wielu krytyków i wrogów, lecz nie jest ich znowu tak wielu ani tej klasy co pańscy przyjaciele.

Markiz mówił zupełnie szczerze i książę był najwyraźniej zachwycony.

- Dziękuję, Ruckford, dziękuję! - wykrzyknął. - Zawsze ceniłem pańską przyjaźń i to, iż jest pan ze mną w trudnych chwilach. Miejmy nadzieję, że podzielimy też los w lepszych czasach!

- Które może wkrótce nadejdą - rzekł markiz z mocą, a jego słowa zabrzmiały jak modlitwa. Książę nie zwracał uwagi na późną porę. Rozmawiali jeszcze jakiś czas, po czym markiz pożegnał go.

Markiz zajrzał jeszcze do klubu White, ale nie dołączył do hazardzistów, gdyż stawki były wysokie. Nie widząc żadnych polityków czy mężów stanu, z którymi mógłby porozmawiać, pojechał do Ruckford House.

Służba już na niego czekała. Gdy się przebrał, odprawił wszystkich i usiadł na chwilę z gazetą na kolanach. Nie czytał jej jednak. Myślał o Vanessie.

Przed wyjściem z Carlton House, książę powiedział:

- To piękna dziewczyna, Ruckford! Muszę jej sprawić prezent. Przecież ona ocaliła mi życie!

- Myślę, że morderca zostałby ujęty na długo przed dojściem do pana sypialni, sir - zauważył markiz.

- A gdyby jego książęca mość został zastrzelony w ogrodzie? - zauważyła pani Fitzherbert, składając ręce na obfitych piersiach. Ten argument pozostał bez odpowiedzi.

- Rzeczywiście - przyznał książę. - Co powinienem dać panie Lens, markizie Ruckford?

- Klejnot! To powinien być jakiś klejnot! - stwierdziła pani Fitzherbert, zanim markiz zdążył odpowiedzieć.

- Muszę się rozejrzeć, czy mam coś stosownego - obiecał książę. - Jeśli nie, to poproszę was o radę, co mam jej kupić.

- Wybierzemy to razem - zaproponowała pani Fitzherbert. - Lecz trudno jakimkolwiek darem wyrazić wdzięczność za to, że jesteś żywy i wyszedłeś z tego bez szwanku.

Przez chwilę tych dwoje niemłodych już ludzi uśmiechało się do siebie, a markiz poczuł się, jakby był intruzem.

Siedząc teraz w sypialni pomyślał, że jeśli książę by się szczęśliwie ożenił, to byłby już człowiekiem statecznym, głową rodziny jak jego ojciec.

Teraz nie czas już było żałować, że nieszczęśliwie doradzono mu poślubienie Karoliny księżniczki Brunswickiej, która skandalicznym zachowaniem zmuszała go do znoszenia upokorzeń.

Nie ma wątpliwości, pomyślał markiz, że małżeństwo jest loterią, a książę przykładem tego, jak nieudane małżeństwo może zmęczyć i pomniejszyć nawet człowieka jego formatu.

Jeszcze długo nie będę się żenił - postanowił.

W stając rankiem, markiz pomyślał o Vanessie.

Widząc jej zdenerwowanie i onieśmienie w Carlton House, nie potrafił powstrzymać podziwu dla jej zachowania bez zarzutu.

Z pewnością była onieśmielona, lecz nie do tego stopnia, by nie brać udziału w rozmowach czy nie odpowiadać sensownie na zadane pytania.

Miała nienaganne maniery, a gracia, z jaką składała ukłony i poruszała się, miała w sobie coś z poezji. Markiz patrzył na nią, jakby była niezziemską istotą.

Jest wyjątkowa, zupełnie wyjątkowa! - pomyślał.

Wstał wcześniej, gdyż chciał odbyć przejażdżkę po parku, w porze gdy był on jeszcze względnie pusty. Bez względu na to, jak późno szedł spać dnia poprzedniego, zawsze przed śniadaniem uprawiał ćwiczenia i rozgrzewał konie.

Dzień był słoneczny, a powietrze rześkie. Niewątpliwie zapowiadał się ciepły dzień.

Markiz galopował konno, dopóki się nie zmęczył, po czym zawrócił do domu.

W mniejszej jadalni Ruckford House czekało nań obfite śniadanie. Jadalnia została odnowiona przez Roberta Adama we wspaniałym greckim stylu. Seledynowe ściany stanowiły doskonałe tło dla naturalnej wielkości posągów przedstawiających postaci mitologiczne.

Markiz ze smakiem zjadł okazałe jagnięce kotlety, nerki z grzybami oraz łososa złowionego poprzedniego dnia w Tamizie.

W czasie śniadania nie pijał, tak jak inni, alkoholu. Wolał świeżą kawę, zyskującą popularność w kręgach beau monde'u.

Gdy kończył, do jadalni wszedł sekretarz.

- Dzień dobry, Gratton! - przywitał go markiz. Roland Gratton, człowiek w średnim wieku, służył u niego od dawna. Na jego barkach spoczywał cały ciężar odpowiedzialności za

komfort markiza. - Dzień dobry, milordzie. Mam dla pana kilka listów do podpisania. Położyłem je na biurku. Są też dwa do przejrzenia. Ten wygląda na prywatny, a co do tego oczekuję pańskich instrukcji.

Mówiąc to, położył obok markiza kopertę adresowaną kobiecą ręką; po pokoju rozszedł się zapach ambry.

Markiz popatrzył bez zainteresowania i wyciągnął rękę po drugi list.

Pochodził od agenta z Ruckford Park i dotyczył prac budowlanych, które markiz mu zlecił podczas swego pobytu w posiadłości.

Podał Grattonowi wszystkie szczegóły. Gdy sekretarz zamierzał już wyjść, markiz powstrzymał go:

- Jeszcze chwilę, Gratton. Otworzył drugą kopertę.

Tak jak przypuszczał, był to list od Mariabelle Kerrin. Rozkładał go trzymając z dala od siebie, gdyż nie lubił zapachu ambry. Dziwił się, dlaczego kobiety pokroju Mariabelle uważały ten zapach za atrakcyjny.

Podczas gdy sekretarz czekał w milczeniu, markiz powoli czytał.

Tak jak myślał, autorka listu czyniła mu wyrzuty, że markiz nie odwiedza jej.

Mariabelle złamała niepisany układ pomiędzy tym, który przyjmuje wsparcie, a tym, co płaci za usługi.

Nie narzekała wprawdzie na brak hojności markiza, nie zaniedbywał jej pod tym względem.

Prawdę mówiąc, był wyjątkowo hojny dla atrakcyjnej aktorki, z którą jeszcze miesiąc temu spędzał upojne chwile.

Ale od czasu wyprawy do lorda Hargrave nie skontaktował się z Mariabelle ani w teatrze, ani w domu w Chelsea, w którym ją umieścił.

Naturalnie cały czas płacił całkiem wysokie sumy na utrzymanie jej domu, koni i drogiego powozu, które jej podarował.

Kupował Mariabelle biżuterię, której zazdrościli jej wszyscy przyjaciele, a rachunki jej krawca przewyższały te, które dotąd płacił za suknie swoich wybranek.

Mariabelle Kerrin nie narzekała, że markiz jest skąpy. Pisała o tym, co ją „nie do zniesienia” dotknęło i rozdarło jej serce swym „okrucieństwem”, które było „nie do opisanego”. Wszyscy wiedzieli, że odkąd wrócił do Londynu, nie odwiedził jej ani razu.

Markiz z niesmakiem czytał ten źle napisany i pełen brzydkich emocji list.

Zawsze to samo - pomyślał. - Prędzej czy później każda kobieta, którą otaczam opieką, zaczyna pragnąć nie moich pieniędzy, lecz mego serca!

Nie był przygotowany do składania takiego daru i, prawdę mówiąc, nigdy tego dotychczas nie zrobił, ani dla pięknych Cypryjek, które nie posuwały się w swych żądaniach tak daleko, ani dla żadnej z dobrze urodzonych dam, z którymi spędził wiele uroczych chwil.

- Dlaczego, do diabła - powiedział bardziej do siebie niż do sekretarza - kobiety muszą oczekiwać aż tak wiele?

- Następna zawiedziona miłość, milordzie? - spytał z bladym uśmiechem sekretarz.

Przebywał z markizem wystarczająco długo i brał udział w rozwiązywaniu tak wielu sercowych spraw, że wiedział, jak każda z nich się kończy, równie dobrze jak markiz.

Markiz rzucił list na stół i wytarł palce serwetką jakby w obawie, że może na nich pozostać zapach ambry.

- Proszę jej zapłacić, Gratton. Niech pan będzie hojny, bardzo hojny. Może opuścić dom, kiedy uzna to za dogodny. Proszę jej dać do zrozumienia, że już mnie nie interesuje!

- To dobra aktorka. Zawsze ją za taką uważałem, milordzie - lakonicznie stwierdził Gratton.

- Zbyt emocjonalna na scenie, a jeszcze bardziej poza nią!
- odrzekł markiz.

Po tych słowach wstał od stołu i ruszył do drzwi.

Pan Gratton wyjął pachnący list z maselniczki, gdzie wpadł, rzucony niedbale przez markiza i, zbierając się również do wyjścia, powiedział:

- Chciałem panu przypomnieć, milordzie, że dzisiaj lady Lowry obchodzi urodziny. Zeszłego roku posłał jej pan lilie. Czy życzy pan sobie, by powtórzyć ten gest?

Markiz zatrzymał się.

Lady Lowry zajmowała pierwsze miejsce w jego sercu znacznie dłużej, niż potrafiły to zrobić inne kobiety.

Miała wielki talent muzyczny, była także bardzo piękna, a jej ciemne włosy podkreślały nieco diaboliczną urodę lady.

Przez jakiś czas markiz myślał, że obudziła w nim miłość, której szukał i której dotąd nie zaznał.

Później, podobnie jak zawsze, dostrzegł, że lady Lowry jest jak inne kobiety zachłanna i skłonna do narzekań, gdy nie miał czasu, aby się z nią zobaczyć.

- Dlaczego kobiety nie mogą zrozumieć - pytał markiz - że w życiu oprócz miłości są też inne sprawy?

Ostatnio bardzo zajmowały go debaty w Izbie Lordów na temat wydarzeń wojennych oraz projektu nowej ustawy, mającej usunąć pewne nieprawidłowości w stosunkach społecznych. Uważał, że ustawa jest bardzo opóźniona.

Ody obrady dotyczyły tych kwestii, jego obecność była niezbędna. Jeśli lady Lowry musiała na niego daremnie czekać, to nie jego wina, lecz tych, którzy dopuścili, by warunki życia w Anglii osiągnęły taki stan. Było oczywiste, że należy coś zrobić, aby je zmienić.

W końcu markiz podjął decyzję.

- Nie, Gratton - powiedział stanowczo. - W tym roku nie pošę lady Lowry kwiatów!

Zamierzał, gdy upora się z korespondencją, zmienić jeździecki strój na wizytowy i odwiedzić Vanesę w Islington.

Już postanowił, że zabierze ją na wycieczkę za miasto, lecz najpierw muszą porozmawiać o sprawie, którą poruszył poprzedniego wieczoru.

Ubrany elegancko, w jasne spodnie ze złotymi lampasami, wysokie buty, zszedł na dół. Ku swemu niezadowoleniu natknął się na członka Izby Lordów, jednego z autorów ustawy.

Sprawa dotyczyła poprawki, którą zamierzali wprowadzić. Trzeba to było zrobić, nim ustawa zostanie przedłożona w Izbie Lordów. Musieli się spieszyć, a zarazem uważać, by niczego nie przeoczyć, gdyż mieli czas tylko do końca tygodnia.

Trochę trwało, nim gość mógł wyjść z Ruckford House z poprawionym dokumentem.

Faeton markiza czekał gotowy już prawie trzy kwadranse. Konie cały czas wolnym krokiem ciągnęły powozik wokół placu, obsadzonego krzewami białego i purpurowego bzu.

Zajął miejsce w powozie i ujął lejce, a słuźący puścił trzymane przy pysku konie i wskoczył na tylne siedzenie. Ruszyli.

Markiz nigdy by się nie przyznał do tego, że niecierpliwie poganiał konie, jednak drogę pomiędzy Berkeley a Islington Square przebył w rekordowym czasie.

Gdy zajechali przed dom Vanessy, wyglądający jak domek dla lalek, markiz spostrzegł, że stoi tam jakiś faeton.

Powóz nie był zbyt elegancki, a ciągnące go konie nie mogły się równać z końmi markiza. Natychmiast rozpoznał pretensjonalny herb!

W oczach markiza rozbłysły iskierki gniewu. Nim służący zdążył dotrzeć do koni, wysiadł z powozu i szybko ruszył ku frontowym drzwiom.

Na jego niecierpliwe stukanie kołatką, Dorcas prawie natychmiast otworzyła drzwi.

Zdjął kapelusz i zamierzał wejść do środka, gdy służąca powiedziała z przerażeniem:

- Och, jak dobrze, że pan przyjechał, milordzie! W pracowni z panną Vanessą jest człowiek, którego spotkałyśmy w zajeździe. Pchnął mnie tak silnie, że nie mogłam zapobiec temu, by tu nie wtargnął. Nie wiedziałam, co robić!

- Ja się z nim rozprawię! - z wściekłością wykrzyknął markiz.

Chociaż nigdy dotąd nie był w pracowni, domyślał się, gdzie musiała się znajdować. Pobiegł w górę wąskimi schodami prowadzącymi na tyły domu.

Gdy otwierał drzwi, usłyszał krzyk Vanessy. Jednym rzutem oka zobaczył, co się dzieje.

Vanessa wyrywała się z ramion sir Juliusa Stone'a.

Była tak drobna, że wobec ogromnej siły napastującego ją mężczyzny wszystkie jej wysiłki były daremne. Gdy markiz wbiegł, sir Julius przewracał Vanessę na sofę.

Ponownie krzyknęła i padła na poduszki.

W dwóch krokach Ruckford znalazł się przy napastniku i złapał go za kołnierz.

Sir Julius szarpiąc się z Vanessą, aby zmusić ją do uległości, nie usłyszał, że otworzyły się drzwi i wbiegł markiz.

Właśnie pochylał się nad Vanessą, gdy markiz szarpnął go do tyłu. Sir Julius zachwiał się, a wtedy otrzymał cios w szczękę i znalazł się na podłodze.

Upadł niezgrabnie, markiz zaś stanął nad nim w groźnej pozie.

- Wstawaj, kanalio. Zaraz cię nauczę, czym się kończy narzucanie się damie, która cię nie chce!

- Jak śmiałeś mnie uderzyć, Ruckford! - wykrzyknął wściekle sir Julius.

- Wstawaj! Zaraz dam ci nauczkę, której prędko nie zapomnisz.

Sir Julius, choć starszy od markiza, tchórzem nie był.

Wiedział, że markiz nie uderzy, nim on nie podniesie się. Wstawał powoli, chcąc zyskać na czasie.

Niespodziewanie wymierzył cios, który każdy sędzia bokserski uznałby za faul.

Markiz zrobił unik i ponownie uderzył przeciwnika. Sir Julius przewrócił się na stół, który uchronił go przed upadkiem na podłogę.

Po jego policzku płynęła krew.

Nie próbował już rewanżu, tylko z wściekłością wpatrywał się w markiza.

- Wstawaj! - rozkazał markiz.

- W takich okolicznościach nie będę z tobą walczył, Ruckford - powiedział ponuro.

W oczach markiza pojawił się błysk.

- Czy wyzywa mnie pan na pojedynek? Sir Julius wahał się przez chwilę. Lecz przypomniał sobie znane w całym kraju, niezrównane strzeleckie i szermierskie umiejętności markiza.

- Nie, do cholery! Nie zamierzam ryzykować mego życia dla pierwszej lepszej dziewczyny! Przy ostatnich słowach uśmiechnął się ironicznie.

- Jedno słowo więcej, Stone, i jeśli w ciągu dziesięciu sekund nie wyjdzie pan z tego pokoju, zetnę pana w proch!

Niewątpliwie markiz nie żartował.

Sir Julius Stone otarł krew z policzka i, biorąc swój kapelusz z krzesła, ruszył w kierunku drzwi. Nawet nie spojrzął w kierunku Vanessy.

Markiz poczekał, aż drzwi się zamknęły, po czym odwrócił się do Vanessy.

Nadal, pólżąc, siedziała na sofie.

Była bardzo blada, a jej oczy pociemniały ze strachu. Gdy patrzył na nią, wydała nieartykułowany dźwięk, podbiegła i ukryła twarz na jego ramieniu.

Objął ją i przytulił.

- Już dobrze, Vanesso - powiedział cicho. - On poszedł.

- Byłam... przerażona - szepnęła tak cicho, że ledwie dosłyszał. - To było... straszne!

Miała wszelkie powody, by się bać, pomyślał markiz. To, co ujrzał, gdy wbiegł do pracowni, nie pozostawiało żadnych wątpliwości co do intencji sir Juliusa.

Czuł, jak tuląc się do niego, cała drży. Wiedział, że w tej chwili z trudem powstrzymuje łzy.

- Podobnie jak księżę - rzekł łagodnie - będzie pani musiała w przyszłości korzystać z ochrony.

Dopiero teraz, rozejrzawszy się po pracowni, zobaczył na stole miniatury: swoją i księcia.

Ramki były jeszcze zdjęte, ale zorientował się, że Vanessa, z pomocą lub bez pomocy ojca, skończyła pracę.

Następnie spostrzegł, że gdy sir Julius wtargnął do pracowni, musiała pracować nad bardzo małą miniaturą przeznaczoną do zamknięcia w oczku pierścienia.

Pierścień leżał obok, a miniatura przedstawiała zaledwie naszkicowane oko, którego szczegóły miały być dopiero wykończone.

Po dokładnym przyjrzeniu się Vanessie, markiz spostrzegł, że ma na sobie niebieski bawełniany fartuch, jakiego używali malarze, by nie pobrudzić się farbami.

Nagle doznał olśnienia.

- Proszę mi opowiedzieć o swym ojcu - poprosił niespodziewanie.

Vanessa uniosła głowę z jego ramienia. Nagle, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, że tuli się do niego, odsunęła się.

Markiz nie protestował.

- Czego chciałby... się pan... dowiedzieć? - spytała po chwili, a on spostrzegł jej niepokój.

- Chcę wiedzieć - łagodnie powiedział markiz - czy pani ojciec naprawdę jest tutaj w domu. Myślę, Vanesso, że on nie żyje.

Vanessa nie odpowiedziała, a markiz po chwili dodał:

- Jak mogłem nie domyślić się tego wcześniej! Więc teraz pani kontynuuje jego prace?

- Nie miałam innego... źródła utrzymania - odpowiedziała. - Dom jest mój, ale ojciec nie pozostawił dużo pieniędzy.

- A więc pani malowała miniatury, a ludzie myśleli, że to on?

- Robiłam tylko prace renowacyjne, niekiedy tylko malowałam wizerunek dla osadzenia w pierścieniu. Ojciec nauczył mnie, jak malować oko.

Markiz popatrzył na stół przy oknie.

- Jak pani zwodziła ludzi, by sądzili, że to praca ojca?

- Gdy ktoś przynosił dla ojca zamówienie, mówiłam, że jest chory, więc ja mogę przygotować wstępne szkice.

Zawahała się i z rumieńcem na twarzy dodała: - Przyznaję... że prace podpisywałam... jego inicjałami.

Markiz uśmiechnął się. - Rozumiem, dlaczego było to konieczne, Vanesso, ale musi pani zrozumieć, że już nie powinna pani tego robić.

- Myśli pan, że sir Julius może... wrócić? - spytała z przerażeniem.

- Myślę, że nie będzie ryzykował lania, które bym mu sprawił. Ale są przecież inni mężczyźni, Vanesso. Jest pani zbyt piękna, by w spokoju żyć samotnie. A poza tym, co to za życie, gdy przebywa pani tutaj jedynie w towarzystwie starszej już służącej?

- Byłyśmy we dwie całkiem szczęśliwe - odrzekła. - Jedynym naszym zmartwieniem było to, czy zarobię wystarczającą ilość pieniędzy. Dorcas jest za stara, by skąpić jej jedzenia.

- A pani jest na to zbyt młoda - dokończył markiz. Wyciągnął rękę i poprowadził ją w kierunku sofy.

- Proszę usiąść. Mówiłem już, że chciałem z panią dzisiaj rozmawiać. Myślę, że nadszedł właściwy moment.

Spojrzała na niego z niepokojem, po czym rozpięła guziki fartucha, zdjęła go i odłożyła na fotel.

Wiedząc, że markiz czeka, usiadła na sofie, a on spoczął obok.

Ponownie ujął jej rękę i przyjrzał się jej. Widział delikatność wrażliwych palców i smużkę błękitu z Antwerpii na jednym z nich.

Wydało mu się, że ona jest jeszcze dzieckiem. Z nie znanych sobie przyczyn lub może dlatego, że wyglądała tak młodo, zrezygnował z powiedzenia tego, co zamierzał.

Wstał.

- Powiem pani, co zrobimy - rzekł. - Proszę spakować rzeczy, które będą pani potrzebne w ciągu najbliższych dni. Dorcas powinna uczynić to samo. Zamierzam panie stąd zabrać. Przyślę powóz po rzeczy.

- Powóz po rzeczy! - wykrzyknęła Vanessa.

- Pojedziemy do Ruckford Park - oznajmił. - Nie może pani tu pozostać lękając się każdego, kto zapuka do drzwi.

Następny nieproszony gość może być jeszcze gorszy niż dwaj poprzedni.

Vanessa, myśląc o panu Barcellosie i sir Juliusie Stonie wykrzyknęła:

- Czy naprawdę możemy wyjechać?! To byłoby wspaniałe, zobaczyć pana wiejską rezydencję! Czy naprawdę chce pan zabrać Dorcas i mnie?

- Chcę bardziej, niż potrafię to pani w tej chwili opisać. Więc tak jak powiedziałem, Vanesso, pakujcie się szybko. Gdy powrócę, nie chcę, by moje konie czekały,

- Nie opóźnię wyjazdu - obiecała Vanessa, a oczy jej rozbliły - lecz czy jest pan pewien... że nie będziemy... utrapieniem?

- Jestem tego zupełnie pewien - powiedział markiz, przyglądając się jej twarzy.

Z jej oczu zniknął strach i przestała się rumienić. Nagle poczuła podniecenie i wyglądała tak, jakby ktoś przypiął jej skrzydła.

- Więc szybko, do dzieła! - rozkazująco rzucił markiz. - Lunch zjemy w podróży. Po drodze, około pięciu mil za Londynem, jest zajazd, gdzie podają całkiem smaczne rzeczy.

- Jestem zbyt podniecona, abym mogła jeść! - wykrzyknęła.

Po tych słowach, wyprzedzając markiza, zbiegła po schodach na dół, wołając Dorcas.

- Dorcas! Dorcas! Co na to powiesz? Jego lordowska mość zaprasza nas do swej wiejskiej posiadłości. Musimy się szybko spakować.

Markiz nie czekał już na odpowiedź Dorcas. Wyszedł z domu i pojechał na Berkeley Square, z tą samą szybkością, z jaką jechał do Islington.

Po przybyciu na miejsce wezwał pana Grattona i wydał mu całą listę poleceń.

Pierwsze z nich brzmiało, by posłać do Ruckford Park służącego z poleceniem, aby przygotowano dom na przybycie markiza, drugie dotyczyło wysłania powozu do Islington, a trzecie - zaprzęgnięcia wypoczętych koni do faetonu.

Były też inne ważne instrukcje dla Grattona, nakazujące mu odrzucić wszystkie zaproszenia i odwołać większość spotkań. Ponieważ markiz działał precyzyjnie i szybko, nie minęła nawet godzina, gdy ponownie znalazł się w Islington.

Vanessa już czekała, ubrana w ładną suknię z kwiecistego muślinu, którą sama uszyła, i kapelusik, który wkładała na przejażdżki. Do okrycia się przed ewentualnym chłodem w czasie podróży, wzięła szal.

Dorcas też była gotowa. Odziana w czarną, prostą suknię wyglądała jak dostojna, starsza pokojówka i markiz pomyślał, że z pewnością zyska szacunek jego służby. ' Powóz wysłany z Berkeley Square stał już przed domem. Służba, załadowawszy z tyłu kufry, pomogła wsiąść Dorcas z uprzejmością należną księżnej.

- Czy będzie ci wygodnie? - z niepokojem pytała Vanessa.

- Proszę się o mnie nie martwić, panienko. I proszę nie tracić czasu po drodze. Będę niespokojna do chwili, gdy znów panienkę zobaczę.

- Nic mi się nie stanie - odrzekła Vanessa z radością.

- I niech pani zamknie frontowe drzwi - przypominała Dorcas. - Tylne zamknęłam już na rygle, pozamykałam również okna.

Słyszając te słowa już po raz dziesiąty, Vanessa odrzekła z uśmiechem:

- Nie ma obaw. Do naszego powrotu dom będzie bezpieczny... a myślę, że na wsi będzie wspaniale.

Z radosnym podnieceniem spojrzała na markiza. Gdy powóz ruszył, Dorcas zacisnęła usta, a oni wkrótce stracili ją z oczu;

- Czy możemy ruszać? - spytał markiz.

- Tylko jeszcze zamknę drzwi.

Przekręciła klucz w zamku, po czym spojrzała na niego bezradnie. Był zbyt duży, by zmieścić go w małej satynowej torebce. Markiz z uśmiechem wziął klucz z jej ręki.

- Zajmę się tym - powiedział. - A jeśli to panią uspokoi, to pošlę polecenie mojemu sekretarzowi, aby ktoś z Ruckford House doglądał pani domu.

- Och, zechce pan to zrobić? To bardzo uprzejmie z pana strony. Nie sądzę, by ktokolwiek zainteresował się tak małym domem, ale Dorcas się obawia, że wtargną tu włamywacze i zabiorą nam nasze skarby!

Zawahała się i dodała:

- Po namyśle doszłam do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli ja zatrzymam klucz. Dorcas nie zniosłaby myśli, że ktokolwiek oprócz niej mógłby wejść do środka.

Markiz oddał jej klucz.

- Niepokojenie Dorcas byłoby błędem! Vanessa zaśmiała się.

- Pan świetnie wszystko rozumie! Po śmierci mamy Dorcas starała się mną opiekować. Prawdę mówiąc, chwilami była surowa.

- I słusznie - stwierdził markiz.

Pomógł Vanessie wsiąść do faetonu. Gdy jechali już jakiś czas, zapytał:

- Kiedy zmarł pani ojciec?

- Ponad pół roku temu. Myślę, że nie chciał już dłużej żyć bez mamy. Zawsze miał skłonności do bronchitu, a poprzedniej zimy ciężko zachorował. Nie zdobył się na żaden wysiłek, by walczyć z chorobą.

Zrobiła bezradny gest ręką.

- Próbowałam go zainteresować obrazami, rzeczami, które mogliśmy robić razem, ale on tak bardzo kochał mamę.

- Nie dziwię się - zauważył markiz. - Z obrazu w salonie mogę stwierdzić, że była piękna. Dla mężczyzny, który raz posiadał taką piękność, życie bez niej traci sens.

Słyszając jego słowa, zadrżała.

Stanowczo postanowiła, że nie wolno jej myśleć o tym, jak go kocha, ani poddawać się dziwnym odczuciom w chwilach, gdy siedziała obok niego.

Ujrzawszy w drzwiach pracowni sir Juliusa, poczuła, jak strach mrozi jej krew w żyłach.

Gdy ją napastował, przerażona i sparaliżowana strachem, myślała tylko o markizie.

Modliła się gorąco, by przybył i ją ocalił. I nagle w cudowny sposób pojawił się.

Było to jak zrzędzenie losu, o którym mówił wczoraj. Śpieszył jej z pomocą wtedy, gdy potrzebowała tego najbardziej! Ponownie uchronił ją przed sir Juliusem jak wtedy, gdy w zajeździe weszła do jego pokoju, a on ją ukrył.

Kocham go! - pomyślała w głębi serca.

Opuścili już miejski zgiełk i wyjechali za miasto.

Jadąc do jego domu, czuła się tak, jakby jechała do raju.

Gdyby musiała tej nocy pozostać tylko z Dorcas w ich małym domu, czując się bezbronna i wiedząc, że po zapadnięciu zmroku może zdarzyć się wszystko, przeraziłoby ją to jeszcze bardziej niż wydarzenia zeszłego tygodnia.

Stwierdziła, że ostatnio jej życie stało się bardzo trudne.

Przed śmiercią ojca żyło jej się tak spokojnie, a teraz wszystko się zmieniło.

Wizyta u lorda Derwent, zaczepki sir Juliusa Stone'a, później Barcellos, który siłą wtargnął do domu, i znów sir Julius. Drżała nawet na myśl o tych przykrych

doświadczeniach, które układały się w jakiś jeden, koszmary ciąg.

Lecz zawsze zjawiał się markiz!

Nie musiała go szukać, by poczuć się bezpiecznie dzięki emanującej z niego sile i spokojnemu tonowi jego głosu.

Z nim nie bała się niczego... lecz co będzie, gdy tylko się rozstaną!

Westchnęła bezwiednie, a markiz zapytał:

- Co panią kłopotuje?

- Nic! - odpowiedziała szybko. - Nic, gdy jestem z panem.

Lecz wiem, że będę się bała, gdy pana obok nie będzie.

- Mamy więc oczywiste rozwiązanie.

- Jakie?,

- Muszę być przy pani, o ile pani tylko chce.

- Bardzo chcę!

Wydawało się jej, że odgłos końskich kopyt i dźwięk kół toczących się po drodze mówią jedno:

- Kocham go! Kocham go! Kocham go!

Na lunch wstąpili do zajazdu. Był ładniejszy i dużo większy niż ten, w którym poznała markiza.

Właściciel wyszedł na ich powitanie, kłaniając się nisko. Jego żona zaprowadziła Vanesę do pokoju pod dachem wspartym na dębowych krokwiach. Okna przesłonięte były tu perkalowymi zasłonami i wychodziły na werandę. Vanessa mogła umyć ręce i odświeżyć się.

Ponieważ było bardzo ciepło, zdjęła kapelusik. Uporządkowawszy włosy, przeszła do małego saloniku.

Markiz popijał sherry. Vanessa stwierdziła, że na tle ciemnej boazerii jego sylwetka wygląda okazale. Wcześniej zaproponował jej maderę, ale przecząco potrząsnęła głową. - Jeśli piję wino w czasie lunchu, jestem senna - powiedziała - a ponieważ dzisiaj po raz pierwszy zobaczę pański dom, nie chcę, by cokolwiek zakłóciło moją zdolność postrzegania.

- Co pani słyszała o Ruckford Park?
- Niewiele, ale przypuszczam, że musi być wyjątkowo piękny.

- Uchodzi za jeden z największych i najwspanialszych prywatnych domów w Anglii - objaśnił markiz. - Myślę, że pani mnie zrozumie, Vanesso, gdy powiem, że dla mnie jest on ważniejszy niż jego sława.

- Dom jest częścią swego właściciela. - Nie potrafiłbym tego lepiej wyrazić.

- Chciałabym zobaczyć wszystkie pańskie skarby - powiedziała, gdy już zasiedli przy stole - i prawdopodobnie mogłabym odnowić niektóre z miniatur. Zabrałam ze sobą farby.

- Czy chce się pani zrewanżować za gościnę? - pokpiwał markiz.

- Naturalnie! Mama zawsze mawiała, że nigdy nie należy brać, nie dając niczego w zamian, a od pana wzięłam już tak dużo.

- Może mi pani ofiarować bardzo wiele - rzekł cicho markiz.

- Chciałabym wiedzieć co? - spytała. - Pan wie, że zrobię wszystko co mogę... wszystko, o co mnie pan poprosi.

Wydawało się, że markiz chce jej coś powiedzieć, lecz najwyraźniej w ostatniej chwili zmienił zamiar.

Zacząli rozmawiać na inny temat, a Vanessa była oczarowana jego wiedzą i sposobem ujmowania spraw. Wszystko, o czym mówił, stawało się bardzo interesujące.

Lunch nie zajął im dużo czasu. Vanessa miała wrażenie, że markiz z niecierpliwością oczekuje chwili, kiedy dojadą do jego posiadłości, a przed sobą mieli jeszcze dwie godziny drogi.

Tego dnia jasno świeciło słońce i było ciepło. Po pewnym czasie skręcili z traktu i otworzyła się przed nimi wielka

dwuskrzydłowa brama z kutego żelaza. Wjechali w aleję ocienioną wiazami. Przy jej końcu nagle wyłonił się Ruckford Park.

Vanessa spodziewała się, że jest wyjątkowy, ale widok, który ujrzała, przeszedł jej najśmielsze oczekiwania. Był to dom niczym ze snów.

Z licznymi wieżyczkami i kopułkami, zdobiącymi dach, wyglądał jak pałac z baśni. Okna błyszcząły jak diamenty, a duże jezioro lśniło srebrzyście.

Markiz zatrzymał konie i patrząc w twarz Vanessy, zapytał:

- Jak się to pani podoba?

- Wspaniały! Doskonale do pana pasuje! Uśmiechnął się i wspominając w myślach ich rozmowę, dodał:

- Dla mnie ramy są ważne. Potrzebuję ich, by mnie uświetniały, ale pani stanowi doskonałość samą w sobie.

- Chciałabym, żeby to była prawda, ale to miejsce jest jakby dla pana stworzone. Jest jak pan... w każdym szczególe... a te łabędzie na jeziorze... jakież one są piękne! .

Markiz zaśmiał się.

- Na wszystkich kobietach największe wrażenie robią łabędzie. Mam nadzieję, że spodobają się pani także skarby wewnątrz domu. Mogę powiedzieć, że inni zbieracze bardzo mi ich zazdroszczą, nawet sam książę!

- Pan przecież wie, jak chcę je zobaczyć - odrzekła cicho.....

- A ja chcę je pani pokazać.

Gdy podjechali bliżej domu, wydał się jej olbrzymi, ale nie przytłaczał swym ogromem.

Ruckford Park miał w sobie coś ciepłego i zapraszającego, coś co spowodowało, że pomyślała: Tak jak jego właściciel, daje poczucie bezpieczeństwa. Kocham markiza i kocham... jego dom!

Rozdział 6

Jak tu pięknie! - powiedziała Vanessa, wyglądając przez okno sypialni.

Jeziro złociło się w promieniach zachodzącego słońca. Po jego wodach dostojnie, jak okręty, pływały łabędzie. Na tle zielonych trzcin żółciły się nenufary.

- To piękne miejsce, panno Vanesso - odrzekła Dorcas - lecz nie powinna pani zostawać tu sama. Pani o tym wie!

- Sama? - z uśmiechem spytała Vanessa. - Przecież w tym domu przebywa przynajmniej pięćdziesiąt osób, z których wiele przyjdzie mi jeszcze poznać.

- Pani wie, co mam na myśli - surowo odparła Dorcas. - Nie ma tu damy do towarzystwa, jakby oczekiwał tego pani ojciec,

Vanessa podeszła do toaletki i przejrzała się w lustrze.

- Rozumiem, że byłoby to konieczne, gdyby markiz był taki jak inni - powiedziała cicho. - Ale on jest inny, Dorcas, zupełnie inny!

Mówiąc to, pomyślała o sir Juliusie Stonie i na wspomnienie tamtego zdarzenia w jej oczach pojawił się cień strachu. Jednak w tej chwili nie miała powodu do obaw.

Nigdy nie wyobrażała sobie, że cokolwiek może być tak wspaniałe jak Ruckford Park i jednocześnie budzić respekt.

Pokoje były duże i, jak powiedział markiz, wypełnione skarbami. Jednak dzieła sztuki, znajdujące się w domach innych ludzi, czy nawet w Carlton House, wywierały na niej zupełnie inne wrażenie.

W każdym pokoju czuło się zapach kwiatów. Stały wszędzie: na stołach, na kominkach, a nawet na biurku markiza, przy którym zwykle pracował.

- Moja matka kochała kwiaty - wyjaśnił - i w każdym pokoju znalazła dla nich miejsce. Po jej śmierci ogrodnicy nie

zapomnieli o wymyślonych przez nią wzorach. O każdej porze roku układają kwiaty tak jak ona.

W dniu przyjazdu, po południu, markiz pokazał Vanessie część domu. Na zobaczenie wszystkiego nie było czasu, gdyż nadeszła pora kolacji.

Następnego dnia oprowadzał ją znowu po Ruckford Park, opowiadając o wszystkim, co zdołał zgromadzić, Słuchała każdego słowa, oczarowana jak dziecko.

Ku jej radości, znalazł kilka miniatur stanowczo wymagających odnowienia.

- Teraz ja mogę coś dla pana zrobić - stwierdziła. Widząc dziwny wyraz jego twarzy, dodała pośpiesznie:

- To znaczy, jeśli mi je pan powierzy. Zdaję sobie sprawę, że są bardzo wartościowe i może pan zlecić pracę bardziej doświadczonemu artyście.

- Jestem gotów powierzyć pani wszystko, co mam, Vanesso - odrzekł.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością i zaczęła mówić o miniaturach. Niektóre, bardzo stare, zachwyciły ją. Znalazła kilka wizerunków przodków markiza, malowanych przez Hansa Holbeina i Nicolasa Hilliarda. Dostrzegła rys podobieństwa między markizem a jego protoplastami.

Było tyle rzeczy do zobaczenia i tyle tematów do omówienia, że oczarowana, jak nigdy dotąd, nie czuła umykającego czasu.

Zaraz rano markiz zabrał ją na przejażdżkę. Vanessa była onieśmielona i trochę zdenerwowana. Obawiała się, że nie okaże wystarczającej wprawy w jeździe wierzchem, zastanawiała się także, czy markiz nie będzie się wstydził jej wyglądu.

Swego stroju jeździeckiego, prawdę mówiąc, używała już od dawna. Dostała go, gdy skończyła piętnaście lat. Od tamtej

pory kilkakrotnie poszerzała go, toteż w szwach widoczne były ciemniejsze smugi, a i tak był nieco za ciasny.

Markiz nie zwrócił na te szczegóły uwagi, a Vanessa z ulgą stwierdziła, że nie straciła swych jeździeckich umiejętności. Usłyszała nawet kilka komplementów.

- W mojej posiadłości jest wiele miejsc, gdzie możemy pojechać, Dzisiaj nie wybierzemy się daleko, aby pani nie zmęczyć. Dawno pani nie siedziała w siodle i może się pani źle poczuć.

- Nawet tego nie zauważę - odrzekła. - Tak wspaniale jest znów jechać konno i być razem... z panem.

W porannym słońcu wyglądała bardzo ładnie. Gdy spojrzała na niego, a on się uśmiechnął, pomyślała, że dawno nie była tak szczęśliwa.

Później zwiedzali pałac, a po południu spacerowali po parku. Spotkali tam nowe cuda. Stary zegar otoczony jeszcze elżbietanskimi ceglanyimi murami, piękne trawniki wiodące do greckiej świątyni, jak również włoską statuetkę sprowadzoną przez jednego z przodków markiza,

- Tyle jeszcze muszę poznać - powiedziała Vanessa z lekkim westchnieniem, gdy już wracali do domu.

- I ma pani kogoś, kto chce panią wszystkiego nauczyć!

- Czy to pana nie znudzi? - spytała z lekkim niepokojem.

- Nigdy dotąd żadne zajęcie nie wydawało mi się równie interesujące - odparł.

Poszła przebrać się do kolacji. Idąc schodami na górę, oglądała liczne portrety wiszące na ścianach. Byli to przodkowie markiza. Pomyślała, że wszystkie pokolenia rodu Ruckford, które żyły i gromadziły swe skarby, są częścią tego domu.

Miała niesamowite wrażenie, jakby protoplaści markiza byli tu nadal i w milczeniu poruszali się po korytarzach, dumni ze swego dzieła, przy którym gasły nawet blaski raj.

Dorcas już czekała, by pomóc przebrać się w jej jedyną wieczorową suknię, którą w dodatku miała na sobie poprzedniego wieczoru. Była to przysłowiowa łyżka dziegciu w beczce miodu, jak to ujęła Dorcas.

Na pocieszenie Vanessa przypomniała sobie powiedzenie markiza, że w obrazie nie rama się liczy.

To przyniosło jej pewną ulgę, ale nadal czuła się nieswojo. Wszystko wokół niej było wspaniałe, a ona zasiądzie do stołu ubrana bardzo skromnie.

Przypuśćmy, że miałyby tak piękną suknię jak pani Fitzherbert i klejnoty jak księżna Devonshire. Czy wtedy markiz bardziej by się nią zachwycił?

Nie znajdując odpowiedzi na to pytanie, pilnie śledziła Dorcas, która układała jej włosy według wzoru, jaki widziały w *The Ladies Journal*, i pomagała jej wpleść, srebrną wstęgę.

- Bardzo ładnie panienka wygląda - powiedziała Dorcas, ale zabrzmiało to bardziej jak obawa niż komplement.

- Mam nadzieję, że lord pomyśli tak samo - odrzekła Vanessa.

Wstała i wzięła z toaletki chusteczkę.

- Dobranoc, Dorcas. Mam nadzieję, że w tym wspaniałym domu czujesz się równie dobrze jak ja.

- Będę czekała na panienkę.

- Och, nie rób tego - zaprotestowała Vanessa. - Dzisiaj wrócę później. Wczoraj wieczorem nie zachowałam się najlepiej.

- Dlaczego?

- Tuż po kolacji omal nie zasnęłam. Z pewnością było to skutkiem nadmiaru wrażeń, nie przespanej poprzedniej nocy oraz tego, że... sir Julius mnie wystraszył.

W tym miejscu głos jej zadrżał.

- Siedziałam w fotelu i słuchałam lorda, gdy nagle poczułam, jak opada mi głowa i zamykają się oczy. Zerwałam się i zaczęłam przeproszać, a on powiedział:

- Czas na sen, Vanesso. Nic dziwnego, że jest pani zmęczona. Powiniennem posłać panią do sypialni zaraz po kolacji.

- Próbowałam oponować - opowiadała Vanessa - lecz mnie nie słuchał. Zrobiłam tak, jak chciałam.

Uśmiechnęła się do swej pokojówki.

- Dzisiaj czuję się, jakbym wypoczywała cały dzień. Nie będę więc kładła się spać aż do chwili, gdy lord uda się na spoczynek.

- Ja jednak na panienkę poczekam . - stanowczo zdecydowała Dorcas.

- Jeśli to zrobisz, będę się na ciebie gniewać. Wiesz przecież, jak łatwo się męczysz, a twoje nogi potrzebują wypoczynku.

Widząc, że nie przekonała starej służącej, dodała jeszcze:

- Nie chcesz chyba chorować w obcym domu? To byłoby bardzo kłopotliwe.

- Cóż, poproszę którąś z pokojówek, by czekała na dzwonek panienki - gderliwie zgodziła się Dorcas.

- Nie zadawaj sobie tyle trudu. Zawsze kładę się sama i mogę to zrobić również dzisiaj.

- Proszę zamknąć drzwi na klucz, panienko. Vanessa odwróciła się i zdziwiona spojrzała na pokojówkę.

- Na klucz? Tutaj, w Ruckford Park? Doprawdy, Dorcas, myśl o rabusiach i złodziejach jest twoją zmorem. Przypuszczasz, że tutaj możemy być napastowani? Przecież w tym domu jest co najmniej czterech nocnych stróżów. Sam lord mi o tym powiedział.

- Wszystko jedno, ale... - zaczęła Dorcas.

- Nie zamierzam się sprzeczać. Nie ma powodów do obaw. Tutaj jesteśmy bezpieczne... zupełnie bezpieczne!

Po tych słowach pochyliła się i pocałowała ją w policzek.

- Idź do łóżka i nie rób zamętu. Naprawdę nie ma się czego obawiać... mogę cię o tym zapewnić!

Nim Dorcas zdążyła odpowiedzieć, Vanessa wyszła z pokoju na spotkanie z markizem. Nie widziała, jak stara służąca patrzy za nią z niepokojem.

Markiz czekał już na nią w Srebrnym Salonie, którego francuskie okna wychodziły na taras.

Gdy weszła, stał przy kominku. Bezwiednie podbiegła do niego.

- Gdy schodziłam na dół, próbowałam wymyślić, jak mogłabym panu podziękować... lecz brak mi słów.

Spojrzał na jej rozjaśnioną szczęściem twarz.

- Czy dobrze pani spędziła dzisiejszy dzień?

- Był wspaniały.

- Mam takie samo wrażenie - powiedział cicho. Vanessa czuła, że te słowa nawet w części nie wyrażały ich myśli.

Markiz odwrócił się i ze srebrnej tacy, stojącej obok na stoliku, podał jej kielich wina.

Upiła łyk.

- Szampan? - spytała. - Co dzisiaj świętujemy?

- To, że jesteśmy razem! - odrzekł. - Myślę, że to trzeba uczcić.

- Oczywiście! - przyznała. - Pan przecież wprowadził mnie do świata, którego istnienia nie podejrzewałam.

- Czy podoba się pani ten świat? Zaśmiała się cicho.

- Nie znajduję słów, by opisać coś tak wspaniałego, tak doskonałego i dającego poczucie bezpieczeństwa!

- To ważne! - wykrzyknął. - Chcę, by się pani niczego nie obawiała. Mówiła pani, że ze mną czuje się pani bezpieczna, więc jesteśmy razem, Vanesso.

- Razem - powtórzyła.

Słowo to wypowiedziała z trudnością.

Wszystko, co jedli, było jeszcze bardziej wyszukane niż poprzedniego wieczoru. Gdy podano dania, których nie znała, Vanessa zajęta słuchaniem markiza nawet nie zwróciła uwagi na ich smak.

Mówili o wielu rzeczach. O domu i jego historii, o polityce, o ustawie, którą markiz popierał w Izbie Lordów, o książkach i obrazach, a także o miniaturzystach, którzy, jak stwierdził markiz, mieli własne spojrzenie na życie.

- Dlaczego pan tak myśli?

- Ponieważ ich dzieła są tak maleńkie, że muszą być doskonałe. A właśnie perfekcja jest tym, czego wszyscy poszukujemy, Vanesso.

- Czy naprawdę szuka pan doskonałości?

- Zawsze jej szukałem, a teraz wydaje mi się, że znalazłem.

Nie zrozumiała i spojrzała na niego pytająco, ale markiz wstał od stołu.

- Przejdźmy do salonu - powiedział. - Zabieram moją opiekuńczość ze sobą, niech mnie więc pani nie opuszcza.

- Wcale nie chcę pana opuszczać. - Czy jest pani tego pewna?

- Oczywiście! Miejsca bez pana wydają się takie puste.

Powiedziała to jakby od niechcienia, lecz mimo to na twarzy markiza pojawił się wyraz zadowolenia.

Vanessa wyszła na taras. Wieczór był pogodny i ciepły. Nawet najłżejszy podmuch wiatru nie marszczył powierzchni jeziora. Jego ciemna tafla, pełna tajemnic, była pogrążona w cieniu. Zza wielkich drzew parku słońce rzucało ostatnie purpurowozłote promienie i dzień ustępował miejsca nadchodzącej nocy. Na lazurowym niebie zabłysła już pierwsza wieczorna gwiazda. Vanessa spojrzała na nią, a cień

jej wspaniałej głowy i długiej szyi zarysował się na tle szarej, kamiennej ściany domu.

Markiz stał oparty o balustradę.

Spojrzała na jezioro. Wieczorna mgła, jak nimfa, unosiła się z wody.

- Jakie tu wszystko piękne! - powiedziała cicho. - Wydaje mi się to snem.

- To pani jest snem! Snem, który dla mnie stał się rzeczywistością!

Spojrzała na niego.

- Nie wierzyłem, by ktoś mógł być tak piękny i doskonały.

- Pan naprawdę... tak myśli?

- Wierzę w to.

Vanessa, czując, że brakuje jej tchu, podeszła do markiza jak zahipnotyzowana, bez udziału swej woli, a on objął ją i wyznał:

- Czekałem na ciebie, Vanesso, przez całe życie. Teraz, gdy cię znalazłem, nigdy nie pozwolę ci odejść.

Jej twarz rozjaśniła się. Powoli, jakby nie chcąc jej spłoszyć, pochylił głowę i poszukał jej ust.

Zrazu była zaskoczona, a potem cudownie szczęśliwa.

Zanim usta markiza dotknęły jej ust, nie wiedziała, że takie doznanie istnieje. Czuła uniesienie, jakby stawała się częścią tego, którego kochała.

Byli jednością. Blask zachodzącego słońca, piękno jeziora i tajemniczość nadchodzącej nocy stawały się również ich częścią.

Markiz objął ją mocniej. Poczowała, że ich ciała stapiają się w jedno.

Vanessa wiedziała, że to miłość przerastająca wszystko, co dotąd знаła, czy potrafiła sobie wyobrazić.

Uniesienie, ekstaza i piękno tej chwili spowodowały, że poczuła się nieziemsko szczęśliwa.

To miłość bogów - pomyślała. Każdy pocałunek zabierał jej duszę i już do siebie nie należała.

Gdy markiz uniósł głowę, by na nią popatrzeć, poczuła drżenie.

- Kocham... cię! - szepnęła.

- O, kochana, najdroższa! - wykrzyknął. - Tak chciałem to usłyszeć.

- Kocham... cię! - powtórzyła, jakby słowa mogły wyrazić głębię jej uczuć.

Znów ją całował, aż przestała czuć, że stoi na ziemi, a świat wokół zawirował.

- Kocham cię...! Kocham cię...!

Nie wiedziała, czy sama mówi te słowa, czy może były częścią rytmu jej serca. Porwana nie znanymi dotąd emocjami, poczuła budzące się w niej nowe życie, jakby wcześniej nie istniała.

Trudno powiedzieć, jak długo stali na tarasie, W końcu markiz pociągnął Vanessę za sobą i weszli do salonu.

- Możesz się przeziębic - powiedział łagodnie. - Chciałbym jeszcze z tobą porozmawiać, kochanie.

- Czy możemy jeszcze coś więcej powiedzieć? Popatrzył w jej pełne szczęścia oczy i uśmiechnął się.

- To nic ważnego. Usłyszałem to, co pragnąłem usłyszeć, gdy wyznałaś, że mnie kochasz.

- Sama tego nie wiedziałam - szepnęła - do chwili, gdyś mnie pocałował... doznałam olśnienia, teraz już wiem, że... jestem zakochana.

- Nie mogłem się powstrzymać. Gdy dotknąłem twych ust, Vanesso, wiedziałem, że nasz los został przypieczętowany i nie ma dla nas już ucieczki.

- Czy ty... chcesz uciekać?

Niepokój w jej głosie rozbawił go. Pocałował ją ponownie, po czym usiedli na sofie, a ona położyła mu głowę na ramieniu.

- Nie wiedziałem, że takie szczęście istnieje - oznajmił przekonany o prawdziwości swoich słów.

- To jest jak sen... że cię pokochałam... i że wszystko w tobie jest takie... piękne, tak niewiarygodnie... wspaniałe! - mówiła z przejęciem.

Markiz objął ją mocniej i powiedział:

- Nie oczekuj zbyt wiele, Vanesso, jestem tylko człowiekiem i popełniam błędy.

- Lecz jesteś wspaniałym człowiekiem! - rzekła cicho. - Jak mogłam znaleźć kogoś takiego jak... ty?

- Ale wierzyłaś, że mnie znajdziesz, tak jak ja wierzyłem, że znajdę ciebie?

- Od chwili gdy zaczęłam malować, zawsze chciałam namalować twarz taką jak twoja. To pragnienie tkwiło w moim sercu.

- Skarbie! Jak możesz opowiadać mi takie rzeczy? - rzekł markiz i znów ją pocałował.

Gorące pocałunki obudziły w niej nowe pragnienia. Ukryła twarz na jego piersi, a markiz popatrzył na nią z czułym uśmiechem.

- Czy cię tak bardzo rozpalam?

- Budzisz we mnie... dziwne uczucia. Nie tylko moje serce trzępoce się jak oszalałe... także całe ciało... wibruje w rytm magicznej muzyki. To jest wspaniałe... i jednocześnie przerażające.

- Nigdy nie dam ci powodu do lęku, kochanie. Ale jesteś już moja i musimy ułożyć plany na przyszłość.

Vanessa nadal trzymała głowę na jego piersi, a on całował jej włosy.

- Kupię dom w pobliżu Berkeley Square, może na

Charles Street. Wynajmę dla ciebie służbę i będziemy wspólnie spędzać czas, na ile to będzie możliwe.

Po tych słowach poczuł, jak Vanessa sztywnieje w jego ramionach.

- Dom?... - zapytała.

- Nie możesz przecież mieszkać samotnie w Islington - wyjaśnił. - Chcę, byś przebywała możliwie najbliżej mnie. Gdy wojna się skończy, przynajmniej raz w roku pojedziemy za granicę, a od czasu do czasu będziemy odwiedzać moje posiadłości w Kornwalii.

Zobaczył, że wpatruje się weń szeroko rozwartymi oczami i przestał mówić o swych planach.

- O co... ty mnie... prosisz? - spytała drżącym głosem.

Zajrzał jej w oczy. Gdy odsunęła się nieco, powiedział:

- Myślałem, że rozumiesz, Vanesso! Właśnie to próbowałem ci powiedzieć w ciągu ostatnich dwóch dni. Chcę cię osłaniać i chronić przed wszystkimi, którzy mogliby cię w przyszłości niepokoić;

- Ale pomyślałam... - zaczęła ledwie słyszalnym szeptem.

Markiz odwrócił głowę i wstał. Nie było sensu wmawiać sobie, że nie wiedział, co pomyślała, czy też czego się spodziewała.

- To trudno wyjaśnić - tłumaczył się po chwili.

Spostrzegł, że bardzo zbladła, a oczy w jej drobnej twarzy stały się nienaturalnie wielkie.

- Wydawało mi się, że... mnie kochasz. Wypowiedziała te słowa cicho, jakby mówiąc do siebie.

- Wiesz, kim dla mnie jesteś. Tak bardzo chcę, byś była przy mnie, że nawet nie potrafię tego wyrazić.

Odetchnął głęboko i zdecydowanie dodał: - Nie mogę jednak zaproponować ci małżeństwa!

W salonie zapadła cisza przerywana tykaniem niewielkiego zegara na kominku, które nagle wydało się nienaturalnie głośnie.

Vanessa milczała.

- Wiesz, że mój ród jest bardzo stary i ma bogate tradycje. Tworzyliśmy historię Anglii. Kto dziedziczy taką pozycję i tytuł jak ja, ma pewne zobowiązania.

Przerwał, jakby chciał dopuścić ją do głosu, ale z jej ust nie wyszedł żaden dźwięk.

- Gdy się ożenię, co nie nastąpi jeszcze przez wiele lat, żona moja będzie z rodu, który dorównuje mojej pozycji. To przywileje, z których korzystam, nakładają na mnie tajnie zobowiązania. Chcę, abyś to zrozumiała i uwierzyła, że nie ma to wpływu na uczucia, jakie mam dla ciebie.

Vanessa odezwała się niepewnym głosem:

- Żadasz więc... bym mieszkała z tobą... aż się mną znudzisz?

Odwrócił ku niej głowę.

- To nie tak, Vanesso. Obiecuję ci i jestem pewny, że nigdy się tobą nie znudzę. Będziemy razem cieszyć się szczęściem tego świata.

Na twarzy Vanessy nie było widać zachwyty.

Olśnienie, które ją tak ożywiało, zniknęło. W oczach czaił się cień i markiz nie mógł dostrzec już w nich radości.

- Uwierz mi - nalegał. - Uwierz, Vanesso, że będę się tobą opiekował aż do śmierci! Będziesz bogata! Będziesz miała wszystko, czego Zapragniesz!

Po raz pierwszy uczyniła ręką gest zniecierpliwienia, jakby odganiając od siebie wszystkie jego obietnice.

Powiedziała cichym, urywanym głosem:

- Gdy wczoraj... w pracowni... sir Julius Stone nazwał mnie w pewien sposób... bardzo cię to rozgniewało. Lecz jeśli

zrobię... tak jak mówisz... to, stanę się dokładnie taką... jak mnie określił.

- Stone jest nieokrzesanym kanalia! - powiedział gniewnie. - Zawsze pozostaniesz kobietą, którą będę cenił i szanował jak siebie samego.

Po chwili przerwy dodał:

- Pomyśl, jaka istnieje możliwość. Jeśli nie zostaniesz ze mną, to jaka przyszłość cię czeka bez pieniędzy i ochrony? Czy naprawdę myślisz, że możesz walczyć z życiem, mając przy boku tylko Dorcas? Pamiętaj, że na tym świecie jest wielu takich jak Julius Stone.

Widział, że zadrżała ze strachu, ale nie zwracając na to uwagi, nieugięcie dążył do celu, jaki sobie wyznaczył.

- Takie życie, jakie wiodłaś dotąd, nie oszczędzi ci kłopotów, a nawet, o ile nie będę cię chronił, nieszczęść.

Usiadł obok niej.

- Bądź rozsądna, kochanie.

- Ale to... zły sposób!

- Zły? Co jest złem, a co dobrem? - zapytał. - Czy jest złem szukanie szczęścia, a dobrem narażanie się na ataki i zniewagi ludzi, którzy napawają nas wstrętem?

Ujął w swe ręce jej dłonie. Poczuł jej zimne palce, drżące jak uwięziony ptak, który nie może uciec.

- Na świecie jest tyle rzeczy, które przerażają, Vanesso. Chcę, byś cieszyła się szczęściem, jakie tylko ja mogę ci ofiarować. Powiedziałaś, że mnie kochasz. Jeśli tak jest, to jak możesz cieszyć się życiem beze mnie?

Wydała cichy okrzyk i przytuliła się do niego. Markiz objął ją. - Spróbuj być rozsądna, kochanie.

- Czy mogę... czy mogę pomyśleć o tym?

- Naturalnie. Zdaję sobie sprawę z tego, że musisz się z tą myślą oswoić. Gdy to wszystko przemyślisz, dojdiesz do wniosku, że to jedyne rozsądne rozwiązanie.

Nie powiedziała nic. Markiz zaś dodał po chwili: - Musisz się zgodzić, Vanesso. Nie potrafię bez ciebie żyć! Zadrzała w jego objęciach, a on przytulił ją mocniej.

- Jest tak wiele rzeczy, których chciałbym cię nauczyć, które możemy robić wspólnie. Tyle możemy w sobie odkryć. Najdroższa, nie pozwól mi czekać zbyt długo.

W jego głosie zabrzmiała namiętność. Gdy nie odpowiadała, ujął dłonią jej podbródek i zwrócił jej twarz ku sobie.

- Potrzebuję cię! - powiedział swym głębokim głosem. - Jeden Bóg wie, że pragnę cię bardziej niż każdej innej kobiety, w całym moim życiu. Ale będę czekał, kochanie, aż powiesz mi, że chcesz być moja.

Pocałował ją, ale nieziemskie uniesienie, które porwało ich, gdy się całowali na tarasie - minęło.

Vanessa nabrała pewnej rezerwy i nie wydawała się już tak bliska duchowo jak poprzednio.

- Nie możesz mi odmówić - rzekł władczo. - Ja naprawdę nie mogę bez ciebie żyć.

Popatrzyła na markiza z zagadkowym wyrazem oczu, jakiego nigdy u niej nie widział. Nagle łagodnym gestem uwolniła się z jego ramion.

- Muszę... pomyśleć. Proszę, pozwól mi... pomyśleć.

- Ja cię od tego nie powstrzymuję.

- Nie mogę myśleć, gdy mnie... dotykasz.

W jego oczach widać było wyraz tryumfu. Cofnął swe ramiona i rzekł:

- Zwracam ci wolność, Vanesso, ale wiem, że żadne z nas nie potrafi być wolne bez drugiego.

Przypuszczał, że zwróci się ku niemu, ale ona wstała.

- Chciałabym już... pójść spać. Przemyślę wszystko co... proponowałeś. Pewnie jutro... dam odpowiedź.

- Jedyną odpowiedzią, którą przyjmę - nalegał - jest twoja zgoda. Proszę, kochanie, nie niszcz naszego szczęścia. Jeśli mnie kochasz, zrozumiesz, jakie to ważne. Powinnaś wiedzieć, że skoro je raz stracimy, możemy już go więcej nie znaleźć.

- Może pomyślisz, że to głupie - odrzekła - ale nie umiem podejmować poważnych decyzji, gdy... słyszę twój głos i widzę... twoją twarz.

- To dlatego, że mnie kochasz.

- Tak... Kocham cię - odpowiedziała, a w jej głosie było słychać szloch.

Stała wyprostowana i nieruchoma. Markiz nadal siedział na sofie i patrzył na nią.

Z jej postawy, smukłej figury, drobnych klasycznych rysów i pociemniałych oczu emanowały dzielność i odwaga.

Światło świec kusząco igrało w jej włosach. Był przekonany, że gdy obudzi w niej miłość, ona poczuje żar pożądania.

- Jak możesz się wahać? - powiedział wbrew woli. - Dlaczego nie możesz zrozumieć, że to, co nas łączy, jest niepowtarzalne? Dlaczego ludzkie prawa czy zakazy duchownych mają ograniczać to, co jest istotą życia?

- Wiem... że to... co innego. Wiem też, że... cię Kocham... ale przepraszam... muszę już iść.

Ich oczy spotkały się na chwilę. Wiedział, że Vanessa pragnie znaleźć się w jego ramionach. Jednak nadludzkim wysiłkiem woli odwróciła się i wybiegła z pokoju.

Słyszał jej kroki w hallu i gdy biegła po schodach.

- My należymy do siebie! - powiedział, zwracając oczy do gwiazd, którymi usiane było niebo. - Gdy to przemyśli, zgodzi się ze mną.

Tej nocy Vanessa spała niewiele.

Zdawało się jej, że dwoje ludzi stoi po obu stronach jej łóżka. Sprzeczała się to z jednym, to z drugim, aż wszystkie jej myśli skłębiły się i nie mogła pojąć ich sensu.

Wiedziała, że kocha markiza i że jego rady mają sens. Z drugiej zaś strony wspominała słowa matki, która od dzieciństwa uczyła ją, że miłość jest święta.

- Gdy kobieta kocha, córeczko - mówiła swym miękkim głosem - oddaje się mężczyźnie na całe życie, by się nim opiekować, by dbać o niego w chorobie i zdrowiu. Staje się jego niewidoczną częścią.

Vanessa wiedziała, że matka mówiła o małżeństwie, a tymczasem markiz nie chciał się żenić.

- Jak mogę się nim opiekować? - pytała sama siebie. - Jak możemy tworzyć jedność, skoro on spędzi ze mną tylko część swego życia? Przecież dla świata pozostanę - jak mnie określił sir Julius Stone - „pierwszą lepszą dziewczyną”.

- Pamiętała, jak zgorzona była jej matka zachowaniem Coswaya i księcia Walii.

Gdy ojciec opowiadał o nich przy Vanessie, często mawiała:

- Nie przy dziecku, Cornelius. A poza tym nie chcę, by wspomnianie o tych ludziach psuło atmosferę naszego domu. Mów o nich gdzieś indziej. Nie tu.

Gdyby przystała na propozycję markiza, wiedziała, jak by to oceniła matka.

Pomimo jej protestów, często słyszała opowieści ojca o oburzającym prowadzeniu się księcia Walii oraz ludzi, którzy go otaczali.

Mówiono o głośnych przygodach miłosnych dam z wyższych sfer.

Przyjaciele ojca z kręgów artystycznych Często żartowali na temat wielu miejsc w Londynie, w których arystokraci z St.

James zaspokajali swe nawet najbardziej wyszukane erotyczne zachcianki.

Czasem były to tylko pojedyncze słowa lub wzmianki, ale Vanessa miała wyczulony słuch i jeszcze lepszą zdolność kojarzenia.

Gdy była starsza, od czasu do czasu wychodziła wieczorem z rodzicami na koncert lub do teatru. Zauważyła wówczas, że wieczorem na ulicach wymalowane i krzykliwie ubrane kobiety próbują przyciągnąć uwagę samotnych mężczyzn.

Widywała nawet bardzo młode dziewczyny, prawie dzieci, z umalowanymi ustami i upudrowanymi twarzami.

Przez długi czas nie rozumiała znaczenia tego, co widziała na ulicach.

Teraz tamte sceny jak żywe stanęły jej przed oczami i po raz pierwszy zrozumiała prawdę.

Markiz powiedział, że ich stosunki będą inne. Jeśli jednak podaruje jej dom, jeśli będzie przyjmować od niego prezenty, takie jak klejnoty czy konie, to będzie podobna do tamtych kobiet z ulicy.

Jednak odruchowo wstrzymywała się z odmową. Wiedziała, że gdy to zrobi, już nigdy więcej go nie zobaczy.

- Kocham go... Boże, kocham go - modliła się. - Co mam robić?

Gdy rano Dorcas przyszła ją budzić, Vanessa wyglądała na zmęczoną i miała podkrążone oczy.

- Jest piękny dzień, panienko - powiedziała stara pokojówka z nieoczekiwanym przypływem dobrego humoru i rozsunięła zasłony.

- Możesz spytać, Dorcas, czy jego lordowska mość oczekuje, bym pojechała z nim na przejażdżkę?

- Mam od lorda wiadomość. Chciałby pojechać z panią po południu. W jednej z farm wybuchł pożar i musi tam być. Ledwie zdążył zjeść śniadanie.

- Pożar?

- Tak. Jak mówił kamerdyner, wybuchł w jednym z zewnętrznych budynków, a teraz palą się już i inne, w których jest mnóstwo inwentarza.

- To straszne! - wykrzyknęła Vanessa. - Dobrze rozumiem lorda, że udał się tam osobiście.

- Jak panienka wstanie, może włożyć jedną ze swych muślinowych sukienek. Zapowiada się gorący dzień. W strój jeździecki może się pani przebrać po obiedzie.

- Tak, oczywiście.

Była zmęczona i ubierała się powoli, Dorcas mówiła bez przerwy, a ona chciała zostać sama, więc poczęła ubierać się szybciej.

Przed dziewiątą zeszła na parter i już wiedziała, że ten ranek bez markiza będzie się ciągnął w nieskończoność. Jednocześnie obawiała się chwili, gdy go zobaczy.

Nie podjęła żadnej decyzji. Nie znalazła odpowiedzi na jego propozycje i z niepokojem myślała, czy ta opieszałość go nie rozgniewa.

Postanowiła czas oczekiwania spędzić użytecznie.

Zabrała farby i przeszła w odległy koniec domostwa, do salonu, z którego rozciągał się widok na ogród różany.

Tam markiz zgromadził swe miniatury. Wiele z nich wisiało po obu stronach kominka. Inne umieszczono w złotych gablotkach wyłożonych aksamitem w kolorze kości słoniowej.

Vanessa zauważyła, że miniatury Nicolasa Hilliarda wyglądały bezbarwnie i smutno w porównaniu z miniaturami Hansa Holbeina.

Nie miała odwagi dotknąć dzieła mistrza, które zachowało równie żywe kolory jak za czasów Henryka VIII.

Zdjęła spłowiałą miniaturę pędzla Johna Hoskinsa, który żył i tworzył w XVII wieku, a był wujem i nauczycielem Samuela Coopera.

Zacznę od tej - pomyślała i ułożyła farby na małym mahoniowym stoliku, który przysunęła do okna.

Przy tym portrecie nie było dużo pracy. Pamiętała jednak, że markiz pragnął, by wszystkie jego skarby były w doskonałym stanie.

Żałowała, że nie zabrała swego malarskiego fartucha. Zapomniała o nim i pozostał w pracowni, gdzie markiz wyratował ją z rąk sir Juliusa Stone'a.

Osloniła więc suknię płóciennym ręcznikiem, po czym wyjęła miniaturę z ramek i bardzo starannie dobrała kolory farb na palecie.

Pracowała już prawie godzinę, gdy za nią otworzyły się drzwi. Myśląc, że to markiz wrócił szybciej, niż się spodziewała, odwróciła się spłoszona.

Ku swemu zdumieniu, w drzwiach ujrzała starszą dostojną damę, ubraną w drogą, choć niezbyt modną suknię.

Gdy matrona weszła do salonu, Vanessa wstała.

- Czy panna Vanessa Lens? - spytała dama chłodnym, pozornie grzecznym tonem, który od razu zmroził atmosferę.

- Tak, madame.

- Dowiedziałam się, że pani jest tutaj. Przybyłam więc, by porozmawiać z markizem Ruckford i upewnić się, czy to prawda.

Vanessa patrzyła na nią zaskoczona.

- Jestem księżną Tealby. Mój syn, markiz Gramly, był w Carlton House tego wieczoru, gdy pani gościła u jego książęcej mości.

- Tak, proszę pani.

Była ciekawa, o co tu chodzi. Pamiętała, że markiz prosił wszystkich obecnych o dyskrecję.

- Zrozumiałam, że przyjechała tam pani sama. Następnie poprosiła markiza, a on przyprowadził jego książęcą mość. Czy to prawda?

- Tak, proszę pani.

- Tak mi właśnie opowiedział syn - rzekła księżna. - Nie mogłam natomiast uwierzyć, że pani przebywa teraz w Ruckford Park.

Vanessa patrzyła pytająco, nie mogąc zrozumieć, czego księżna od niej oczekuje.

- Jak rozumiem, jest pani córką miniaturzysty?

- Tak, proszę pani.

- Widzę, że pani właśnie pracuje. Czy to jest pani zajęcie?

- Tak, proszę pani. Pomagałam ojcu przez wiele lat.

- To znaczy, że ma pani pracownię w Londynie.

- Tak... w Islington.

- Zatem tam powinna pani pracować - stanowczo powiedziała księżna.

Spojrzała na Vanessę surowym wzrokiem.

- Będę z panią zupełnie szczerą, panno Lens. Nie przystoi pannie przebywać samej z markizem w Ruckford Park.

Vanessa westchnęła cicho, lecz milczała.

- Jeśli byłaby pani nieznaną artystką, to sprawa nie miałaby znaczenia - mówiła księżna. - Wywołała pani jednak falę plotek w Londynie, pojawiając się w Carlton House w tajemniczych okolicznościach. Pani pobyt tutaj z pewnością sprawi, że ludzie wezmą panią na języki.

- Jak pani widzi, właśnie odnawiam miniatury markiza - broniła się Vanessa.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Ale, jak już mówiłam, panno Lens, te prace, skoro są pilne, powinny być robione w pani pracowni.

Vanessa odwróciła głowę i popatrzyła na miniaturę rozłożoną na stole.

- Odnoszę wrażenie, że pani celowo udaje, iż nie rozumie, o czym mówię - powiedziała księżna, gdyż wydawało jej się, że Vanessa nie słucha. - Markiz zajmuje w hrabstwie ważną pozycję. Musi pani wiedzieć, że wszystko, co się dzieje w sąsiedztwie, staje się tu ogólnie znane i jest szeroko komentowane. Markiz, podobnie jak jego ojciec, jest osobą znaną i szanowaną. Pozostając tutaj, przynosi mu pani ujmę.

- Ujmę?

- Naturalnie. Może pani tego nie wiedzieć, ale dżentelmeni nie sprowadzają do swego domu pań, którym nikt nie towarzyszy. Jeśli robią to w Londynie, to ich sprawa. Ale skandal w domu, w którym żyła i zmarła matka markiza, wpłynie bardzo ujemnie na jego reputację.

- Rozumiem... - rzekła cicho Vanessa.

- Przypuszczam, że skorzysta pani z mojej rady i niezwłocznie stąd wyjedzie. Właśnie o tym chciałam rozmawiać z markizem, ale skoro go nie ma, pomyślałam, że powiem to pani. Jestem pewna, iż nie straci pani finansowo, pracując u siebie w domu.

Po chwili przerwy dodała surowo:

- To z pewnością tylko lekkomyślność i niedocenywanie własnej pozycji skłoniły markiza do przywiezienia pani tutaj. Nie wątpię w jego dobre intencje. Jednak pani obecność spowoduje komplikacje.

- Nie chciałabym... sprawić lordowi żadnych kłopotów.

- Widzę, że z pani rozsądna dziewczyna - łaskawie stwierdziła księżna. - Jeśli zechce pani podać mi swój adres, to sprawię, że otrzyma pani kilka zamówień. Księżna Clanderry mieszkająca przy Berkeley Square chciała zamówić portret swego psa.

Księżna zamilkła, najwyraźniej oczekując słów wdzięczności.

- Dziękuję, madame - szepnęła Vanessa. - Spodziewam się, że pani możliwie najszybciej wróci do Londynu.

Ruszyła do drzwi. Przed wyjściem zatrzymała się jeszcze i powiedziała:

- Może to panią dziwi, dlaczego jestem tak zainteresowana dobrym imieniem markiza. Otóż od dawna wiadomo, że moja córka lady Adelaide Willmott, która jest damą dworu królowej, zostanie żoną markiza. Nie chciałabym, aby na temat mojego przyszłego zięcia krążyły nieміłe plotki.

Nie czekając na odpowiedź wyszła z salonu, a lokaj zamknął za nią drzwi.

Vanessa pozostała bez ruchu przez dłuższą chwilę, po czym wzięła ze stołu miniaturę, umieściła ją w ramkach i powiesiła na ścianie.

Szybko spakowała farby.

Księżna rozwiała wątpliwości dręczące ją ostatniej nocy.

Problemy, o których myślała i które wydawały się tak trudne do rozwiązania, nagle stały się zupełnie proste.

Kochała markiza i dlatego nie mogła go skrzywdzić.

W głosie księżnej słyszała potępienie i niesmak. Przypominało to bardzo wyraźnie sposób wyrażania się jej matki.

Wiedziała, że wszystkie prawdziwe damy tak odnoszą się do niemoralności i tak oceniają inne, naruszające reguły kobiety.

Nagle z całą jasnością ujrzała poniżenie i nikczemność, na które zamierzała się zgodzić.

- To nie było miłością - stwierdziła. - To było nieczyste i złe.

Na taki układ nigdy nie mogła przystać, nawet gdyby miniowa miała złamać jej serce.

Kocham... go! Kocham... go! - myślała z rozpaczą.

To właśnie miłość spowodowała, że szybko pobiegła do swego pokoju i niecierpliwie zadzwoniła na Dorcas.

Rozdział 7

A więc sprawdziłeś lombardy? - spytał markiz.

- Tak, milordzie.

- I wszystkie sklepy z dziełami sztuki?

- Już po raz trzeci, milordzie.

- Czy masz pomysł, gdzie jeszcze możemy sprawdzić? -

Pytałem w sklepach, które ta młoda dama mogła odwiedzić. Rozmawiałem ze sprzedawcami w Islington. Wielu z nich zna pannę Lens i jej pokojówkę, lecz ostatnio żadnej z nich nie widzieli. Markiz spojrzął na leżące przed nim notatki.

- Czy pytałeś też w sąsiedztwie Islington? - Bardzo dokładnie, milordzie.

Po chwili milczenia markiz powiedział: - Jak już mówiłem, nie licz się z kosztami. Jeśli potrzebujesz pomocników, nie wahaj się wynająć ich.

- Dziękuję za pozwolenie, milordzie, ale próbowałem już chyba wszystkiego. Mogę tylko prowadzić dalsze poszukiwania tymi samymi drogami. Ta miniatura, którą od pana otrzymałem, jest bardzo pomocna.

Markiz rozmyślał chwilę, po czym rzekł gwałtownie:

- Pokaż rachunek.

Stojący przed nim człowiek wręczył mu pogniecioną kartkę z listą wydatków.

Spojrzął pobieżnie na wykaz i rzekł:

- Daj to mojemu sekretarzowi, panu Grattonowi. On wypłaci ci wszelkie należności i da zaliczkę na bieżące wydatki.

- Dziękuję, milordzie! Bardzo dziękuję!

Stojący przed nim człowiek w średnim wieku, były policjant, uklonił się i wyszedł.

Markiz siedział nieruchomo i patrzył przed siebie. Później wstał, podszedł do okna i wpatrzył się w drzewa przy Berkeley Square.

Jak to możliwe, zastanawiał się, by zniknąć tak bez śladu jak Vanessa.

Szukał jej już od trzech tygodni, stosując wszelkie dostępne środki, i cały czas bez najmniejszego rezultatu.

Trudno było uwierzyć, by ktoś tak młody i niedoświadczony mógł ukryć się tak dobrze. Nie wiedział, co robić dalej.

Po ugaszeniu pożaru na farmie powrócił do Ruckford Park później, niż się tego spodziewał.

Organizacja akcji ratowniczej wymagała jego doświadczenia i kierownictwa. Zaopiekował się przerażonym farmerem i jego rodziną, ratował zwierzęta, dopilnował także, by ogień nie rozprzestrzenił się dalej.

Dzięki temu straty okazały się dużo mniejsze, niż można było oczekiwać.

Do chwili ugaszenia pożaru zdołano zebrać bydło i zakwaterować bezdomną rodzinę. Dopiero wtedy spostrzegł, że już przed godziną minęła pora lunchu.

Wracał do Ruckford Park w dobrym nastroju.

Był zadowolony, że okazał się przydatny i zapobiegł, by wypadek nie nabrał rozmiarów katastrofy. Żegnając, swych poddanych widział, że patrzą na niego z podziwem i wdzięcznością.

Gdy zajechał przed główne wejście pałacu, służący już czekał, by zająć się końmi. Wszedł szybko po szerokich kamiennych schodach. Wręczając kamerdynerowi kapelusz powiedział:

- Spóźniłem się, Jenkins! Mam nadzieję, że panna Lens nie czekała na mnie z lunchem.

- Panna Lens właśnie wyjechała, milordzie. Przez chwilę wydawało się, że odpowiedź nie dotarła do niego, gdyż ruszył w kierunku jadalni. Nagle przystanął i zapytał:

- Wyjechała? Jak to wyjechała?

- Panna Lens wraz ze swą pokojówką wyjechały do Londynu około godziny jedenastej.

- Wyjechała do Londynu? - powtórzył oszołomiony markiz.

- Panna Lens prosiła, milordzie, by podwieźć ją do miejsca, skąd dalej pojedzie dyliżansem. Ponieważ śpieszyła się, nalegałem, by dojechała naszym powozem aż " do celu. Pomyślałem, że będzie to zgodne z pańskim życzeniem, milordzie.

- Oczywiście - szybko powiedział markiz. - Ale dlaczego postanowiła tak szybko wracać do Londynu? Czy otrzymała jakąś wiadomość?

- Nie, milordzie. O ile wiem, panna Lens nie otrzymała żadnej wiadomości.

- Więc nie rozumiem.

- Wygląda na to, milordzie, że podjęła decyzję po odwiedzinach jej wysokości.

- Jej wysokości? - spytał ostrym głosem.

- Księżnej Tealby, milordzie. Jej wysokość przyjechała i pytała o waszą lordowską mość, a gdy usłyszała, że pana nie ma w domu, chciała rozmawiać z panną Lens.

Markiz milczał.

- Panna Lens była w Salonie Różanym, milordzie. Wydaje mi się, że zaczęła odnawiać jedną z miniatur. Jej Wysokość weszła do salonu na chwilę, a zaraz potem panna Lens prosiła, aby zawieźć ją do Beaconsfield.

Markiz wyciągnął kieszonkowy zegarek i sprawdził godzinę.

Skoro wyjechała o jedenastej, pomyślał, to jest już w Londynie.

Postanowił możliwie szybko jechać za nią. Najpierw jednak zamierzał odwiedzić księżnę Tealby, by dowiedzieć się, o czym rozmawiała z Vanessą.

Domyślał się tematu tej rozmowy. Jak zwykle myśl o tym, że ktoś miesza się w jego sprawy osobiste, doprowadziła go do wściekłości. Wścibstwo księżnej Tealby było ogólnie znane.

Zjadłszy coś pośpiesznie, przebrał się i pojechał faetonem do zamku Tealby.

Księżna początkowo przyjęła go wylewnie, ale wkrótce tej entuzjazm zmienił się w urażony chłód, gdy markiz wydobywał z niej słowo po słowie treść rozmowy z Vanessą.

- Zupełnie nie rozumiem, madame - powiedział nie mniej lodowato niż księżna - jak pani ośmiela się strofować młodą damę, która przebywa u mnie w gościnie.

- Myślałam, że mam do tego prawo, Danien - odrzekła księżna - biorąc pod uwagę, że znam cię od dziecka oraz to, że twój ojciec gorąco sobie życzył, by nasze rodziny się połączyły.

- Taka mogła być wola mego ojca, lecz decyzje dotyczące mojego życia podejmuję tylko ja sam.

- Doskonale to rozumiem - odparła księżna. - Ale za mojej pamięci w Ruckford Park nigdy nie wydarzył się skandal. Nie mogę pozwolić, abyś utracił szacunek, jakim darzy cię całe hrabstwo, lub okrył złą sławą swoje nazwisko.

- Moje nazwisko przetrwało nie zhańbione - z sarkazmem powiedział markiz - całe pokolenia piratów, rabusiów, oszustów i utracjuszy. Jeśli cieszę się w Oxfordshire szacunkiem, to moja opinia nie może być zaszargana zaproszeniem do odnowienia miniatur wyjątkowo utalentowanej artystki.

- Ona jest tak młoda i ładna, że można ją oceniać tylko na podstawie wyglądu - odcięła się księżmi.

- Ciekawe, że nikt tego nie zauważył, dopóki me zjawiała się na kolacji w Carlton House - odparował markiz.

- Ta rozmowa prowadzi donikąd - stwierdziła księżna. - Chcę cię tylko prosić, abyś był bardziej ostrożny. Nikogo nie obchodzi, co robisz w Londynie, ale tutaj, jak wiesz, sprawy wyglądają inaczej. Twoje dalsze postępowanie pozostawiam twemu sumieniu!

Markiz w furii opuścił zamek Tealby.

Doskonale wiedział, że to nie troska o niego, lecz wścibstwo kierowało postępowaniem księżnej.

Jej syn, lekkomyślny, głupi młodzieniec, opowiedział, co wydarzyło się w Carlton House. Na szczęście nie ujawnił prawdziwej przyczyny obecności Vanessy.

Było oczywiste, że cały świat złotej młodzieży będzie poruszony wiadomością, iż nieznana, bardzo ładna dziewczyna pojawiła się w pałacu księcia i natychmiast została przez niego zaproszona do stołu.

Takie wydarzenie musiało rozpaścić ciekawość. Markiz przeklinał fakt, że stało się niemożliwe zrobienie czegokolwiek we własnym domu, co nie znalazłoby się na ustach wszystkich już następnego ranka.

W drodze do Londynu podjął niezłomną decyzję. Nikt nie zmusi go do poślubienia lady Adelaide Willmott.

Pewnie byłaby wzorową żoną, ale mieć taką teściową - to przekraczało granice jego wytrzymałości.

Na przyszłość musi zadbać, by księżna, czy jej podobne kobiety, podczas jego nieobecności nie były wpuszczane do jego domu.

Obecnie mógł tylko mieć nadzieję, że Vanessa nie przejęła się zbyt wiele usłyszanymi wyrzutami.

Była jednak wrażliwa, delikatna i niedoświadczona. . W czasie tamtej rozmowy musiała poczuć się zgnębiona.

Przy swojej inteligencji nie mogła nie zauważyć sugestii księżnej na temat jej związków z markizem. Stało się bardzo niedobrze, że nie było go w tym czasie w domu.

Zbliżając się do Londynu, uznał, że musi Vanesę traktować bardzo łagodnie i nie może zmuszać jej do zbyt szybkich decyzji.

Był przekonany, że w końcu pozwoli, by ją ochraniał i opiekował się nią.

Wiedział, że Vanessa kocha go, a jemu tak bardzo brakowało jej obecności, że aż sam się dziwił sile tego uczucia.

- Nie mogę jej wystraszyć - postanowił, gdy w końcu zatrzymał zgrzane konie przed małym domkiem w Islington.

Służący zastukał do drzwi - jednak bez odpowiedzi. Po chwili oczekiwania zastukał ponownie.

Ponieważ nikt nie odpowiadał, markiz zawrócił na Berkeley Square, chcąc sprawdzić, czy jest tam podróżny powóz.

Jak się spodziewał, woźnica, przed powrotem do Ruckford Park, pozwalał koniom odpocząć. Wezwał go do siebie.

- Przyjechaliśmy tu w niecałe trzy godziny, milordzie! - powiedział z dumą.

- To dobry czas - przyznał markiz. - I zawiozłeś pannę Lens pod jej dom w Islington?

- Tak, milordzie. Pani mi podziękowała. Jestem pewien, że jazda bardzo się jej podobała.

- To wszystko.

Woźnica wyszedł, a markiz po skromnym posiłku kazał zaprzęgać świeże konie i ponownie pojechał do Islington.

Dom nadal pozostawał zamknięty.

Tym razem markiz sam zapukał do drzwi i zaglądał przez okno na parterze, lecz w środku nie było nikogo.

Obszedł dom. Bez specjalnych trudności otworzył okno małego pokoju, w którym sypiała Dorcas.

Wspiął się do środka i zaczął systematycznie szukać.

Gdy znalazł się w saloniku, natychmiast zauważył brak portretu matki Vanessy, który wisiał nad kominkiem!

Spostrzegł też inne puste miejsca na ścianach, gdzie, jak mu się wydawało, dawniej wisiały obrazy.

Marszcząc czoło poszedł na górę, lecz w żadnym pokoju nie znalazł niczego wartościowego.

Dom był urządzony w dobrym guście, ale markiz wiedział, że dla włamywacza przedmioty, które się tu znajdowały, mogły mieć wartość zaledwie kilku funtów.

Przez chwilę zatrzymał się w jej sypialni. Białe falbanki narzuty na łóżku przypomniały mu Vanesę w białej sukni.

Zaczął się niepokoić, że nigdy więcej jej nie zobaczy. Wychodząc z domu pomyślał, że jedyną wskazówką co do miejsca pobytu Vanessy może być portret jej matki.

Odwiedzał więc wszystkie sklepy z dziełami sztuki w Londynie i dopiero po tygodniu natrafił na to, czego szukał.

Właściciel okazał się bardzo rozmowny.

- Tak, znałem nieodżałowanej pamięci pana Corneliusa Lensa, milordzie. Był doskonałym artystą i sprzedałem wiele jego miniatur.

- To jest portret pani Lens - powiedział markiz, pokazując obraz wiszący pomiędzy tandetnymi akwarelami z widokiem Tamizy.

- Tak, milordzie - potwierdził właściciel. - To była piękna pani! Często mawiałem do żony, że gdyby pani Lens udzielała się towarzysko, tak jak żony innych artystów, to zrobiłaby karierę! Ale ona prowadziła bardzo spokojne życie.

- Rozumiem, że portret ten przyniosła panna Vanessa Lens. Chcę się z nią skontaktować. Czy mógłby mi pan podać jej adres?

- Znajdzie ją pan w Islington, w domu jej ojca, milordzie.

- Tam jej nie ma.

- W takim razie, nie wiem gdzie jest, milordzie. Przyniosła ten obraz przedwczoraj.

- Ile pan zapłacił?

Widząc, że sklepikarz waha się, rzekł ostro:

- Chcę znać prawdę!

- Osiem gwinei, milordzie.

- Czy pan sądzi, że tylko tyle jest wart?

- Wątpię, by ktoś dał za niego więcej niż dwadzieścia.

Może zalegać mi w sklepie przez długi czas. Cornelius Lens był znany ze swych miniatur i te szybko się sprzedawały, milordzie. Ale portrety tego rodzaju?... Cóż, nie są szczególnie poszukiwane.

- Czy panna Lens przyniosła coś jeszcze?

- Dwa obrazy w ramach, milordzie, których nie da się sprzedać. Odkupiłem je tylko z litości.

- Chciałbym je zobaczyć.

Były to doskonałe szkice włoskich rzeźb i markiz domyślił się, że Cornelius Lens malował je w czasie swego pobytu za granicą.

- Ile pan za nie zapłacił?

- Dwie gwinee, milordzie - pokornie przyznał się właściciel.

To oznaczało, że Vanessa miała tylko dziesięć gwinei, za które musiała utrzymać siebie i Dorcas.

Doskonale pamiętał chwilę, gdy przyznała się do braku pieniędzy. Jakże ucieszyło ją zlecenie na odnowienie miniatur od księcia i od niego.

Przeklinał w duchu, że nie zapłacił jej za zrobioną pracę. Ale wtedy był pewien, że gdy opuści Ruckford Park, nie będzie już musiała martwić się o pieniądze. Dziesięć funtów i dziesięć szylingów!

To było bardzo mało. Pocieszał się jednak, że nie zdąży popaść w biedę do czasu, gdy on ją odnajdzie.

Markiz kupił szkice i portret pani Lens, płacąc żądane sumy pod warunkiem, że będzie niezwłocznie powiadomiony, gdyby Vanessa zjawiała się znów w sklepie.

- Proszę zapamiętać - rzekł zdecydowanie - jeśli panna Lens przyniesie coś do sprzedania, to zapłaci pan dużą sumę. Proszę powiedzieć, że nie ma pan tyle pieniędzy przy sobie i poprosić, by przyszła później. Przez ten czas powiadomi mnie pan.

- Rozumiem, milordzie.

Właściciel był tak zadowolony ze sprzedania obrazów, że gotów był obiecać wszystko.

Markiz był przekonany, że wcześniej czy później Vanessa będzie musiała wrócić do Islington, gdzie ma przynajmniej dach nad głową.

Nakazał więc eks-policjantowi obserwację domu i natychmiastowe powiadomienie go, gdyby ktoś się pojawił.

Kilka pierwszych dni po zniknięciu Vanessy markiz spędził na poszukiwaniach, mając nadzieję, że sam ją odnajdzie. Później zaczął się niepokoić.

Pierwszy raz w życiu poczuł się niespokojny o kobietę nie dlatego, że go odrzuciła, ale dlatego, że chciał ją chronić przed wszystkim co złe i przykre.

Nigdy przedtem nie chciał się nikim opiekować ani przejmować na swoje barki cudzych kłopotów.

Myśl o borykaniu się Vanessy z trudnościami sprawiała mu ból doprowadzający prawie do szaleństwa.

Jak mogła poradzić sobie w Londynie? Była tak młoda i niedoświadczona, a miała u boku tylko starą już służącą.

Widział w myślach napastujących ją mężczyzn pokroju sir Juliusa Stone'a. W takich chwilach wstawał z łóżka i zaciskając pięści nerwowo chodził po pokoju, jakby miał zamiar walczyć z każdym, kto ją niepokoi.

Wyobrażał sobie ją bezbronną w najbardziej przerażających sytuacjach, gdy nikt nie usłyszy wołania.

Jej krzyk, który wówczas słyszał w pracowni, stale powracał do niego, narastał i zagłuszał wszystko dookoła.

Każdego ranka wstawał teraz wcześniej niż zwykle i jeździł konno po ulicach z nadzieją, że ujrzy gdzieś Dorcas czy Vanesę. Może któraś z nich wyjdzie po zakupy lub na spacer do spokojniejszych północnych części Londynu albo nad rzekę.

Czasem dostrzegając postać przypominającą Vanesę, czuł przyspieszone bicie serca. Po chwili wiedział, że znów się pomylił.

Gdy dni mijały bez żadnych wieści o niej, a eks-policjant ciągle nie przynosił nic nowego, markiz począł się naprawdę niepokoić.

Myśląc, że może uległa wypadkowi, objechał wszystkie szpitale. Był przerażony warunkami, jakie w nich panowały, i z ulgą stwierdził, że Vanessy tam nie ma.

Odwiedzał klasztory, pytając, czy nie pojawiła się Dorcas lub Vanessa. Wszędzie czekał go jednak zawód. Znowu z poczuciem bezradności spędzał kolejną noc spacerując po swej sypialni.

- Bardzo pan schudł, milordzie - zagadnął pewnego dnia lokaj. - Pana płaszcze nie leżą już tak dobrze jak dawniej.

- To nieważne! - odparł markiz, a Jarvis ze zdumieniem patrzył na swego pana.

Nigdy nie zdarzyło się, by lord nie przywiązywał wagi do swego wyglądu.

Po upływie trzech tygodni od zniknięcia Vanessy, markiz uświadomił sobie z całą jasnością i wreszcie przyznał się sam przed sobą, że kocha ją tak, jak nie kochał dotąd żadnej kobiety.

Nigdy nie wysilił się, by powiedzieć kobiecie „kocham cię”, nawet Vanessie. Do tej pory czuł, że mu jej brak, lecz teraz już wiedział, że to miłość!

Ten ból i cierpienie, które nosił w sercu, były czymś nowym.

Zawsze wierzył, że miłość jest uczłą zmysłów, pożądaniem, które można nasycić, namiętnością - a ta szybko wędnie.

Uczucie, jakie miał dla Vanessy, było jednak czymś zupełnie innym.

Pragnął jej całym sobą, zarówno duchowo, jak i fizycznie, przy czym było to uczucie głębokie i wszechogarniające.

- Jak możesz tak robić, kochanie? - pytał głośno, chodząc niespokojnie po swej sypialni. Wiedział, że sam jest temu winien. To on zgasił radość w jej twarzy i blask jej oczu.

Vanessa kochała go, a on nie odpłacił jej miłością, lecz czymś, co w swej niewinności musiała uznać za nieczyste.

Po raz pierwszy w życiu markiz uznał, że jest człowiekiem bez zasad, godnym pogardy.

Teraz już wiedział, że odkrył najpiękniejszą rzecz. Czystą i bezgraniczną miłość, lecz nie docenił jej wartości.

On, który uważał się za znawcę dzieł sztuki, nie rozpoznał bezcennej perły, nawet wtedy, gdy miał ją w ręku.

- Dureń! Dureń! - głośno wykrzykiwał w ciemności i wiedział, że nie zazna szczęścia, dopóki nie odnajdzie Vanessy.

Wydawało mu się nieprawdopodobne, aby dni mogły ciągnąć się tak wolno. Jego, który zawsze odnosił sukcesy i miał wszystko, czego zapragnął, teraz spotykały same porażki.

Pożyczył od księcia miniaturę przedstawiającą Vanesę, w nadziei że to ułatwi eks-policjantowi poszukiwania.

Lecz kiedy nadal nie było żadnych rezultatów, markiz sam zaczął odwiedzać miejsca, gdzie, jak sądził, Vanessa mogła robić tanie zakupy.

Poszedł na bazar Pantheon, gdzie bywały farby i inne materiały malarskie, wzbudzając zaciekawienie kobiet kupujących tkaniny i słomkowe kapelusze.

Chodził wąskimi ulicami, mijając handlarzy, którzy licytując się, próbowali zachęcić klientów, by kupowali właśnie u nich. Rozmawiał ze sprzedawcami ostryg i ślimaków, a nawet z wykrzykującymi handlarkami, które zachwalały swój towar.

Gdzie może być Vanessa?

Znalazł się jakby przed murem, którego nie mógł ani przebić, ani przeskoczyć.

Przyjaciele uznali, że jest coś niezwykłego w tym, że nie bywa na żadnych proszonych przyjęciach, nie można go również spotkać w White czy innych klubach.

W Izbie Lordów pojawiał się wtedy, gdy jego obecność była niezbędna. Obawiając się o Vanesę, cały czas poświęcał na poszukiwania jej i jednocześnie stawał się coraz bardziej zdesperowany.

Gdy książę Walii dowiedział się o dziwnym zachowaniu markiza, postanowił poznać przyczyny jego odosobnienia.

Przesłał więc markizowi zaproszenie na kolację na następny wieczór, wraz z prośbą, by towarzyszył mu później w Vauxhall Gardens. Książę chciał obejrzeć tam nocny lot balonu.

Jego książęca mość ułożył list w taki sposób, że praktycznie był to królewski rozkaz, którego markiz nie mógł nie usłuchać,

W nie najlepszym nastroju udał się więc do Carlton House. Gdy tylko przybył, przeszedł prawie przesłuchanie, co nie poprawiło mu humoru.

Na szczęście książę rzadko interesował się dłużej kimkolwiek poza samym sobą i szybko skierował swoją uwagę na jakieś nowe nabytki ze swej kolekcji.

Markiz spotkał wielu przyjaciół, wkrótce więc odprężył się i rozerwał, uczestnicząc w ciekawej dyskusji, chociaż w głębi duszy nie opuszczała go myśl o Vanessie.

Po przyjęciu wszyscy wyruszyli do Vauxhall.

Słynne ogrody Vauxhall były przez wiele lat miejscem rozrywek. Nowy właściciel Jonathan Tyers w 1728 roku rozbudował je i upiększył.

Hogarth, który mieszkał w pobliżu, zaproponował, iż na bramie wejściowej namaluje wspaniały ridotto al fresco (Fresk przedstawiający zabawy, bal maskowy.). Jednak główną atrakcję stanowiły pawilony, także ozdobione ręką tego słynnego artysty.

W rotundzie umieszczono jego obrazy przedstawiające Henryka VIII i Annę Boleyn. Ponadto pozwolił by Francis Hayman skopiował jego obraz „Cztery Pory Dnia”.

Te wesołe, żywe i kolorowe obrazy dodawały uroku altanom urządzonym we wschodnim stylu i przyciągały coraz to nowych gości.

Tyres wzniósł też posąg Handla i poprawił oświetlenie, tak że 5000 lamp uczyniło Vauxhall jednym z najlepiej oświetlonych miejsc Londynu.

Narastająca z każdym rokiem liczba atrakcji ściągała tłumy. Bywał tu nawet książę Walii wraz ze swą żoną.

Książę miał własny pawilon z pływającym wjazdem. W środkowej części ogrodu stała podobna do chińskiej pagody altana dla orkiestry, zwieńczona pióropuszem księcia.

Wokół rotundy na planie półkola rozmieszczone były altany, każda wyposażona w stół i krzesła.

Każda ozdobiona była obrazem malowanym przez Haymana i miała własną nazwę związaną z treścią obrazu.

Wśród nazw były takie jak: Smok, Królewska Głowa, Królewska Altana czy Monarszy Klejnot.

Markiz wielokrotnie odwiedzał Vauxhall i na myśl o tym, że kolejny raz będzie musiał wysłuchać śpiewów primadonny, ziewał z nudów. Wolałby iść raczej do opery.

Nie miał także ochoty jeść słynnych i astronomicznie drogich plastrów „szynki Vauxhall”. Mówiono, że kucharze potrafią krajać tak cienkie płyty, iż na pokrycie 11 akrów ogrodu zużywają tylko jedną szynkę.

Skoro jednak książę postanowił bawić się tego wieczoru, markiz uznał, że nie może być małoduszny i odmawiać księciu swego towarzystwa.

Jego książęca mość wraz z orszakiem został przywitany przez pana C. H. Simpsona - mistrza ceremonii.

Simpson był niski, łysy, ubrany w jedwabne pończochy, obcisłe pantalone, kusy fraczek i cylinder. Lubił ostentację i chodził z dumnie uniesioną głową. Z wielką pompą nosił laskę zakończoną srebrną gałką.

- Niektórzy nazywają go „ten uśmiechnięty dureń” - powiedział książę do markiza.

Obfitość kolorowych lampek imitujących kwiaty, którymi ozdobiono drzewa, dźwięki muzyki, hałas i śmiechy tłumów sprawiały wrażenie powszechnej wesołości.

Sztuczne ognie należały do zwykłych atrakcji ogrodu.

W powietrzu jak meteory bez przerwy pojawiały się płonące korony, serca, inicjały i inne figury. Jednak nocny balon był zupełną nowością.

Markiz pamiętał, jak dwa lata temu równie wielką furorę wywołała wiadomość, że francuski aeronauta monsieur Garnerin będzie demonstrował swój nowy wynalazek, spadochron.

Wynalazca nie chciał wtedy narażać własnego życia i najpierw na spadochronie z balonu wyrzucił swojego ulubionego kota.

Kot wylądował szczęśliwie, co komentowano w licznych sensacyjnych artykułach w prasie.

Wówczas Garnerin postanowił, że sam wypróbuje swój spadochron i wylądował bezpiecznie w pobliżu kościoła św. Pankracego.

Teraz zamierzał pokazać swój nocny balon, a pomysł ten zainteresował księcia.

- Wydaje mi się, że nie zobaczymy niczego nowego - powiedział półgłosem markiz do księżnej Devonshire.

Uśmiechnęła się i odrzekła:

- Gdy stajemy się starsi, bawią nas dziecięce rozrywki. Widząc wyraz jego twarzy, spytała cicho:

- Co ci się stało, Danien? Nigdy nie widziałam cię tak przygnębitego.

- Opowiem przy innej okazji - odrzekł. - Nie teraz.

- Zmieniłeś się - stwierdziła. - Przede wszystkim schudłeś. A poza tym nie widziałam cię jeszcze wyzbytej dumy i poczucia wyższości.

Jej spostrzegawczość zaskoczyła markiza, a ponieważ zawsze lubił księżną, odrzekł:

- Tak się złożyło, że po raz pierwszy w życiu jestem naprawdę zaniepokojony.

- Czy to możliwe, by odrzuciła cię jakaś wyjątkowa kobieta?

Nie odpowiedział, a ona dodała cicho:

- Nie chcę ci dokuczać. Przykro mi, jeśli coś ci się nie udało. Mam nadzieję, że w przyszłości będzie lepiej.

- Mogę się o to tylko modlić! - powiedział z nutą szczerości w głosie, która księżną zdumiała.

Podczas rozmowy usłyszeli z rotundy dźwięk dzwonu, obwieszczający początek widowiska. Markiz ruszył w kierunku tłumu, który napływał ze wszystkich stron ogrodu na trawnik przed podium dla orkiestry.

Rzęsiście oświetlony balon czekał gotowy do startu: Pan Garnerin zamierzał wypuścić go w niebo jeszcze tego wieczoru.

Markizowi nie wydawało się, by ten balon różnił się od wszystkich innych, które widział. Wiele razy oglądał puszczanie balonów w Hyde Parku. Nawet w dzieciństwie widział balon Vincenta Lunardis, na wystawie w Pantheonie w 1784 roku.

Zauważył, że wszyscy wokół są wyjątkowo podnieceni, widząc kolorowy balon ozdobiony powiewającymi chorągiewkami.

Orkiestra grała utwory harmonizujące z nastrojem zgromadzenia, a goście w pawilonach, z kielichami w rękach, uważnie patrzyli w stronę balonu:

Nagle balon został uwolniony i wśród okrzyków radości z niespodziewaną szybkością poszybował do góry.

Gdy był już wysoko nad ziemią, zaczęły się zapalać przymocowane doń sztuczne ognie. Wypełniały niebo fontannami złotych, czerwonych i niebieskich ogni spływających w kierunku rozbawionej widowni.

Markiz ziewnął.

Po czym ruszył w kierunku Pawilonu Królewskiego. Przepychanie się przez tłum było trudne, więc odwrócił się i jeszcze raz popatrzył na balon.

Teraz zapalił się on od sztucznych ogni i wyglądał na ciemnym niebie jak płonąca kula.

- Wiesz, co ona mi powiedziała? - rzekła stojąca za nim kobieta do swej przyjaciółki. - „Jeśli spojrzysz mu w oczy, zobaczysz, czy cię kocha!”

Kobiety zaśmiały się. - Czy ona mówiła o prawdziwych oczach, czy o oku, które namaluje?

- Oczywiście, że o namalowanym. Dlatego zapłaciłam jej pięć szylingów. W tym, co mówi, może coś być.

- Wierzę ci, Letty.

Dotychczas słuchał tej rozmowy jednym uchem, ale nagle stał się czujny!

Obejrzał się i popatrzył na stojące za nim kobiety. Były to dostatnio ubrane, dystyngowane damy, a towarzyszyło im dwóch dżentelmenów.

W ręku jednej z nich dostrzegł arkusz papieru. Uniósł kapelusz.

- Proszę mi wybaczyć, madame - powiedział - ale słyszałem, jak pani mówiła o obrazie oka. Czy byłaby pani tak łaskawa powiedzieć mi, gdzie go pani kupiła. Kobieta spojrzała na niego z niepokojem. Zdał sobie sprawę, że obawia się zaczepek obcych mężczyzn.

Zapewne jednak elegancja markiza uspokoiła ją, gdyż odrzekła:

- To nowość w Vauxhall, sir. W ostatniej altance perska artystka maluje za pięć szylingów portrety oczu.

Podala mu do obejrzenia arkusz papieru.

Stwierdził, że szkic oka, chociaż jeszcze nie pokolorowany, niemniej był wyjątkowo celnie uchwycony.

- Ostatnia altanka - powtórzył. - Bardzo pani, dziękuję za informację.

Uklonił się i szybkim krokiem ruszył w tym kierunku. Nagle nuda i ociężałość zniknęły i poczuł, jak wraca do życia. Cały aż drżał z niecierpliwości.

Końcowe pawilony wypełnione były jedzącymi i pijącymi ludźmi. Ostatnia zaś altanka była zasłonięta.

Na zewnątrz wisiało ogłoszenie o treści: Madame Shahriza, perska wróżka namaluje oko tych, którzy szukają

powodzenia i miłości. Gdy czytał ogłoszenie, zasłony rozsunęły się i ze środka wyszła radośnie chichocząca para.

- To przyniesie nam szczęście! Wiem, że tak będzie! - mówiła w podnieceniu jakaś kobieta.

- Jak długo mogę patrzeć w twoje oczy - odrzekł mężczyzna - nie potrzebuję oglądać malowidła!

Kobieta sprzeczała się, ale markiz już nie słuchał. Odchylił zasłonę i wszedł do środka.

W maleńkim pomieszczeniu, które niegdyś było kawiarenką, na środku stał stół. Za nim siedziała kobieta w jaszma, który, zakrywał jej twarz, widoczne były tylko oczy.

Pani Shahriza cała pozostawała w cieniu, gdyż światło stojących na stole, osłoniętych od tyłu dwóch lampek oliwnych oświetlało tylko tę część stołu, przy której siadali klienci.

Na stole leżały arkusze grubego kartonu pocięte w kwadraty, paleta, pędzle i kilka ołówków.

W chwili gdy markiz wszedł, artystka coś rysowała. Nie podnosząc głowy rzekła:

- Proszę usiąść na krześle, tak by światło padało na twarz.

Markiz wykonał polecenie.

Skończyła szkic i podniosła głowę. Wystraszyła się wyraźnie, gdyż jej długie, cienkie palce znieruchomiały. - Chciałbym popatrzeć w moje własne oko - rzekł markiz.

Zapadła cisza. Wiedział, że Vanessa nie potrafi wykrztusić słowa:

Po chwili powiedział cicho:

- Jak mogłaś się tak ukryć, Vanesso? Przez ostatnie tygodnie traciłem zmysły!

Gdy nie odpowiedziała, dodał:

- Tu nie możemy rozmawiać. Weź płaszcz, Vanesso. Mój powóz czeka.

Myślał, że będzie się opierać, ale ona, jakby rozumiejąc, że to nie ma sensu, powoli wstała od stołu i drżącymi rękami chowała do pudełka paletę i farby.

Markiz patrzył w milczeniu. Gdy odwróciła się, by wziąć płaszcz, wstał i nałożył go na jej ramiona.

- Z pewnością nie jesteś sama?

Wtedy odezwała się pierwszy raz.

- Zawsze ze mną... przyjeżdża Dorcas, ale dzisiaj... czuła się źle. Więc skłoniłam ją... by została w domu.

- Zawiozę cię do niej - powiedział. Wyszli z altany w tłum ludzi wpatrzonych w to, co pozostało z balonu. Teraz na tle nieba wyglądał jak mały skrawek płonącego papieru.

Markiz ujął Vanessę pod ramię i poprowadził w kierunku Water Gate. Była to brama dla publiczności znajdująca się w pobliżu pawilonu księcia.

Wyszli z ogrodów i doszli do miejsca, gdzie za powozami królewskimi ciągnącymi się aż do Kennington Lane czekał powóz markiza.

Na jego widok służący zeskoczył z kozła i otworzył drzwi. Gdy wsiedli, zapytał:

- Gdzie życzysz sobie jechać?

- Museum Lane, numer dwa - odrzekła cicho. Powóz ruszył. Powoli, drżącymi rękami zsunęła kaptur z głowy i odpięła jaszczak zasłaniający twarz.

Spojrzała na markiza. W świetle latarni dostrzegła w jego oczach cierpienie.

Przez chwilę wpatrywał się w jej bladą twarz.

- Czy... mnie... szukałeś?

- Szukając cię, przemierzyłem Londyn z jednego końca w drugi! Jak mogłaś zrobić coś równie okrutnego. Coś tak diabelskiego jak opuszczenie mnie w ten sposób.

- Mój pobyt w... Ruckford Park... szkodził ci.

- Czyżbyś myślała wyłącznie o mnie?

- Tak... ale też nie mogłam spełnić... twojej prośby.

- Masz prawo do takiej decyzji. Nie powinienem był cię prosić o coś takiego. Jest mi wstyd, Vanesso, naprawdę bardzo się wstydzę, że tego od ciebie żądałem.

Dostrzegł w jej oczach zdziwienie. Nie potrafił się już powstrzymać i ujął jej rękę w swe dłonie.

- O kochana! - wykrzyknął łamiącym się głosem. - Zostań moją żoną... ja nie potrafię bez ciebie żyć.

Vanessa zdumiona spytała szeptem:

- Dlaczego teraz... prosisz mnie o to?

- Gdyż cię kocham! - odrzekł. - Nie wiedziałem, że można tak pokochać. Pozostawiając mnie, zadałaś mi męki i prawie mnie zniszczyłaś, Vanesso. Moim jedynym pragnieniem jest to, byś była ze mną i została moją żoną!

Patrzyła na niego zdziwiona.

- A ja... myślałam - wyjąkała po chwili - że ty miałeś... poślubić kogoś innego.

- Mogę poślubić tylko ciebie. Nie potrafiłbym być mężem żadnej innej kobiety.

Widział, jak radość i szczęście rozjaśniają jej oczy i zmieniają twarz.

Wtedy objął ją i poszukał jej ust.

Z początku całował bardzo delikatnie, pilnując się, by jej nie wystraszyć.

Gdy poczuł, że mu ulega i ogarnia ich ta sama magiczna ekstaza co wtedy na tarasie w Ruckford Park, jego pocałunki stały się śmielsze, gorętsze i pożądliwe.

Tulił ją do siebie tak mocno, że z trudnością mogła oddychać. Gdy w końcu podniósł głowę, Vanessa pomyślała, że wygląda on zupełnie inaczej niż dotychczas.

- Kocham cię! Mój Boże, jak ja cię kocham! Wybacz mi, Vanesso, wszystko, co mówiłem, i to, że cię obraziłem. Byłem takim głupcem, że nie rozumiałem, iż nasza miłość jest

najcudowniejszym, najcenniejszym uczuciem, jakiego człowiek może doznać. - Czy ty... mówisz... to naprawdę?

- Kocham cię, najdroższa, lecz do chwili, gdy cię utraciłem, nie wiedziałem, ile naprawdę dla mnie znaczysz. Teraz cię odnalazłem. Jesteśmy znów razem i wszystko będzie piękne i doskonałe!

Poszukaj ustami jej ust i znów obsypał ją pocałunkami. Poczowała nieziemskie uniesienie, była jak w ekstazie.

Gdy zorientował się, że zbliżają się do British Museum, powiedział:

- Mam już specjalne zezwolenie. Moja najmilsza, czy zostaniesz moją żoną jutro?

- Ju... tro?

Z trudem powtórzyła to słowo. Markiz, widząc jej radość, wiedział, że Vanessie trudno zebrać myśli, gdy on trzyma ją w ramionach.

- Jesteś piękna! - rzekł miękko. - Piękniejsza niż kiedykolwiek. - Po chwili zapytał z niepokojem: - Czy jesteś bezpieczna?

Odsunął woalkę kryjącą jej włosy, a ich kasztanowozłoty połysk rozświetlił otaczający mrok.

Dotknął ich delikatnie, po czym ujął ją za podbródek i uniósł jej twarz ku swojej.

- Powiedz mi - powiedział głębokim głosem - czy tęskniłaś za mną?

- Bez ciebie... chciałam... umrzeć!

- Moje biedactwo! Moja kochana!

- Ale musiałam opiekować się... Dorcas. Ona jest... chora... i nie służy jej pensjonat, w którym mieszkamy.

- Rano niezwłocznie zabiorę was stamtąd. Czy może chcesz wyprowadzić się dzisiaj?

- Nie możemy... ruszać Dorcas.

- Rozumiem. Ale nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Czy jesteś bezpieczna?

Skinęła głową.

- Czasami byłam wystraszona, ale Dorcas... opiekowała się mną i miałam trochę... pieniędzy.

- Wiem - odrzekł. - Portret twojej matki czeka na ciebie u mnie w domu.

- O! Tak się cieszę! - wykrzyknęła. - Nie chciałam go stracić.

- Tak jak ja nie chciałem stracić ciebie! Jak znalazłaś się w Vauxhall? To ostatnie miejsce, w którym spodziewałem się ciebie spotkać.

- Kiedyś proszono ojca, by odnowił obrazy Haymana, uszkodzone w czasie bójki w altance - odrzekła. - Gdy praca była skończona, pan Simpson odwiedził nas. Trzy tygodnie temu poszłam do niego i powiedziałam, że muszę zarobić trochę pieniędzy. Okazał się bardzo uprzejmy i zaproponował, bym wykorzystała jedną z altan. Mogłam malować portrety oczu tych, którzy zechcą za to zapłacić.

- Bardzo dobry pomysł - stwierdził markiz - ale nie dla ciebie, kochanie, nie dla ciebie!

- Nikt nie mógł widzieć mojej twarzy, skoro nosiłam jaszczak, a pan Simpson pożyczył mi trochę pieniędzy na zakup reszty stroju.

- Przebranie było bardzo pomysłowe - pochwalił markiz - ale nie mogę znieść myśli, że chodziłaś do ogrodów każdego wieczoru i byłaś wystawiona na spojrzenia obcych mężczyzn.

- Myślę, że większość ludzi... obawiała się... bym nie spojrziała na nich „złym okiem” - powiedziała z bladym uśmiechem.

- To było śmiałe posunięcie, może nawet zbyt śmiałe. A teraz, gdy cię odnalazłem, skończą się obawy, trudności i

nieszczęścia. Nie będzie już więcej strasznych, bezsennych nocy, podczas których zamartwiałem się o ciebie.

- Czy naprawdę... tak bardzo obawiałeś się... o mnie? Mając w pamięci przeżyte tortury, uśmiechnął się, tak absurdalne wydało mu się to pytanie.

- Zapomnijmy o tym. Jutro zostaniesz moją żoną i będziemy szczęśliwi przez resztę naszego życia.

Vanessa spojrzała w bok, a on zapytał niecierpliwie:

- Poślubisz mnie?

- Jeszcze... nie wiem.

- Co masz na myśli?

- Często myślałam... o tym... co mi mówiłeś! Powiedziałeś, że twój tytuł i ranga... nakładają pewne wymagania i że możesz poślubić tylko kogoś... z rodziny, która dorównuje twojemu pochodzeniu i pozycji.

- Mówiłem bzdury! - wykrzyknął ze złością. - Byłem zarozumiały, nadęty poczuciem własnej ważności! Powinnaś zapomnieć o tym, co mówiłem. Pogardzam sam sobą, że postępowałem tak niedorzecznie!

Uśmiechnęła się mimo woli.

- Jesteś bardzo dla siebie surowy.

- Staram się być sprawiedliwy - odparł prawie z gniewem.

- Jeśli zechcesz za mnie wyjść, Vanesso, będę najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Żadna kobieta nie będzie wspanialszą żoną niż ty! Boję się tylko, czy na to zasługuję!

- To cudowne... że mówisz mi... takie rzeczy - szepnęła.

Markizowi wydawało się jednak, że jakiś cień przesłania jej radość.

- Porozmawiamy o wszystkim jutro, kochanie. Jeszcze ci tylko powtórzę, że chcę, byś została moją żoną i nic ani nikt mnie przed tym nie powstrzyma! Teraz już wiem, jak wygląda

życie bez ciebie. Nie potrafię cieszyć się, gdy ciebie nie ma obok.

Mówił z taką mocą i oddaniem, że Vanessa nie wątpiła w szczerść jego słów. Powiedziała jednak z wahaniem:

- Ponieważ... kocham cię, więc nie chcę... w żaden sposób cię krzywdzić. Dlatego właśnie... wyjechałam z Ruckford Park,

- Wiem o tym - odrzekł. - I jeśli w przyszłości jakaś wścibska dama spróbuje siać pomiędzy nami niezgodę, obiecuję, że się z nią rozprawię. Jesteś moja, Vanesso. Zawsze nią byłaś, od chwili naszego pierwszego spotkania!

Mocniej objął ją ramieniem i mówił dalej:

- Los nas zetknął ze sobą, a teraz pomógł mi cię odnaleźć. Proszę, kochana, zostań moją żoną, jeśli nie chcesz, bym był bardzo nieszczęśliwy.

Mówił to tak, że bezwiednie przytuliła się do niego i podniosła głowę.

Ich usta zetknęły się. Z trudem uświadomili sobie, że powóz już się zatrzymał.

Gdy lokaj otworzył drzwi, markiz odsunął się od Vanessy z ociąganiem.

- Zatem do jutra, ukochana!

Nim wysiadła z powozu, spojrzała na niego, a on zobaczył jej szczęśliwe oczy.

Odprowadził ją na chodnik.

Znajdowali się przed wysokimi, zniszczonymi budynkami w pobliżu British Museum, gdzie mieściły się tanie pensjonaty.

Markizowi trudno było się pogodzić z tym, że Vanessa mieszka w takim miejscu i przebywa w tak nędznym otoczeniu.

Chciał niezwłocznie zabrać ją stąd, zawieźć do Ruckford House i być pewnym jej bezpieczeństwa. Wiedział jednak, że

ona nigdy nie zgodzi się opuścić Dorcas, nie będzie też chciała przewozić jej w chwili, gdy stara kobieta jest chora.

- Przyjadę po ciebie jutro o jedenastej - powiedział. - Czy wystarczy ci czasu, by się spakować?

Uśmiechnęła się.

- Nie mam nic do pakowania: - A więc do jutra. Do tego czasu, moje kochane maleństwo, zostawiam ci serce na przechowanie.

Uniósł jej rękę do ust, a gdy znów poczuła ciepło jego warg, przebiegł ją dreszcz zachwyty.

Wreszcie Vanessa pożegnała się i weszła do pensjonatu.

Unosząc spódnicę, pobiegła zakurzonymi schodami na trzecie piętro. Otworzyła drzwi małego, niskiego pokoju, który dzieliła z Dorcas. Wewnątrz tego obskurnego pomieszczenia, wyłożonego odklejającą się tapetą, stały dwa żelazne łóżka.

W jednym z nich leżała Dorcas, a obok stała zapalona świeca.

- Och Dorcas! Dorcas!

- Co się stało?

- Znalazł mnie! Jego lordowska mość znalazł mnie! - wykrzyknęła pełnym radości głosem. - On mnie kocha, Dorcas, i prosił, bym za niego wyszła! Ma specjalne zezwolenie. Nie mogę mu odmówić, chociaż wiem, że powinnam.

- Czy poprosił panienkę o rękę?

- Błagał! Pragnie mnie, a ja jego, bardziej niż czegokolwiek na świecie! Dorcas westchnęła z ulgą.

- Dzięki Bogu! Dzięki Bogu, panienko! Moje modły zostały wysłuchane!

Rozdział 8

Markiz wszedł do Ruckford House z takim wyrazem twarzy, że wszyscy patrzyli na niego z niepokojem i woleli zejść mu z drogi.

Służba wiedziała, że ich pan jest na granicy załamania, ale nikt nie pamiętał go takim ponurym i nieprzystępnym jak w tej chwili.

Wręczył kapelusz i rękawiczki kamerdynerowi i bez słowa poszedł do biblioteki. Tam opadł ciężko na fotel, wspierając głowę na ręce.

Kilka minut później kamerdyner wszedł i zapytał zatroskanym głosem:

- Alfonse pyta, milordzie, co życzyłby pan sobie zjeść.

- Nic! - odrzekł markiz.

- Czy mogę panu zaproponować coś smacznego i lekkiego, milordzie? Nie jadł pan nic całą dobę!

- Nie jestem głodny!

- To błąd, jeśli wolno mi tak powiedzieć, milordzie, by pościć tak długo.

- Zostaw mnie w spokoju!

Kamerdyner, nie mogąc zrobić niczego więcej, cicho wyszedł, zamykając drzwi.

Markiz siedział i nie widzącymi oczami patrzył przed siebie.

Ponowne zniknięcie Vanessy było dla niego zupełnie niezrozumiałe.

Poprzedniego dnia przybył na Museum Lane, tak jak się umówili, o jedenastej. Przyjechał faetonem z zamiarem zabrania Vanessy na Berkeley Square. Za nimi miał jechać powóz wiozący Dorcas wraz z bagażami.

Uzgodnił już z wikarym w kościele przy placu św. Jerzego, że tuż po lunchu pojawi się ze swą wybranką i na mocy specjalnego zezwolenia pastor udzieli im ślubu.

Markiz zażyczył sobie, by ołtarz ozdobiono białymi kwiatami.

Cała ceremonia miała być cicha i takiej właśnie oboje pragnęli.

W tym dniu nie chciał narażać Vanessy na spojrzenia i niewątpliwie krytyczne uwagi swoich przyjaciół.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że jego ślub wzbudzi powszechne zainteresowanie.

Skoro tyle czasu unikał małżeństwa, choć tak wytrwale polowało na niego tylu ambitnych i znakomitych rodziców panien na wydaniu, fakt poślubienia kogoś nieznanego i mającego nieco podejrzanych przodków niewątpliwie wywoła niekorzystne komentarze.

Zastanawiał się nad tym tylko ze względu na Vanesę, sam nie przywiązując do tego najmniejszej wagi.

Miłość do niej zniszczyła cały jego snobizm i próżność. Pragnął jedynie dać jej szczęście i wiedział, że z nim będzie szczęśliwa.

Szkoda, pomyślał, że artyści, a szczególnie miniaturzyści, nie cieszyli się dobrą sławą w kręgach towarzyskich.

Absurdalne aspiracje Richarda Coswaya i jego skandaliczny i rozwiązły styl życia były solą w oku tych, którzy akceptowali różne łajdactwa ludzi dobrze urodzonych.

Artystów uważano za rozwiązłych już od niepamiętnych czasów i nikt nie zastanawiał się nad prawdziwością tego twierdzenia. Książę Walii, czyniąc Coswaya swym przyjacielem i pokazując się z nim, utorował mu drogę do wyższych sfer. W rezultacie prywatne życie malarza stało się przedmiotem zainteresowania złotej młodzieży.

- Dla mnie to nie ma znaczenia - mówił sobie markiz. - Vanessa jest inna, a jej ojciec prowadził nienaganny tryb życia.

Nie można było tego powiedzieć o jej dziadku, Peterze Paulu Lensie. Chociaż fakt, że wydalono go z Irlandii i jego satanistyczna działalność w Hellfire Club mogą być w Londynie zupełnie nieznane.

Nie dało się jednak ukryć, że czekało ich wiele trudności. Musiał być przygotowany do walki, by chronić żonę przed docinkami i zniewagami ze strony kobiet z jego sfery, które z pewnością będą czekały na każdą dogodną okazję.

Markiz wiedział jednak, że ma bliskich przyjaciół, na których można polegać. Należały do nich z pewnością księżna Devonshire i hrabina Bessborough.

Wiedział też, że zawsze może liczyć na poparcie księcia Walii, bez względu na to, co robi czy kogo poślubi.

Pojechał więc po Vanessę zupełnie spokojny, czując nieznane wcześniej, trudne do opisanego szczęście.

Wydawało mu się, że nie dosłyszał, gdy właścicielka pensjonatu, agresywna kobieta o prostackich manierach powiedziała mu, że Vanessa wraz ze służącą już wyjechała.

- Nie mogę w to uwierzyć! - wykrzyknął. Kobieta roześmiała mu się w twarz.

- Niech pan wejdzie i sam se popatrzy, paniczku! - szdyżła. - Na trzecim, z tyłu. A jeśli pańska damulka zostawiła nieporządek, to nie moja wina!

Markiz, myśląc, że to kłamstwo, poszedł na trzecie piętro i rzeczywiście zastał tam pusty pokój.

Z odrazą i przerażeniem popatrzył na dwa żelazne łóżka, odpadającą tapetę i gołą podłogę.

Nie mógł sobie wyobrazić doskonale pięknej Vanessy w takim miejscu.

Wiedział, że opuściła swój dom tylko dlatego, by, jak wierzyła, nie wyrządzić mu krzywdy.

Mając nadzieję, że zastanie ją w domu, pojechał do Islington. Może Vanessa uważała, że pensjonat jest złym miejscem do rozpoczęcia nowego życia?

Domek w Islington wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, gdy widział go po raz ostatni.

Drzwi i okna były pozamykane. Gdy wszedł do wnętrza przez okno, nie zauważył, by cokolwiek przestawiono czy zabrano.

Zaczaj niespokojnie obliczać, ile pieniędzy pozostało Vanessie.

Z pewnością zarobiła coś niecoś w Vauxhall. Był jednak pewien, że Simpson, jako człowiek interesu, obciążył ją opłatami za wynajęcie altany,

Z pewnością ze swoich dochodów spłaciła dług za perską suknię i jaszmak.

Szybko powrócił na Berkeley Square, mając nadzieję, że Vanessa opuściła pensjonat z zamiarem udania się wprost do niego.

Tu jednak jej także nie zastał!

Cały dzień gorączkowo poszukiwał Vanessy w miejscach, gdzie, jak podejrzewał, mogła się ukryć.

Chociaż wiedział, że to beznadziejne, poszedł tego wieczoru do Vauxhall Gardens. Zastał tylko pustą altanę i pana Simpsona, który nie miał pojęcia, dlaczego Vanessa się nie pojawiła.

Markiz spędził bezsenną, męczącą noc, spacerując po sypialni, prześladowany wspomnieniami własnych słów.

To one spowodowały, że Vanessa wahała się, nim zgodziła się go poślubić.

- Jak mogłem być tak niewiarygodnie pompatyczny - pytał sam siebie - tak absurdalnie zarozumiały, nie mówiąc już o tym, że ją obraziłem?

Chętnie oddałby swoją pozycję i fortunę za to, by wziąć ją w ramiona i wytłumaczyć, że nic się nie liczy, oprócz ich miłości.

- Kocham cię! Kocham cię! - chciał jej teraz powtarzać.

Widział w myślach jej twarz, z której zniknęła cała radość, gdy powiedział, że nie może się z nią ożenić!

Ponownie przeszukiwał Londyn, odwiedzając sprzedawców dzieł sztuki, sklepy i pensjonaty. Wrócił do domu dopiero wtedy, gdy koń był zmęczony.

Siedząc w bibliotece, rozmyślał, gdzie można jeszcze jej szukać. Poprzednio odnalazł ją tylko przypadkiem, a wiedział, że szczęśliwe numery w grach hazardowych rzadko padają więcej niż jeden raz.

Za jego plecami otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł pan Gratton.

- Przepraszam, milordzie - powiedział - ale dostarczono pilną wiadomość!

Markiz wyprostował się z błyskiem nadziei w oczach.

- Wiadomość?

- Od księżnej Clanderry, milordzie.

Markiz opadł na fotel z wyrazem rozpaczy na twarzy. Gdy nic nie odpowiedział ani nie zrobił żadnego ruchu, by wziąć list, sekretarz zapytał:

- Czy mam otworzyć list, milordzie?

- To z pewnością nic ważnego.

Uznając to za pozwolenie, pan Gratton przełamał pieczęć i rozłożył arkusz papieru zapisany kobiecym pismem. Spojrzał na niego, po czym odczytał głośno:

Księżna Clanderry, przesyła Markizowi Ruckford wyrazy szacunku i zaprasza dzisiaj po południu o godzinie piątej w celu odbycia pilnej rozmowy.

Gratton zamilkł, a nie widząc żadnej reakcji markiza, dodał:

- Posłaniec mówił, że sprawa jest pilna, milordzie!
- Powiedz mu, niech idzie do diabła! - odrzekł markiz z wściekłością.

Zapadła cisza, po czym Gratton rzekł cicho:

- Myślę, milordzie, jeśli wybaczy pan moje słowa, że to może być błąd. Księżna jest pana sąsiadką i po wielu latach animozji pewnie chce uczynić gest pojednania.

Markiz nadal milczał.

- Była ona zaprzyjaźniona z pańskimi rodzicami, milordzie.

Markiz westchnął.

- Więc dobrze - rzekł z niezadowoleniem - zrobię jak radzisz, Gratton. Powiedz posłańcowi, że będę u jej księżęcej mości o piątej. Sam Bóg tylko wie, czego ona ode mnie chce.

- Już dochodzi pół do piątej, milordzie - powiedział sekretarz i ruszył do wyjścia.

Rzucając niezadowolone spojrzenia, markiz poszedł na górę, by się przebrać.

Nie mógł pojawić się u księżnej w stroju jeździeckim.

Gratton miał rację. Księżna była zaprzyjaźniona zarówno z ojcem, jak i matką markiza. Od chwili jednak gdy zaczął bywać u księcia Walii, dała mu jasno do zrozumienia, że go potępia.

Tylko nieliczne wielkie damy Londynu otwarcie krytykowały księcia, a zapraszając go do swych domów, stawiały warunek, że nie przyjdzie w towarzystwie pani Fitzherbert.

Księżę stanowczo odrzucał takie zaproszenia. Istniał więc pewien krąg towarzyski, który surowo go potępiał.

Osoby z tego kręgu były jednak mile widziane w królewskim pałacu Buckingham, a księżna Clanderry często dotrzymywała towarzystwa królowej.

Książę śmiał się i kpił z tych, którzy go ignorowali, lecz markiz wiedział, że jednocześnie bolało go, iż nie był zapraszany przez niektórych utytułowanych poddanych swego ojca.

Gdy lokaj pomagał markizowi przebrać się w jeden z najelegantszych fraków i wiązał jego fujar w wymyślny węzeł, on próbował przypomnieć sobie, jak wygląda księżna.

Nie widział jej od śmierci ojca, ale pamiętał dystygowaną damę o sztywnych plecach i szyi. Była niewątpliwie osobą, z którą książę i jego frywolni przyjaciele nie mogli mieć nic wspólnego.

Jednocześnie markiz rozumiał krytyczny stosunek księżnej i innych wielkich dam do ekstrawagancji odbywających się w Carlton House, szanował też odwagę księcia, posuwającego się do lekceważenia konwenansów i zmuszającego kręgi beau monde'u do uznania pani jego serca.

Gdy przed piątą zszedł na dół, powóz czekał już u progu.

Dom księżnej znajdował się tuż, po drugiej stronie placu. Jednak przybycie pieszo do damy, która zamknęła przed nim drzwi swojego domu ponad osiem lat temu, byłoby obrazą.

Gdy wszedł do marmurowego hallu, z zainteresowaniem przyjrzał się portretowi jednego z książąt Clanderry, pędzla Van Dycka.

Idąc na górę do salonu, ujrzał obraz Rubensa - spodobał mu się jeszcze bardziej niż ten, który nabył od lorda Hargrave.

Miał nawet czas, by mu się przyjrzeć, gdyż prowadzący go kamerdyner był tak stary, że wydawało się iż przytłaczają go olbrzymie srebrne guziki jego własnej liberii.

Gdy staruszek, już bez tchu, wdrapał się na szczyt schodów, zdołał jeszcze donośnym głosem zaanonsować markiza:

- Markiz Ruckford, milady!

Wszedł do długiego, wąskiego salonu. W drugim końcu przy oknie, zobaczył siedzącą siwowłosą kobietę.

Powoli podszedł do księżnej, która uniosła się sztywno i podała mu do ucałowania delikatną rękę.

- Pani sługa, madame! - powiedział i złożył jej ukłon, którego elegancja me miała sobie równej.

- Proszę usiąść, milordzie - oznajmiła chłodno.

W jej oficjalnym i surowym głosie słysząc było nutę dezaprobaty.

Markiz usiadł przypuszczając, że księżna chce rozmawiać o ich sąsiedzkich stosunkach.

W ciągu ubiegłych lat poprzez sekretarzy prowadzili liczne sprzeczki. Dotyczyły one pielęgnacji trawnika na środku placu, postojów powozów, hałasów w nocy i zachowania służby. Księżna niezmiennie skarżyła się na ludzi zatrudnianych przez markiza.

Księżna zasiadła wyprostowana i popatrzyła na niego, jak mu się wydawało, krytycznie. Miał wrażenie, że czegoś szuka, choć nie miał pojęcia, co to może być.

W młodości musiała być bardzo ładna. Jej śnieżnobiałe teraz włosy były ciągle jeszcze bujne. Pomimo licznych zmarszczek miała nadal wyraziste, klasyczne rysy twarzy, a jej profil zachwycałby niejednego portrecistę.

- Jest pan zapewne zdziwiony, milordzie, że poprosiłam pana o odwiedzin - przemówiła po chwili.

- Od naszego ostatniego spotkania mięło dużo czasu, madame - odrzekł.

- Jak pan dobrze wie - mówiła księżna - uwielbiałam pańskiego ojca i bardzo lubiłam pańską matkę, ale potępiam tych, z którymi się pan dotąd zadawał.

- Mogę tylko wyrazić moje ubolewanie, madame, jeśli sprawiałem pani kłopot.

- To mnie specjalnie nie obchodziło - powiedziała zimno.
- Ale zarówno ze względów towarzyskich, jak i moralnych, nie zaproszę księcia Walii, dopóki jest związany z tą panią Fitzherbert. A pogłoska, że zawarł z nią morganatyczne małżeństwo, tylko pogarsza sytuację.

- Jeśli to prawda, w pełni bym się z panią zgodził.

- Możemy tylko mieć nadzieję, że na szczęście dla tronu okaże się to nieprawdą! Ale nie zaprosiłam tu pana, by rozmawiać o księciu, chociaż mogłabym wiele na ten temat powiedzieć!

Markiz czekał, a księżna po chwili mówiła dalej:

- Wydaje mi się, że pan zna historię rodziny mojego męża. Rodzina O'Derry w zamierzchłych czasach była w Irlandii rodziną królewską.

- Jestem tego świadom, madame - odparł tonem, który, jak miał nadzieję, wyrażał szacunek.

- Posiadłości nadano im w dwunastym stuleciu - mówiła księżna, nie zwróciwszy najmniejszej uwagi na słowa markiza. - Pańskie nadano, jak sądzę, w wieku siedemnastym.

- Dokładnie w tysiąc sześćset sześćdziesiątym piątym!

- Pański tytuł markiza został nadany już znacznie później.

- W tysiąc siedemset siedemdziesiątym drugim! Markiz zastanawiał się, do czego księżna zmierza, ale nie chciał jej przerywać i miał nadzieję, że wcześniej czy później dotrze do sedna.

- Mój mąż, dziewiętnasty książę dynastii, był, jak może się pan spodziewać, bardzo dumny ze swoich przodków.

- Oczywiście, madame.

Markiz wiedział, że wiele osób przywiązywało wagę do swego pochodzenia i historii własnej rodziny.

Sam był dumny, że wywodzi się z wyższych sfer, ale rzadko zajmował się swym drzewem genealogicznym.

Wiedział, że rodzina O'Derry należała do najstarszej i najbardziej dumnej irlandzkiej arystokracji.

- Dlatego pan zrozumie - mówiła księżna - że mój mąż, mając pięciu synów i tylko jedną córkę, chciał, aby ona dobrze wyszła za mąż.

Markiz popatrzył na nią ze zdumieniem.

Z pewnością nie był to wstęp do propozycji małżeństwa?

- Dlatego, z szerokiego grona starających się, wybrał człowieka, którego uważał za godnego naszej córki Elżbiety.....

Zamilkła na chwilę, po czym dodała:

- Nie sądzę, by kiedykolwiek pomyślał, że córka przeciwstawi się jego życzeniom i nie zgodzi się wyjść za mąż za człowieka, którego gotów był uznać za swego zięcia.

Westchnęła cicho.

- Nawet teraz, po wielu latach, nie mogę zrozumieć, jak mogłam być tak ślepa i nie widzieć, co się dzieje tuż pod moim nosem! Nigdy nie przypuszczałam, że ktoś bliski może mi się przeciwstawić, a już z pewnością nie moja córka!

W jej głosie słychać było ból i markiz popatrzył na księżnę ze zdumieniem.

Nadal nie rozumiał, o co chodzi i co on ma wspólnego z tą opowieścią.

Wtedy księżna z pewnym wysiłkiem powiedziała: - Mój mąż uważał, że wszyscy artyści są wyrzutkami społeczeństwa i z pewnością nie do przyjęcia w rodzinie O'Derry.

Na dźwięk słowa „artysta” markiz zeszywniał, wpatrzył się w twarz hrabiny i poczuł, jak serce bije mu mocniej.

- Co pani mówi, madame? - spytał. Jego własny głos wydał mu się obcy.

- Tylko panu wyjaśniam - odrzekła księżna - co czuł mój mąż i ja, gdy nasza jedyna córka uciekła z miniaturzystą

Corneliusem Lensem, którego ojciec został wydalony z Irlandii jako czciciel diabła!

- Czy jest u pani Vanessa? - spytał szybko. To była jedyna rzecz, która miała znaczenie. Vanessa była bezpieczna i znalazł ją!

- Tak, jest tutaj. I powiedziała mi, że pan chce ją poślubić. Czy to prawda?

- Tak, to prawda - odrzekł markiz. - Ale dotąd nie miałem najmniejszego pojęcia, madame, że jest ona spokrewniona z pani rodziną.

- Vanessa mi to powiedziała - wyjaśniła księżna. - Mówiła mi też, że dopóki nie dowiedziała się, kim była jej matka, uważała, że ze względu na pańskie pochodzenie i pozycję nie może pan jej poślubić.

- Kiedyś myślałem, że jest to istotne, madame - szczerze sumitował się markiz - ale teraz to dla mnie bez znaczenia, nawet gdyby Vanessa była córką zamiatacza ulic! Kocham ją i chcę, by została moją żoną!

- Przypuszczani, że obojętnie czy z moją, czy bez mojej zgody? - spytała księżna, a na jej ustach pojawił się cień uśmiechu.

- Tak, madame!

Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu, a jemu wydało się, że lekko zmrużyła oczy.

- Mam nadzieję, milordzie, że w przyszłości będzie pan ostrożniejszy z doborem towarzystwa. Nie sądzę, by Vanessa dobrze się czuła w obecności takich ludzi, jakich można spotkać w Carlton House.

- Zapamiętam wszystko, co pani mówiła, madame - wymijająco odparł markiz. - Czy mogę się widzieć z Vanessą?

W jego głosie zabrzmiała młodzieńcza żarliwość, która nie uszła uwagi księżnej.

Wydawało się, że chce coś powiedzieć, lecz nagle zmieniła zamiar. Wzięła do ręki stojący obok mały srebrny dzwonek i zadzwoniła.

Niemal natychmiast otworzyły się drzwi. Markiz, sądząc, że wszedł służący, nie odwrócił głowy. Gdy jednak księżna nie wydała żadnego polecenia, powoli odwrócił się.

W salonie, nieśmiało patrząc na niego, stała Vanessa. Dostrzegł w jej oczach niepokój.

- Vanessa!

Głośno wykrzyknął jej imię i zerwał się na równe nogi. Księżna również wstała.

- Porzućmy na chwilę konwenanse, milordzie - powiedziała - myślę, że pan, i moja wnuczka macie sobie coś do powiedzenia. Zostawię was samych na dziesięć minut, ale ustalmy jasno jedną rzecz. Nie będzie żadnego tajnego ślubu, żadnej ceremonii za specjalnym zezwoleniem!

Głos jej złagodniał.

- Jeśli obydwoje zamierzacie połączyć się związkiem małżeńskim, to niech początek ma miejsce w tym domu. Zamierzam przedstawić moją wnuczkę przyjacielom, po, tym, gdy złoży wizytę w Buckingham Palace!

Po tych słowach księżna powoli i dostojnie przeszła przez salon.

Przechodząc obok Vanessy, lekko dotknęła jej ramienia i markiz wiedział, że był to gest, który podyktowało jej głębokie wzruszenie.

Gdy drzwi się za nią zamknęły, Vanessa i markiz stali przez chwilę wpatrując się w siebie.

- Dlaczego mi nic nie powiedziałaś?, Jak mogłaś narażać mnie na takie męczarnie? Myślałem, że znów cię straciłem!

- Mogłam zostawić ci wiadomość - odrzekła Vanessa z niepokojem w oczach - ale nie byłam pewna, czy... moja

babka mnie przyjmie. Widzisz... niczego o niej nie wiedziałam do chwili, gdy Dorcas dała mi list od mojej matki.

- Jaki list? - spytał markiz.

Wpatrywał się w jej twarz i pragnął wziąć ją w ramiona. Czekał jednak na wyjaśnienia, chociaż wiedział, że nie mają już one większego znaczenia.

Najważniejsze było to, że ją odnalazł!

- Mama bardzo chciała, bym wyszła za mąż z własnego wyboru - wyjaśniła Vanessa. - Nigdy nie mówiła, że pochodzi z rodu O'Derry. Od chwili gdy uciekła z moim ojcem, utrzymywała swe pochodzenie w tajemnicy, obawiając się, iż jej ojciec może ją ścigać.

Uśmiechnęła się w zadumie.

- Tymczasem babcia powiedziała mi, że dziadek wymazał z pamięci moją mamę. Był apodyktyczny i nie mógł znieść nieposłuszeństwa dzieci.

- A więc nie znałaś rodziny matki?

- Nigdy o niej nie mówiła, wiedziałam tylko to, że była zmuszona uciec z ojcem, a ponieważ takie rozmowy niepokoiły go, więc nie mówiłyśmy na ten temat. Tuz przed... śmiercią napisała długi list... i prosiła Dorcas o oddanie go mnie... dopiero gdy będę chciała wyjść za mąż. Ale dopiero wtedy, gdy... zaakceptuję tego, który mi się oświadczy.

Zarumieniła się, a markiz miękko zapytał:

- A więc chcesz wyjść za mnie za mąż?

- Wiedziałam, że... jeśli będziesz nalegał... to nie będę potrafiła powiedzieć... nie.

Patrzyli sobie w oczy, a świat wokół zamarł. Po chwili zapytał z wysiłkiem:

- Czy opowiesz mi, co pisała twoja matka?

- Wyjaśniała, że człowiek, którego jej dziadek wybrał, na męża, w ogóle jej nie kochał. W jego życiu istniała inna

kobieta, a on chciał się tylko związać z rodziną O'Derry, W najmniejszym stopniu nie był mamą zainteresowany.

- Dlaczego uciekła z ojcem?

- Była w nim zakochana, choć był od niej starszy. On też ją kochał. Jak ci już mówiłam, byli ze sobą bardzo, bardzo szczęśliwi.

- Tak jak my będziemy! Podniosła na niego swe pełne blasku oczy.

- W twoim głosie... brzmi... taka pewność, - Bo jestem tego pewien. Już chciał ją objąć, lecz zwalczył pokusę uznając, że powinien wyjaśnić wszystko do końca.

- Matka napisała ci w liście, że twoją babką jest księżna Clanderry. Skąd wiedziałaś, gdzie jej szukać?

- Gdy przeczytałam w liście nazwisko, coś mi zaświtało w pamięci. Nagle przypomniałam sobie, co księżną Tealby mówiła w Ruckford Park. Wspomniała, że gdy powrócę do Londynu, będzie miała dla mnie drobne zlecenia.

- Już powiedziałem księżnej, co myślę o niej i jej zleceniach - przerwał markiz.

- Przypomniałam sobie, że mówiła o księżnej Clanderry, mieszkającej przy Berkeley Square, która chciała , mieć portret ulubionego psa.

- Więc stąd wiedziałaś, gdzie poszukać swojej babki!

- Po przyjeździe na Berkeley Square nie miałam trudności z odnalezieniem jej domu. Jest prawie tak duży jak twój.

- Więc odnalazłaś już babkę i, jak myślę, niezliczoną liczbę swoich irlandzkich krewnych.

Przerwał na chwilę i dodał ze śmiechem:

- Jak z naciskiem uświadomiła mi twoja babka, rodzina O'Derry jest dużo starsza i ważniejsza niż rodzina Ruckford. Czy jesteś zupełnie pewna, że nie lepiej poczekać, aż pojawi się ktoś bardziej godny twej ręki?

Zbliżyła się, a on ją objął.

- Proszę... weź mnie za żonę! - wyszeptała. - I wybacz... że sprawiłam ci tyle kłopotu!

- Wybaczę ci pierwszą ucieczkę - odrzekł markiz tuląc ją do siebie. - Skoro jednak wczoraj znalazłaś babkę, to dlaczego nie przysłałaś mi wiadomości wieczorem lub przynajmniej dziś rano? Nigdy w życiu nie miałem tak strasznej nocy!

Ku jego zdumieniu Vanessa zarumieniła się i ukryła twarz na jego piersi.

Ujął ją za podbródek i podniósł głowę do góry.

- Powiedz prawdę - rozkazał. - Skąd ta zwłoka? Czy rozmyślnie karałaś mnie za grzechy, których sam się wstydzę?

- Ależ nie! Oczywiście, że nie! - wykrzyknęła. - To tylko...

Urwała. Dostrzegł jej drżące rzęsy.

- Jaka była przyczyna? - nalegał.

- Mówiłeś, że nasze „ramy” nie są... ważne - szepnęła - ale twoje są tak wspaniałe, że chciałam mieć nową... suknię, zanim cię ujrzę.

Przez chwilę stał oniemiały, po czym wybuchnął głośnym śmiechem.

- Nową suknię! Och, kochanie, przecież to nie ma znaczenia! Czy wiesz, że w moich snach zawsze byłaś w ramach?

Przytulił ją mocniej i poszukał jej ust. Całował ją tak jak wtedy na tarasie i ponownie ogarnęło ich owo magiczne uczucie. Jego pocałunki stawały się coraz bardziej zachłanne.

Gdy poczuł, jak drży w jego objęciach, miał pewność, że są niepodzielni i że nic nie może ich rozłączyć. Nie było istotne to, jaka krew płynie w ich żyłach. Byli przeznaczeni dla siebie od początku świata, gotowi szukać się nawet wiecznie.

Stanowili jedność. I cokolwiek miało ich spotkać, najważniejsze było to, by mogli być razem.

Markiz uniósł głowę.

- Kocham cię, najdroższa! Kocham cię! Mogę myśleć tylko o tobie i mojej miłości do ciebie. - Ja także - szepnęła Vanessa. - Gdy mnie całujesz, czuję, że cała należę do ciebie. Nie mogę wtedy myśleć, tylko wiem, że nasza miłość jest doskonała. - Ona jest doskonała! - potwierdził markiz. - Już od chwili pierwszego spotkania wniosłaś w moje życie doskonałość, jakiej szukałem. Twoja delikatność i łagodność nie mają sobie równych, a twoje cudowne oczy są jedyne w swoim rodzaju.

Przytulając ją mocniej, dodał:

- Właśnie portret oka pozwolił mi znaleźć cię w Vauxhall, i za to będę losowi zawsze wdzięczny. Teraz chcę tylko patrzeć w twoje oczy, kochanie, gdyż one wyrażają piękno twego serca i duszy. One mówią mi rzeczy, których nigdy wcześniej nie znałem.

- Myślę, że każde z nas... ma w sobie coś darowanego przez Boga, co stanie się częścią... naszego szczęścia.

- Jest tak wiele rzeczy, których możemy poszukiwać, poznawać i cieszyć się nimi - dodał markiz swym głębokim głosem.

I jakby nie mogąc się dłużej powstrzymać, pocałował ją. I znowu całował ją jak oszalały, jakby wszystkie niepokoje, których doznawał w ostatnich tygodniach, mogły być ukojone przez jej łagodność i bliskość.

- Kocham cię! - wyszeptał, a ona wiedziała, że to raczej przysięga niż wyznanie uczuć.

Westchnął głęboko i zapytał drżącym głosem.

- Kiedy możemy wziąć ślub? Chcę, byś była przy mnie jak najprędzej. Będzie dla mnie męką, gdy cię tu zostawię, choć wiem, że tuż po drugiej stronie placu, ze swą babką, będziesz bezpieczna.

- Musimy zatem wytłumaczyć babci, że to pilne. - Nigdy nie pragnąłem niczego bardziej niż teraz tego, abyś była ze mną - oświadczył markiz.

- Ona tak się cieszy, że tu jestem - powiedziała Vanessa - że z pewnością spełni każdą naszą prośbę! Myślę, że w rzeczywistości bardzo cię lubi, chociaż nie pochwała stylu życia, który dotychczas prowadziłeś.

- Obiecuję, że przewrócę kartę w mojej księdze życia!

- Nie chcę, byś się zmieniał. Chcę cię takim, jakim jesteś - rzekła Vanessa z nutą uwielbienia w głosie.

- Naprawdę?

- Spójrz mi w oczy, a sam zobaczysz.

Markiz pochylił się ku niej i zaczął całować jej oczy, a później nos, policzki i znów usta,

- Gdy będziemy już mężem i żoną - westchnął - będę całował całe twoje ciało tak, by każdy jego centymetr należał do mnie.

Poczuł, że zadrżała słysząc te słowa.

- I nie chcę długo czekać, moje kochane maleństwo. Pragnę cię tak, jak nigdy niczego w życiu. Każdy dzień, gdy nie jesteśmy razem, każda godzina, gdy nie ma cię blisko mnie, każda minuta, w której cię nie całuję, są w moim życiu stracone.

- Zatem chodźmy niezwłocznie porozmawiać z babcią - zaproponowała Vanessa, a markiz wiedział, że dzieli jego niecierpliwość.

Znów ją całował, po czym nagle położył ręce na jej ramionach i rzekł:

- A teraz pozwól mi popatrzeć na tę suknię ze snów, za którą zapłaciłem tak wysoką cenę: musiałem cierpieć i niepokoić się jeszcze jeden dzień.

- To był... mój błąd - powiedziała. - Proszę... wybac mi!

Popatrzył w jej oczy i nie potrafił oderwać spojrzenia, by zobaczyć, co miała na sobie.

Znów przytulił ją mocno do siebie i całował z takim żarem i namiętnością, że usta Vanessy zadrżały po - żądaniem.

Ogarnęło ich uniesienie, w którym marzenia o nieśmiertelnej miłości mieszały się z projektami ich wspólnego życia.